STRAŻNIK TRUMNY

Opowieść o mojej rodzinie

WENGUANG HUANG

Wen przemienił intymną historię o chińskiej rodzinie w fascynującą książkę.
LIAO YIWU

Wenguang Huang

Strażnik trumny

Opowieść o mojej rodzinie

Przełożyła Dominika Cieśla-Szymańska

wydawnictwo zarne

Wołowiec 2013

Wszelkie powielanie lub wykorzystanie niniejszego pliku elektronicznego inne niż jednorazowe pobranie w zakresie własnego użytku stanowi
naruszenie praw autorskich i podlega odpowiedzialności cywilnej oraz karnej.

Tytuł oryginału angielskiego THE LITTLE RED GUARD: A FAMILY MEMOIR

Projekt okładki AGNIESZKA PASIERSKA / PRACOWNIA PAPIERÓWKA
Fotografia na okładce © by PATRICK ZACHMANN / MAGNUM /
PHOTOS / FORUM

Copyright © 2012 by WENGUANG HUANG
All rights reserved including the right of reproduction in whole or in part in any form.
This edition published by arrangement with Riverhead, a member of Penguin Group (USA) Inc.

Copyright © for the Polish edition by WYDAWNICTWO CZARNE, 2013
Copyright © for the Polish translation by
DOMINIKA CIEŚLA-SZYMAŃSKA, 2013

Redakcja MAŁGORZATA PASICKA
Korekty AGATA CZERWIŃSKA / D2D.PL,
MAŁGORZATA POŹDZIK / D2D.PL
Projekt typograficzny ZUZANNA SZATANIK / D2D.PL
Redakcja techniczna ROBERT OLEŚ / D2D.PL

ISBN 978-83-7536-666-2

Skład wersji elektronicznej MICHAŁ LATUSEK / VIRTUALO SP. Z O.O.

Spis treści

- Dedykacja
- Część I
  - Żądania
  - Należna cześć
  - Dylemat
  - Obowiązek
  - Przygotowania
  - Dyscyplina
  - Oczekiwania
  - Tajemnice
  - Powrót do zdrowia
  - Przynależność etniczna
  - Rozłam
  - Śmiertelność
- Część II
  - Odwilż
  - Przyjęcie na studia
  - Wiatr z Zachodu

Strata

Rewolucja

Niezależność

Nieuchronność

Posłowie

Podziękowania

Przypisy

Ojcu

Część I

Żądania

Gdy miałem dziesięć lat, sypiałem obok trumny, którą Ojciec zrobił dla Babci na jej siedemdziesiąte trzecie urodziny. Zabronił nam używać słowa „trumna” i nalegał, byśmy zamiast tego mówili o niej *shoumu*, co można przełożyć jako „drzewo długowieczności”. Wydawało mi się to dziwną nazwą dla skrzyni, w której mieliśmy pochować Babcię, ale miało swój sens. Mniej się bałem spać w jednym pokoju z „drzewem długowieczności” niż z wielką, czarną trumną.

W 1973 roku Babcia skończyła siedemdziesiąt jeden lat, czyli siedemdziesiąt dwa według chińskiej miary, która przyjmuje, że w chwili narodzin mamy już rok. Ni stąd, ni zowąd zaczęła nieustannie myśleć o śmierci i bardzo się jej lękała. Moja siostra Wenxia i ja wciąż mamy w pamięci wieczór, kiedy Babcia po raz pierwszy poruszyła tę kwestię. Przy kolacji Matka zaczęła jak zwykle zrzędzić na temat domowych obowiązków. Poprzedniego wieczoru była z wizytą u sąsiadki i widziała, jak jej najstarszy syn ochoczo zakasał rękawy, żeby pozmywać naczynia po kolacji.

– Wypucował piecyk, że aż lśnił! – powiedziała Matka, spoglądając na naszą czwórkę. – A ja musiałam urodzić zgraję darmozjadów!

Wszyscy w milczeniu pochyliliśmy się nad miskami. Babcia, zniecierpliwiona narzekaniem Matki na żmudne domowe zajęcia, oświadczyła, że pewnie niebawem wybierze się na tamten świat.

Nam, dzieciom, nigdy nie przyszło do głowy, że Babcia może któregoś dnia umrzeć. Odkąd pamiętam, wydawała się stara: miała pomarszczoną skórę z brązowymi, starczymi plamkami.

Ojciec, zdumiony i zaniepokojony, odłożył pałeczki.

– Źle się czujesz?

– Jeszcze nie.

Matka nie wytrzymała.

– O co ci chodzi?

Okazało się, że powodem lęków Babci jest stare chińskie przysłowie: „Kto kończy siedemdziesiąt trzy lub osiemdziesiąt cztery lata, tego Król Piekieł wzywa na swe kwatery”. Ponieważ za rok Babcia miała przekroczyć ten pierwszy próg, chciała być na to gotowa. Poprosiła Ojca, by zaczął przygotowania do jej pogrzebu. Pragnęła zostać pochowana w swojej rodzinnej wiosce w prowincji Henan, obok nieżyjącego już dziadka.

Matka, zła, że Babcia skupiła na sobie uwagę wszystkich, wstała od stołu. Ojciec chyba ucieszył się, że jego matka nie cierpi na żadną poważną chorobę.

– Tylko nie wymyślaj głupstw – powiedział. – Teraz mamy nowe społeczeństwo i ludzie nie wierzą już w takie zabobony.

Ponownie wziął w palce pałeczki i wrócił do pałaszowania makaronu.

Babcia nigdy nie chodziła do szkoły, ale miała w głowie całą bibliotekę przysłów, którymi hojnie nas raczyła. Kilka miesięcy wcześniej jedna z naszych sąsiadek urządzała w domu małe przyjęcie urodzinowe dla swego ojca, który kończył pięćdziesiąt lat. Przyszła do Babci, żeby poradzić się w sprawie stosownego prezentu, ale tylko nasłuchała się o tym, dlaczego nie powinna w ogóle robić przyjęcia.

– W naszej wiosce ludzie nigdy nie świętowali urodzin przed sześćdziesiątką – powiedziała sąsiadce Babcia, a na poparcie swych słów przytoczyła chińskie przysłowie: „Kto sześćdziesiątkę przy mięsiwie i napitku świętuje, wiecznym życiem się raduje”. Babcia przestrzegła sąsiadkę, że jeśli ktoś zbyt wcześnie robi szum wokół swoich urodzin, może nie dożyć późnego wieku. Młoda kobieta z wdzięcznością skinęła głową.

Kiedy usłyszałem o tym zdarzeniu, poprosiłem Babcię, żeby mi wyjaśniła, dlaczego tak jest. Ale Babcia tylko machnęła ręką.

– To przysłowie przekazywane z pokolenia na pokolenie, więc to musi być prawda – powiedziała. W późniejszych latach ze zdziwieniem słyszałem, jak znajomi z różnych części kraju powtarzają to samo powiedzenie o świętowaniu sześćdziesiątych urodzin, które Babcia przypomniała naszej młodej sąsiadce.

Sądziliśmy, że Babci w końcu przejdzie ta obsesja na punkcie śmierci i że szybko weźmie się w garść, ale gdy nadeszła zimna, ponura zima, Babcia zaczęła gorzej sypiać i temat jej śmierci wydawał się czaić w każdej prowadzonej w domu rozmowie. Babcia często przy kolacji udawała, że ga-

wędzi ze mną i moim rodzeństwem, ale wszyscy wiedzieliśmy, że chodzi o to, by jej słowa usłyszeli rodzice, zwłaszcza Ojciec. Mówiła, że ludzie w jej rodzinnej wiosce bardzo przestrzegali zasad grzebania zmarłych: uważano, że miejsce pochówku i opieka nad *yinzhai*, czyli domami umarłych, mają ogromne znaczenie dla dobra przyszłych pokoleń. Poza tym zmarłym rodzicom urządzano wystawne pogrzeby, uważane za najwyższy wyraz synowskiego oddania. Potem Babcia powtarzała historię młodej kobiety z ubogiej rodziny, mieszkającej w pobliżu jej wioski. Dziewczyna ta klęczała na ulicy, gotowa kupczyć własnym ciałem, żeby tylko zgromadzić pieniądze na przyzwoity pogrzeb ojca.

Z opowieści Babci wynikało, że ród Huangów wiódł spokojne i dostatnie życie w wiosce położonej na północnym zachodzie prowincji Henan, na północnym brzegu Huang He, Żółtej Rzeki. Pod koniec lat dwudziestych XX wieku w wiosce zapanowała epidemia gruźlicy, której jedną z pierwszych ofiar był Dziadek. Zmarł od krwotoków. Krewni zapłacili znanemu mistrzowi feng shui, który doradził, by groby przodków przenieść poza wioskę, nad Żółtą Rzekę, i w ten sposób powstrzymać epidemię. W tamtych czasach opowiadano legendę o wielkim smoku, który mieszka w głębi ziemi, pod korytem rzeki, właśnie tam, gdzie leży rodzinna wioska Babci. Mistrz feng shui zapewnił wszystkich, że miejsce, które wybrał dla Dziadka, znajduje się dokładnie nad grzbietem smoka.

– Kolejny pochówek przyniesie szczęście naszej rodzinie – ciągnęła Babcia. – Kiedy połączę się z Dziadkiem w następnym życiu, cykl pokoleń się dopełni. To będzie dobre dla was wszystkich.

Babcia powtarzała tę opowieść do znudzenia. Popatrywaliśmy cichcem na siebie, bezgłośnie wtórując jej słowom. Moja starsza siostra nazywała Babcię zabobonną kobietą. Nawet Ojciec się z tym zgadzał i powiedział Babci, żeby więcej nie wracała do tej historii.

Z początku moi rodzice zignorowali prośbę Babci, ale to tylko wzmogło jej determinację. Rozmawiając z jedną z sąsiadek, Babcia dowiedziała się o czymś niepokojącym: w naszym mieście, Xi’anie, zakazano pochówków. Sąsiadka powiedziała, że jeśli mieszkaniec miasta umiera w szpitalu, lekarz nie pozwala krewnym zabrać ciała do domu. Umieszcza się je w wielkiej lodówce w kostnicy, a potem wysyła do skremowania. Pewien młody człowiek przekupił kierownika kostnicy i odebrał ciało matki, żeby je pochować. Przyłapano go jednak, policja odebrała mu zwłoki i wysłała je prosto

do krematorium, więc nie miał czasu odprawić nawet pobieżnych obrządków.

Babcia wpadła w panikę. Rzadko wychodziła poza nasze osiedle i nie miała pojęcia o zmianach, jakie ogarnęły całe Chiny. O tym, co się dzieje na świecie, dowiadywała się od sąsiadek, od moich rodziców i ode mnie. Czasem, wiedząc, czego lubi słuchać, coś zmyślałem, żeby przyciągnąć jej uwagę, ale nie śmiałem jej okłamać, kiedy zapytała mnie o przepisy dotyczące kremacji. Powiedziałem więc prawdę, która ją przeraziła. Odczekała, aż Matka wyjdzie z domu na pogaduszki z przyjaciółkami, i podeszła do Ojca, który akurat sączył herbatę, siedząc koło piecyka węglowego przy drzwiach. Usadowiła się obok niego na krześle i kazała mi przynieść miednicę z gorącą wodą, żeby mogła pomoczyć swoje maleńkie krępowane stopy.

– *Jiuer* – zwróciła się pieszczotliwie do Ojca. – Obiecaj mi, że mnie nie spalisz, kiedy umrę. Obiecujesz?

Moja siostra i ja odrabialiśmy lekcje przy jedynej żarówce oświetlającej pokój. Na słowo „spalić” zastrzygłem uszami i zacząłem zerkać na Babcię i Ojca kątem oka.

– Przecież ci mówiłem, że nie ma się czego bać – rzekł Ojciec, nieco zniecierpliwiony. – Co to za różnica? Kiedy umieramy, umysł i ciało przestają istnieć. O niczym nie będziesz wiedziała i nic nie poczujesz.

Babcia pokręciła głową; na jej twarzy malowało się przerażenie.

– Nie… nie chcę po śmierci cierpieć mąk w płomieniach – powiedziała. Jakże ma dołączyć do swego męża w przyszłym życiu, jeśli jej ciało zmieni się w popiół? Rozmowa wprawiała Babcię w coraz większą irytację, aż zaczęła tupać swoimi małymi nóżkami, rozchlapując wodę z miednicy na podłogę.

Ojciec wstał i wziął ręcznik, żeby wytrzeć jej nogi, po czym odezwał się łagodnie:

– Później porozmawiamy. Niech twoje wnuki w spokoju odrobią lekcje.

Ojciec znalazł się w trudnej sytuacji. Z początku miał zamiar postąpić w pełni zgodnie z przepisami: przynieść prochy Babci do domu, odprawić prostą ceremonię, a potem pochować urnę obok Dziadka. Grzebania zmarłych zabroniono w 1949 roku, kiedy komuniści przejęli władzę, a w połowie lat siedemdziesiątych władze zdwoiły wysiłki, żeby wykorzenić ten zwyczaj. Nakaz kremacji wynikał z przyczyn zarówno ideologicznych, jak

i praktycznych: tradycyjny pochówek oznaczał marnowanie gruntu, który można by wykorzystać pod uprawę roślin albo budowę osiedli. Ziemi uprawnej było mało, w miastach ludzie tłoczyli się w coraz mniejszych, obskurnych klitkach. Ojciec uważał, że polityka władz ma sens, próbował więc przekonać Babcię. W latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych zagrożenie dla Chin stanowiły Związek Radziecki i Stany Zjednoczone, które wówczas były silnie obecne militarnie w Azji Południowo-Wschodniej. By chronić chiński przemysł przed możliwym atakiem „sowieckich rewizjonistów" oraz „amerykańskich imperialistów", rząd przesunął wiele strategicznych zakładów przemysłowych w głąb kraju. Xi'an stał się ośrodkiem przemysłu zbrojeniowego i ciężkiego, a także siedzibą uniwersytetów i instytucji naukowo-badawczych. W ciągu kilku lat liczba mieszkańców wzrosła do sześciu milionów (obecnie wynosi osiem). Skutek był taki, że wielu młodych ludzi z zakładu Ojca – jak on sam opowiadał – nie mogło się ożenić, bo nie mieliby gdzie zamieszkać. Na mieszkanie czekało się latami. Innymi słowy, zmarli musieli ustępować miejsca żywym. Poza tym tradycyjne ceremonie pogrzebowe były kosztowne i przesiąknięte tradycją buddyjską i taoistyczną, a tym samym sprzeczne z ideologią komunistyczną.

Choć rewolucja kulturalna miała się wówczas ku końcowi, nie skończyła się jeszcze na dobre. Celem kampanii politycznych Przewodniczącego Mao prowadzonych na początku lat siedemdziesiątych było również potępienie Konfucjusza oraz wykorzenienie dawnych tradycji i rytuałów. Odzwierciedleniem tych poglądów miały być proste uroczystości pogrzebowe i ślubne. Ojciec opowiadał, że był świadkiem publicznego potępienia jednego z członków dyrekcji zakładu, który wyprawił synowi tradycyjne wesele. Ktoś z jego wioski, komu widocznie człowiek ten nadepnął na odcisk, doniósł władzom, że tamten wynajął czerwony palankin, w którym miano nieść pannę młodą, i zapłacił muzykom, by grali melodie z tradycyjnych oper. Urzędnik spotkał się z surowym potępieniem. Ściany oklejono wielkimi białymi plakatami, na których wielkie czarne znaki głosiły: „Zmieniaj stare tradycje i zwyczaje! Żyj skromnie, walcz z marnotrawstwem!". Plakaty przylepiono nawet na ścianie wspólnego wychodka na naszym osiedlu.

Myśl o tym, że mielibyśmy wrzucić ciało Babci do pieca, była dla mnie dość przerażająca, ale w szkole uczono nas, że tradycyjny pochówek to symbol rozwiązłych i okrutnych czasów sprzed komunizmu. Była taka popularna książeczka z obrazkami, zatytułowana *Srebrna moneta*, która opo-

wiadała o biednej rodzinie w Henanie, prowincji, z której pochodził Ojciec. Podczas klęski głodu w 1942 roku rodzina sprzedała córkę na służbę bogatemu gospodarzowi. Kiedy umarła jego matka, człowiek ów zabił dziewczynę, podając jej napój zaprawiony rtęcią, żeby mogła służyć zmarłej na tamtym świecie. Podczas procesji pogrzebowej tragarze nieśli ją siedzącą w pozycji lotosu, z imitacją lampy w dłoniach. Za sprawą rtęci skóra dziewczyny zachowała brzoskwiniowy odcień, dzięki czemu otruta wyglądała jak żywa. Ta straszna opowieść wzbudziła we mnie przekonanie, że tradycyjne pogrzeby były czymś odrażającym.

Uważałem, że zabobony należy potępiać. W szkole byłem przewodniczącym „małych czerwonogwardzistów". Podczas dorocznego konkursu śpiewaczego razem z kolegami z klasy wykonałem piosenkę zatytułowaną *Precz z Konfucjuszem, zwalczaj stare zwyczaje!*. Pomagałem nawet przy szkolnej gazetce ściennej, gdzie znalazł się obrazek przedstawiający wielką „rewolucyjną" pięść miażdżącą staruszka, który miał wyobrażać Konfucjusza. Babci nic nie mówiłem o swojej szkolnej działalności politycznej. Ona mawiała nawet, że Konfucjusz był świętym. Często złościło mnie jej przywiązanie do starych zwyczajów. W większości spraw udawało mi się ją przekonać z pomocą Ojca, ale w sprawie pogrzebu była uparta i odpierała wszelkie nasze próby perswazji.

Jako oddany syn Ojciec zawsze szanował wolę Babci i rzadko spierał się z nią w naszej obecności. Ale tym razem było inaczej. Przy kolacji z myślą o Babci powiedział nam, że komunistyczni przywódcy – Przewodniczący Mao i premier Zhou Enlai – opowiedzieli się za ideą kremacji jeszcze w latach pięćdziesiątych.

– Jeśli nawet nasi wielcy przywódcy nie proszą, by zrobić dla nich wyjątek, kimże jesteśmy my?

Kiedy wrócił z uroczystości kremacyjnych jednego ze swoich kolegów z pracy, które odbyły się w krematorium w Sanzhao, powiedział Babci:

– Nie było tak źle.

Przyniesiono ciało zmarłego; krewni, przyjaciele i koledzy z pracy zebrali się na krótkie czuwanie. Zamiast tradycyjnej recytacji sutr i lamentów było słychać smutną, ale zarazem dziarską muzykę żałobną w stylu komunistycznym płynącą z głośników. Przedstawiciele władz czy zakładu wygłosili mowy pogrzebowe, krewni podziękowali im i również wygłosili krótkie przemowy. Kiedy wszyscy już się pożegnali, ciało wsunięto do pieca.

Z drugiej jego strony zebrano popiół, który wsypano do urny, przeniesionej następnie do wielkiej sali przypominającej bibliotekę. Ważnym przywódcom przysługiwała bardziej okazała uroczystość i nie musieli czekać w kolejce do pieca, ale wszystkie ciała spalano tak samo. W święto Qingming, czyli w Dniu Sprzątania Grobów, krewni wyciągali urnę i oddawali cześć zmarłemu na wielkim dziedzińcu na tyłach krematorium.

Babcia była sceptyczna. Sąsiedzi powiedzieli jej, że pracownicy krematorium nigdy nie opróżniają całkowicie pieca po kolejnej kremacji.

– Skoro wygarniają popiół garściami, skąd mają wiedzieć, który jest mój? Może się zdarzyć, że na Qingming będziesz oddawać cześć matce kogoś innego. – Babcia wstała od stołu i zaczęła zbierać talerze, uznając rozmowę za zakończoną.

Matka nie mogła znieść, że jej mąż tak łatwo dał się pokonać.

– A gdzie niby mielibyśmy cię pochować? Widziałaś tu jakiś cmentarz? Czy myślisz, że grób twojego męża w Henanie wciąż istnieje?

Babcia tylko machnęła ręką.

– Jestem pewna, że rodzina Huangów opiekuje się grobem i że trzymają miejsce dla mnie.

W ten sposób dała Ojcu jasno do zrozumienia, że zostanie pochowana w swojej rodzinnej wiosce, z tradycyjnym pogrzebem, i że jej ostatnia wola musi zostać spełniona.

Należna cześć

Babcia, jako jedna z niewielu osób, które przetrwały wojny, powodzie i głód w czasach przed nastaniem komunistów, zawsze cieszyła się w naszym sąsiedztwie ogromnym poważaniem. Pierwszego dnia księżycowego nowego roku, kiedy większość moich kolegów szła spać po całej nocy puszczania fajerwerków, Matka budziła nas przed świtem, polecała, byśmy ubrali się w nowe ubrania, i poganiała nas przy śniadaniu:

– Jedzcie szybciej te pierożki! Ludzie zaraz tu będą.

Od samego rana zaczynali bowiem przychodzić sąsiedzi i przyjaciele, by życzyć Babci szczęśliwego nowego roku. Wierzyli, że jeśli zaczną rok od wizyty u niej, może spłynie na nich trochę jej długowieczności. Babcia siedziała na łóżku w głębi dużego pokoju. Nogi miała przykryte nową kołdrą i wyglądała rześko w swojej luźnej granatowej koszuli zapinanej z boku na guziki i czarnej aksamitnej czapeczce. Rozpromieniona kiwała głową, gdy nasi sąsiedzi nazywali ją „wierną wdową” i gratulowali, że dochowała się tak dużej rodziny jak nasza.

– Babciu Huang, twoje cierpienia i poświęcenia nie poszły na marne! – krzyczeli jej do ucha. – Spójrz tylko na swoją rodzinę: masz aż czworo wnuków! Kiedy dorosną, otoczą cię szacunkiem i opieką!

Niekiedy, z oczami lśniącymi od łez, Babcia odpowiadała:

– Wierzcie mi, to nie było łatwe!

Nasi sąsiedzi, zwłaszcza znajome mamy, uważali za wielką rzecz to, że Babcia pozostała „wierną wdową”. Dziadek faktycznie zmarł dawno temu i Babcia nigdy więcej nie wyszła za mąż. Nigdy jednak nie przyszło mi do głowy, że jej wdowieństwo to coś niezwykłego. W rodzinach pokazywanych w propagandowych filmach zawsze pojawiała się postać krzepkiej, siwowłosej babci w luźnej niebieskiej koszuli zapinanej z boku na guziki, z łatami na rękawach. Oczywiście w filmach była ona gorliwą rewolucjo-

nistką, która bohatersko stawała naprzeciwko wycelowanych w siebie luf wroga, by chronić swe wnuki i innych towarzyszy. Postaci dziadka jakoś nigdy tam nie było.

Wiosną 1974 roku, podczas szkolnej wycieczki do wioski niedaleko Xi'anu, natknęliśmy się z kolegami na rozsypujący się kamienny łuk z wyblakłymi chińskimi znakami, stojący samotnie wśród stert śmieci. Nauczycielka powiedziała, że to jest pochodzący z XIX wieku łuk niewinności, wzniesiony na cześć młodej wdowy, która pozostała wierna zmarłemu mężowi. Nauczycielka zwróciła nam uwagę, że jest to świadectwo cierpienia i ucisku kobiet w społeczeństwie feudalnym, w którym kobietę uważano za część dobytku. Widząc, że niezupełnie ją rozumiemy, nauczycielka opowiedziała nam inną historię, znaną fabułę jednej z tradycyjnych oper.

W XVI wieku w mieście Suzhou pewna młoda kobieta straciła męża. Pogrążona w żałobie, ślubowała, że zaopiekuje się swymi teściami, a jedynym celem jej życia stanie się wychowanie syna, tak by ród jej męża nie zaginął. Jednak nie mogła znieść samotności, zaczęła więc flirtować z nauczycielem swego syna, ten zaś jako człowiek prawy odrzucił jej zaloty i pouczył ją, jak ważna jest wierność. Zawstydzona swą słabością kobieta obcięła sobie dwa palce na znak skruchy i postanowienia, że najważniejszy będzie dla niej syn. W końcu jej syn zdał egzamin cesarski i zdobył wysokie stanowisko w rządzie. Cesarz, poruszony jej historią, nadał jej tytuł czcigodnej matki. W ten sposób stała się dla innych kobiet wzorem wierności konfucjańskiemu kodeksowi moralnemu, który dawał pierwszeństwo mężczyznom, kobietom zaś odmawiał prawa do szczęścia.

„Konfucjański kodeks moralny" – nie bardzo rozumiałem, o co w tym chodzi, ale ta historia bardzo przypominała mi historię życia Babci, chociaż mój ojciec nigdy nie zdobył wysokiego stanowiska we władzach, a Babcia nie została przez Przewodniczącego Mao wyróżniona jako czcigodna matka. Chciałem dowiedzieć się czegoś więcej o życiu Babci, które znałem tylko we fragmentach. Wieczorami, kiedy już odrobiłem lekcje, dopraszałem się więc opowieści. Z początku była trochę zaskoczona i zakłopotana, może nawet podejrzliwa, że tak nagle zainteresowałem się jej życiem.

– Nie ma o czym opowiadać – mówiła. – To było dawno temu i nic nie pamiętam.

Ale kiedy była w dobrym nastroju, pozwalała sobie wracać myślami do przeszłości. Hipnotyzował mnie jej henański akcent. Czasem opowiadała

jeszcze długo po tym, jak zasnąłem.

Babcia urodziła się w roku Tygrysa, który następuje co dwanaście lat. Wiedząc to, obliczyliśmy razem z siostrą, że to musiał być rok 1902. Siostra pogrzebała w papierach Ojca i znalazła zaświadczenie o zameldowaniu rodziny[1], w którym widniała data urodzin Babci: 14 kwietnia. Babcia powiedziała, że ją zmyśliła, bo w czasach, kiedy była młoda, ludzie na wsi nie przywiązywali wagi do narodzin dziewczynek. Gdy przyjechała do Xi'anu, urząd bezpieczeństwa publicznego nie przyjąłby takiego wyjaśnienia, więc wybrała datę, która jej się nawinęła.

– Jakie to szczęście, kiedy człowiek nie pamięta daty własnych urodzin – powiedziała. – Można żyć wiecznie.

Rodzice Babci byli rolnikami w wiosce w powiecie Wen, w północno-zachodniej części prowincji Henan. Mieli trochę ziemi, co decydowało wówczas o majętności rodziny. Jej jedyne wspomnienie z dzieciństwa dotyczy krępowania stóp. Miała sześć lat, kiedy matka zaczęła ciasno owijać jej stopy bawełnianymi bandażami. Dla jej młodszej siostry ta męka zaczęła się cztery lata później, chociaż zakazano tej praktyki, kiedy rewolucjoniści w 1912 roku obalili dynastię Qing. Babcia powiedziała, że w tamtych czasach najbardziej obraźliwa rzecz, jaką można było powiedzieć o kobiecie, to że „ma wielkie, brzydkie stopy".

– Większość zamożnych rodzin krępowała stopy swoim córkom – powiedziała. – Dziewczyna z dużymi stopami nigdy nie znalazłaby męża.

Przez pierwsze trzy miesiące było to dla Babci potwornie bolesne, choć jej matka twierdziła, że kości stóp są miękkie i że stosunkowo łatwo zagiąć je pod spód, nie łamiąc ich. Babcia rzadko wstawała z łóżka, a czas umilała sobie nauką szycia i dziergania. W stopy wdała się paskudna infekcja, więc matka za każdym razem, kiedy zmieniała bandaże, wkładała Babci pod podeszwy cienkie odłamki porcelany. Potem zawiązywała mocno bandaże i kazała jej chodzić, żeby odłamki weszły w ciało. Chodziło o to, że jeśli odciągnie się krew i ropę, stopy zrobią się jeszcze mniejsze. Babcia czasem mdlała z bólu, ale matka nie ustępowała. Moczyła jej stopy w ziołowych naparach, a potem jeszcze ciaśniej owijała je bandażami.

– Dużo płakałam – opowiadała Babcia.

Teraz, wiele lat później, rano owijaliśmy jej stopy szerokimi pasami materiału. Babcia odwijała je na noc, chociaż zimą często spała w tych owijaczach, żeby było jej cieplej.

Kiedy byłem mały, sypiałem w nogach łóżka Babci. Czasem obejmowałem ramionami jej drobne stópki. Palce miała zagięte do środka, niczym kawałeczki ciasta spłaszczone wałkiem, a same stopy miały kształt piramidek, jak świńskie raciczki, które czasem gotowała Matka.

Babcia mówiła, że jako piętnastolatka miała wielu starających. Jej rodzice byli jednak ostrożni i po długich negocjacjach z udziałem wioskowej swatki wybrali rodzinę Huang, która miała ogromne żyzne pola uprawne nad Żółtą Rzeką i mieszkała w wielkim domu z wewnętrznym dziedzińcem. Huangowie byli potomkami oficera, który służył cesarzowi Tongzhi z dynastii Qing w latach sześćdziesiątych XIX wieku.

Wyszła za mąż, mając siedemnaście lat. Było to tak dawno temu, że zupełnie nie pamięta, jak wyglądał Dziadek w dniu ich ślubu. Sztuka fotografii dotarła już w Chinach do większych miast, ale na wsi nikt o niej nie słyszał. Kiedy moja siostra zaczęła się dopytywać, jak wyglądał Dziadek, Babcia powiedziała: był „niski, jak twój ojciec, ale miał duże oczy i jasną skórę". Dla niej duże oczy i jasna skóra były oznaką urody. Przyznała, że Dziadek bywał porywczy – ta cecha przebłyskiwała też czasem w Ojcu – ale dobrze ją traktował.

– Zdarzało się, że twój dziadek zbierał w sadzie jabłka albo brzoskwinie, owijał je w koszulę i mi przynosił – powiedziała, na swój nieśmiały i okrężny sposób dając do zrozumienia, że Dziadek ją kochał.

Wszyscy mieszkali pod jednym dachem: Babcia i Dziadek, jego rodzice i młodszy brat. Babcia urodziła dwóch synów. Ojciec urodził się w 1928 roku, roku Smoka. Według tradycji powinien to być szczęśliwy rok, ale rodzinie przyniósł katastrofę.

Na początku tego roku jeden z członków rodziny Huang poślubił młodą kobietę z bogatej rodziny mieszkającej w odległej wsi.

– Jej posag przywieźli na dwunastu wozach: ubrania, bele materiału, jedwabne kołdry, piękne drewniane szkatułki, biżuteria, dużo wielkich koni.

Wydawało się, że rodzina trafiła na żyłę złota i że jest to idealna partia. Nikt nie zauważył, że panna młoda przywiozła też ze sobą kaszel, który wciąż się pogarszał, aż wreszcie ledwo mogła oddychać. Kilka miesięcy po ślubie zmarła. Wszyscy mówili, że to tragedia, dopóki nie zaczął kaszleć jej mąż.

Panna młoda przywlokła do wsi *laobing* – gruźlicę. Niedługo zaczął kaszleć Dziadek. Zamiast posłać po lekarza, rodzina Huangów wezwała

miejscowego szamana, a ten zalecił okadzanie. Szaman powiedział, że dawny dzierżawca, który żywił urazę do mojego pradziadka, rzucił klątwę na rodzinę Huangów. Obiecał, że spróbuje ją odczynić śpiewem i okadzaniem. Dom szybko wypełnił dławiący dym.

Śpiewy i okadzanie nie ocaliły jednak Dziadka, który niedługo potem zmarł. Przekazał rodzicom, że Babcia może po jego śmierci ponownie wyjść za mąż, ale wówczas będzie musiała porzucić swoich dwóch synków, którzy zostaną adoptowani przez jego brata i szwagierkę.

Wezwano mistrza feng shui, by wybrał na pochówek Dziadka miejsce najbardziej pomyślne, takie, które odegnałoby chmurę śmierci, jaka najwyraźniej zawisła nad rodziną Huangów. Mistrz być może zbyt długo zamarudził nad swoimi obliczeniami, bo w dzień pogrzebu Dziadka mój ośmioletni wujek zemdlał na cmentarzu. Tym razem rodzina zabrała go do lekarza, który stwierdził gruźlicę. Chłopiec zmarł miesiąc później. I tak umierali po kolei, aż w końcu Ojciec został jedynym żyjącym członkiem rodu Huang w linii męskiej.

Babcia miała tylko dwadzieścia siedem lat, a już straciła męża i najstarszego syna. Wypłakiwała sobie oczy; twierdziła, że w pewnym momencie nawet zaniewidziała. Mówiła, że myślała już, czy się nie powiesić, ale mój ojciec był wówczas zaledwie czteromiesięcznym niemowlęciem i było jej go żal. Niczym „wierna wdowa” ze starożytnych chińskich historii ślubowała więc chronić syna, tak by ród Huangów nie zaginął.

Ojciec wychował się w domu pełnym wdów. Zamieszkały razem, by wspólnie prowadzić gospodarstwo, najmować robotników do siewu i pomocy przy żniwach. To były ciężkie czasy, choć jeszcze gorsze miały dopiero nadejść. Latem 1933 roku wylała Żółta Rzeka. Przerwała tamę, która miała chronić region, i cała okolica została zalana. Woda zrujnowała domy, potopiła ludzi i zwierzęta, zabrała wszystko, co cenne. Babcia z Ojcem wdrapali się na stare drzewo i czekali przez trzy dni, aż woda opadnie. Jak powiedział mi jeden z krewnych, naczelnik powiatu był nieudolnym urzędnikiem gdzieś z Południa i zupełnie zlekceważył niszczycielskie możliwości Żółtej Rzeki. Nie było żadnej pomocy, żadnych służb ratunkowych. Naczelnik mówił tylko, żeby ludzie się modlili, i obiecywał, że jeśli ich modlitwy powstrzymają deszcz i powódź, urządzi im trzydniowy festiwal opery.

Kolejna klęska nastąpiła w 1938 roku, kiedy Chiny zaatakowali Japończycy i ich oddziały wkroczyły do prowincji Henan. Cała okolica zapełniła

się bandytami i kolaborantami, którzy grabili zboże i żywy inwentarz i zabierali wieśniakom wszystko, co ci mieli cennego. Pozbawiona mężczyzn rodzina Huangów była łatwym łupem.

– Bandyci włamali się do naszego domu i zaczęli grabić zboże i dobytek – opowiadała Babcia. – Stukali drewnianymi kijami w podłogę i ściany. Jeśli usłyszeli głuchy dźwięk, robili dziurę, żeby zobaczyć, czy czegoś nie ukrywamy.

– Kiedy rodzina upada, nawet zwierzęta chcą odejść – powiedziała. – Mieliśmy dziesięć dużych koni. Zanim przyszli Japończycy, schowaliśmy je w tajemnym ogrodzie za domem. Ale kiedy przechodziło wojsko, konie zaczęły rżeć i żołnierze wszystkie zabrali.

Brakowało jedzenia, a pszenica nie zdążyła dojrzeć. Wieśniacy wyskubali pola do ostatniego źdźbła. Wyciskali z nich sok albo je suszyli i jedli starte na proszek. Przede wszystkim rodzina musiała nakarmić Ojca, często kosztem wszystkich pozostałych.

Po krótkim czasie Babcia zdała sobie sprawę, że jeśli zostaną na miejscu, rodzinie grozi śmierć głodowa. Postanowiła więc zabrać swojego syna i wyruszyć do miasta w prowincji Shaanxi, co oznaczało, że musiała przejść kilkaset kilometrów na obandażowanych stopach. Bardzo przydało jej się to, że umiała szyć. W ciągu dnia Babcia szyła ubrania dla bogatych rodzin; nocowała w porzuconej świątyni razem z krewnymi i sąsiadami z wioski. Kiedy któregoś dnia o zachodzie słońca wilk porwał trzyletniego chłopczyka bawiącego się przed świątynią i zostały po nim tylko zakrwawione, poszarpane ubrania, Babcia wróciła z Ojcem do rodzinnej wioski, która jednak też nie była bezpiecznym schronieniem. Wiosną 1942 roku w całej okolicy nie spadła ani jedna kropla deszczu. Panował głód. Jesienią plaga szarańczy pożarła wszystko, co jeszcze zostało. Babcia opowiadała, że oboje z Ojcem żywili się korzonkami trawy i korą z drzew. Niektórzy zjadali ciała niedawno zmarłych ludzi albo łapali i zabijali obcych przechodzących przez wioskę, a zwłoki gotowali. Zmarła połowa ocalałej dotąd rodziny Huangów, w tym oboje teściowie Babci. Babcia zabrała Ojca, który teraz miał już dwanaście lat, i uciekła z Henanu.

Kiedy było bardzo ciężko, Babcia z Ojcem żebrali na ulicach, aż w końcu zarazili się tyfusem i leżeli nękani gorączką w starej, zrujnowanej świątyni. Gdy wyczołgali się stamtąd, żeby wyżebrać coś do jedzenia, ulitowała się nad nimi jakaś kobieta i co dzień zostawiała im wodę i pożywienie.

Dopiero w Xi’anie, stolicy sąsiedniej prowincji Shaanxi, Babcia z Ojcem znaleźli wreszcie schronienie. Oddziały japońskie tam nie dotarły. Żyzna ziemia i łagodny klimat sprawiały, że była to przystań dla uchodźców z Henanu. Wiejskiej kobiecie, która nigdy dotąd nie widziała żarówki, miasto wydawało się czymś oszałamiającym. Dzięki dawnym sąsiadom z wioski Babcia znalazła pracę jako służąca w domu właściciela dużego sklepu z biżuterią, pana Rena, który potrzebował kogoś do opieki nad dziećmi swojej żony i konkubin. Babcia i Ojciec zamieszkali w małej izdebce przylegającej do przestronnego domu z wewnętrznym dziedzińcem, we wschodniej części miasta. Babcia gotowała, prała i zajmowała się dziećmi pana Rena. Pamiętam Babcię jako dumną kobietę, zapytałem więc, jak zniosła przemianę z hołubionej córki zamożnych gospodarzy w służącą.

– Zrobiłam to dla swojego syna – powiedziała. – Zrozumie to tylko ktoś, kto sam ma dzieci.

Babcia zyskała sobie opinię silnej i zdolnej kobiety, ale wszystko ma swoje granice. Kiedy jedna z konkubin pana Rena oskarżyła ją o kradzież złotego pierścionka, Babcia, wzburzona, że podważa się jej uczciwość, wpadła we wściekłość, a konkubina uderzyła ją tak, że Babcia upadła nieprzytomna na ziemię. Ale zamiast odejść, Babcia upierała się przy swoim. Trzy dni później konkubina znalazła pierścionek, który po prostu odłożyła w inne miejsce niż zwykle. Nigdy jednak nie przeprosiła Babci, która po latach nie umiała mówić o tym zdarzeniu bez drżenia warg. Babcia mieszkała z Ojcem pod opieką pana Rena przez czternaście lat i wychowała pięcioro jego dzieci. Ta praca dała oparcie mojemu nastoletniemu ojcu, który chciał już rozpocząć samodzielne życie. W dzień pracował, a po pracy chodził do szkoły wieczorowej.

Kiedy w 1949 nastały rządy komunistów, wszystkie dawne cierpienia Babci i Ojca stały się błogosławieństwem. Uznano ich za biednych wieśniaków, prawdziwych proletariuszy, więc wszystkie możliwości, jakie dawało nowe społeczeństwo, stanęły przed nimi otworem. Ojciec dostał pracę w zakładach włókienniczych. Pod koniec lat pięćdziesiątych rząd przejął sklepy pana Rena, który teraz nie był już ich właścicielem, tylko pracownikiem. Nie mógł dłużej płacić Babci, ale ponieważ Ojciec miał stałe dochody, uznała, że już nie musi być służącą.

W 1956 roku Ojciec poślubił kobietę, która wychowała się w jego rodzinnych stronach, a do Xi’anu przyjechała z ciotką. Ta kobieta to była

moja matka. Ojciec miał wtedy dwadzieścia osiem lat, ale Babcia nigdy nie pozwoliła mu odejść. Mieszkali wszyscy razem w maleńkiej dwupokojowej chatce na dziedzińcu domu pana Rena. Kiedy urodziła się moja starsza siostra, a potem ja, Babcia uznała to za znak, że dla rodziny Huangów nastały lepsze czasy. Opiekowała się nami, kiedy mama była w pracy.

Ku frustracji Ojca Babci nic a nic nie obchodziły rewolucja, która zakończyła ich udrękę, ani też późniejsze kampanie polityczne przeciwko jej dawnym wyzyskiwaczom. Uważała, że nieszczęściom spotykającym rodzinę winny jest jej własny los i mściwy duch dawnego dzierżawcy, który – jak twierdziła – rzucił niegdyś na nich klątwę.

W 1966, gdy rozpoczęła się rewolucja kulturalna, Czerwona Gwardia zajęła dom pana Rena, skonfiskowała cały jego majątek, a rodzinę stłoczyła w pokoju na uboczu. Resztę domu przekazano rodzinom działaczy rewolucyjnych. Babci, jako przedstawicielce uciskanego i wyzyskiwanego proletariatu, zaproponowano większy pokój. Miała też na wiecu publicznie potępić swojego dawnego chlebodawcę. Babcia odrzuciła obie propozycje, upierając się, że zostanie w swojej izdebce. Czerwonogwardziści nie wiedzieli, co mają począć z tą niepiśmienną staruszką o krępowanych stopach, sojuszniczką rewolucji. Kiedy pana Rena prowadzono ulicami, Babcia potajemnie zajęła się jego dziećmi.

– Wychowałam je przecież jak własne – powiedziała.

Kiedy chodziłem do podstawówki, Babcia nieustannie kompromitowała mnie przed kolegami. Moja starsza siostra i ja po szkole braliśmy udział w różnego rodzaju występach muzycznych i defiladach, które miały wyrażać poparcie dla najnowszych działań Partii. Babcia wyruszała swoim chwiejnym kroczkiem, żeby nas poszukać. Gdy tylko nas zobaczyła, dawała nam burę, demonstrując w całej okazałości swój henański akcent:

– Zajmujecie się po szkole głupotami, ciągle jakaś nowa rewolucja, zamiast wrócić do domu i zająć się bratem i siostrą. Co to znów za bzdury?

Robiła tyle hałasu, że nasi koledzy wychodzili, żeby się pogapić i pośmiać. Wstydziliśmy się okropnie. Od tamtej pory koledzy wciąż się z nami drażnili, przedrzeźniając Babcię i jej akcent.

W liceum uczono nas, że komunizm oznacza, iż ludzie będą się mniej różnić pod względem majątku, władzy i pozycji. Wszyscy będą mieli jedzenia i ubrań według potrzeb. Nikt nie będzie samolubny. Wszyscy będą

chcieli ciężko pracować i pomagać innym. Kiedy powiedziałem o tym Babci, zaczęła się ze mnie śmiać i drwić z moich komunistycznych przekonań.

– To coś w sam raz dla takiego leniucha jak ty. – Zmarszczyła nos. – Ale skąd niby ma się wziąć to jedzenie i ubranie dla wszystkich? Przecież nie spadnie z nieba?

Rozzłościły mnie jej drwiny i powtórzyłem Ojcu jej słowa. Spojrzał na mnie z powagą i odparł:

– Nie słuchaj Babci i nie rozpowiadaj o tym, co mówi. Ona jest zacofaną analfabetką.

Kiedy wyszedł z pokoju, słyszałem, jak mówi do Babci:

– Uważaj. On nie ma za grosz rozumu i może wygadać kolegom. A jeśli oni doniosą władzom, ktoś może uznać, że to ja tak myślę.

To była prawda. Jeden z moich kolegów z klasy powiedział innym, że jego dziadek mówi, iż większość właścicieli ziemskich, których władze skazały na śmierć, to byli pracowici i dobrzy ludzie. Kilka dni później ojca tego chłopaka, kierownika działu kadr, wezwano na przesłuchanie pod zarzutem, że atakuje kampanię na rzecz reformy rolnej.

Babcia nigdy nie zmieniła tego, co moje rodzeństwo nazywało „wstecznym i nierewolucyjnym sposobem myślenia”. Kiedy przeczytałem historię o wiernej wdowie, zapytałem Babcię, czy czuje się ofiarą wyszydzanego konfucjanizmu, skoro została wdową na całe życie. Liczyłem na to, że potępi oparty na ucisku system feudalny i będzie wychwalać komunistyczną emancypację kobiet. Spojrzała na mnie, jakbym postradał rozum.

– A co ma do tego Konfucjusz? Nie chciałam, żeby mój syn był źle traktowany przez ojczyma. To wszystko.

Poszedłem do Ojca, który – ku memu zdumieniu – zgodził się z Babcią.

– Poświęciła się dla mojego dobra – powiedział. Kiedy Babcia z Ojcem przybyli do Henanu, Babcią zainteresował się pewien kupiec. Kilkakrotnie oświadczał się jej przez swatkę. Wielu jej przyjaciół i krewnych próbowało ją przekonać, by rozważyła jego propozycję:

– Kiedy masz męża w domu, łatwiej jest wychować syna i nie musiałabyś tak ciężko pracować – mówili. Ale Babcia nie ustąpiła. Zawsze też dbała o swoją reputację. Matka uznała, że to niezła historyjka do opowiadania znajomym, ale nie spodziewała się, że dzięki niej szacunek do Babci jeszcze wzrośnie. Kiedy teraz o tym myślę, przypominam sobie dwie różniące się nieco reakcje słuchaczy. Gdy Babcię wychwalali mężczyźni, mówili

o jej poświęceniu „dla dobra ojca i rodziny – to takie rzadkie w tych czasach”. W podziwie kobiet było też współczucie: „Wyobrażacie sobie, jak ciężko musiało być młodej wdowie samotnie wychowywać syna? Bądźcie dla niej mili”.

Kiedy więc Babcia rozmawiała z innymi starszymi paniami z sąsiedztwa o tym, jak chciałaby zostać pochowana, nikt nie uważał tego za przesadę. Ci, którym Ojciec zwierzył się ze swojego dylematu – bliscy przyjaciele, głównie mężczyźni, i kilku krewnych – zalecali rozwagę. Nasz daleki kuzyn, który często bywał u nas w domu, stanowczo sprzeciwiał się jej pomysłowi; liczyliśmy się z jego zdaniem, ponieważ w wieku dwudziestu trzech lat wstąpił do Partii i rozpoczął obiecującą karierę polityczną.

– To byłby wielki błąd polityczny – ostrzegał. – Zakaz jest surowo przestrzegany. Możecie mieć poważne kłopoty. Ale przecież możecie obiecać Babci, że ją pochowacie, a potem i tak zrobicie, jak chcecie.

– Gdybym tak postąpił – odparł Ojciec – duch Babci nawiedzałby mnie po kres moich dni. To twarda kobieta, a ja zawdzięczam jej życie.

Dylemat

Żądania Babci postawiły Ojca przed dylematem: czuł się zobowiązany urządzić jej taki pogrzeb, jakiego pragnęła, ale jednocześnie obawiał się o swą polityczną przyszłość. Od wielu lat był dla Komunistycznej Partii Chin wzorem robotnika, a w jego zakładzie rok po roku przyznawano mu tytuł wzorowego towarzysza. Jego czarno-biała fotografia regularnie pojawiała się w zakładowej gazetce. Co roku 1 lipca, w rocznicę założenia Partii, na zebraniu całej załogi wręczano mu czerwony dyplom, a czasem koledzy odprowadzali go aż do domu, bijąc w gongi i bębny na jego cześć.

We współczesnych Chinach czerwony dyplom nic nie znaczy – liczą się tylko grube czerwone koperty wręczane pracownikom na koniec roku – ale wtedy było inaczej. Premie uważano za obyczaj kapitalistyczny, demoralizujący i niehonorowy. Ojciec dawał dyplomy do oprawy, a potem wieszał je tak, by były widoczne już od progu. Na Babci, która gardziła wszystkim, z czego nie ma pożytku, nie robiły wrażenia. Mamrotała: „I co ty z tego masz? Wymienisz je na ryżowe bułeczki?”. Ale zdając sobie sprawę, że obraża Ojca takimi słowami, przyznawała, że czerwony to szczęśliwy kolor i że dyplomy ładnie wyglądają na ponurych białych ścianach.

Członkostwo w Partii oznaczało nie tylko przyjęcie jej ideologii i polityki, ale także wyższych standardów moralnych. Od towarzyszy oczekiwano, że będą pracować ciężej niż pozostali, przewodzić innym i prowadzić przykładne życie rodzinne. Partia idealizowała swoich członków, a lud szedł w jej ślady.

Ojciec był kierownikiem magazynu, co jednak tylko brzmiało poważnie. Pracował w państwowych zakładach produkujących żeliwne garnki i przybory kuchenne oraz rury do celów przemysłowych. W zakładzie wszędzie unosiły się sadza i ołowiany pył, które osiadały na dachach i na drzewach. Robotnicy wyglądali po pracy jak górnicy, twarze i ręce mieli wysmarowa-

ne sadzą z form do żeliwa. Ojciec zaglądał do fabryki tylko raz dziennie, żeby sprawdzić, ile wyprodukowano garnków i innych naczyń. Miał więc czyste twarz i kombinezon. Często po szkole przychodziłem do jego biura, żeby odrabiać tam lekcje. Ojciec bez przerwy stał pochylony na platformach ciężarówek, sprawdzając, ile garnków i innych przyborów kuchennych załadowano i czy zgadza się to z zamówieniem i dostawami. Czasem kolejka samochodów nie kończyła się przez cały dzień, a kiedy wreszcie odjeżdżały, Ojciec musiał jeszcze sprawdzić, czy wszystko jest w porządku w księgach. Nigdy jednak nie narzekał.

Kiedy moja nauczycielka wychowania politycznego szukała kogoś, kto mógłby opowiedzieć nam o tym, jak ciężkie było życie przed rewolucją i jak dużo zmieniło się na lepsze wraz z nastaniem nowego socjalistycznego społeczeństwa, zgłosiłem mojego ojca. Słuchałem przecież nieraz, jak opowiada o tamtych czasach, ale i tak się denerwowałem, bo wiedziałem, że moi koledzy wykorzystają każde jego potknięcie, żeby mnie później dręczyć. Bałem się też, że tak jak Babcia zrzuci winę za wszelkie trudy i cierpienia na jakiegoś mściwego ducha.

Ojciec jednak dobrze się przygotował. Kierownik wydziału propagandy w jego zakładzie spisał mu wytyczne, które jasno wskazywały, który reżim należy potępić, a który wychwalać. Nauczycielka powiedziała później, że o taką właśnie pogadankę jej chodziło.

Oto jak Ojciec opowiedział o swojej wczesnej młodości. Urodził się – wedle chińskiego kalendarza księżycowego – 16 grudnia 1928 roku. Mówił o tym, jak gdy był mały, stracił ojca i innych krewnych z powodu epidemii gruźlicy. Podkreślił, że wieśniacy nie mieli dostępu do edukacji ani pojęcia o nowoczesnej medycynie, więc szukali pomocy u szamanów albo palili kadzidła. Zacofany system publicznej opieki zdrowotnej nie był w stanie powstrzymać epidemii.

Jak opowiadał Ojciec, ich wioska leżała na żyznych lessowych glebach, gdzie dobrze rosły pszenica i orzeszki ziemne, ale powodzie i susze przyniosły wiele nieszczęścia. Głód, jaki nastał w 1942 roku, sprawił, że Ojciec stał się gorliwym zwolennikiem komunistów. Miał wtedy czternaście lat. Z powodu suszy wszędzie brakowało jedzenia. Miejscowi urzędnicy jednak nadal ściągali podatki, sprzedawano więc zapasy zboża i bydło, żeby zaspokoić ich żądania. Przez głód i plagę szarańczy zginęły ponad trzy miliony ludzi, na dodatek prowincję Henan najechali Japończycy, którzy grabili

i palili wioski i gwałcili kobiety. W wielu miejscach wieśniacy tak bardzo mieli dość skorumpowanego rządu nacjonalistów, że kolaborowali z japońskimi najeźdźcami. Ojciec i Babcia dołączyli do innych ludzi, których głód wygnał na zachód. Wszędzie leżeli zmarli albo umierający. Ojciec nie wspominał o bandach, które zabijały i zjadały uchodźców na drogach, opowiedział jednak historię o tym, jak pewni ludzie, nie mając już sił pchać dalej taczki, w której siedziało dwóch ich synków i córeczka, wyjęli dziewczynkę i zostawili ją przy drodze. Błagali Babcię, żeby wzięła ją ze sobą jako służącą albo córkę, ale dla niej liczył się tylko Ojciec, poszła więc dalej. Kiedy Ojciec opowiadał, jak tę małą dziewczynkę porzucono na pewną śmierć, w oczach wezbrały mu łzy.

– Można by się spodziewać, że władze dostrzegą powagę sytuacji i natychmiast dostarczą zapasy żywności, żeby pomóc uchodźcom – powiedział Ojciec, zwracając się do mojej klasy. – Ale nie, skorumpowani nacjonaliści byli zbyt zajęci dzieleniem się tym, co zostało, a potem uciekali przed Japończykami, również grabiąc po drodze, co się dało. Znikąd nie było ratunku – dodał. – Gdyby nie Przewodniczący Mao i Partia, nadal jedlibyśmy korę z drzew. – To ostatnie zdanie zabrzmiało nieco sztucznie, domyśliłem się więc, że wyszło spod pióra kierownika wydziału propagandy. Doświadczywszy w dzieciństwie upokarzającej biedy, Ojciec uwierzył w nowe społeczeństwo oparte na równości i dostatku, które obiecywał Przewodniczący Mao.

– Kiedy byłem w waszym wieku, nie miałem pieniędzy, żeby pójść do szkoły – powiedział. – Zazdrościłem dzieciom, które mogły siedzieć w jasno oświetlonych klasach i czytać książki, nie martwiąc się o pożywienie i dach nad głową.

Opowiedział, jak bliscy śmierci byli z Babcią w tamtej opuszczonej świątyni, gdy leżeli złożeni tyfusem. Zerknąłem na nauczycielkę i zobaczyłem łzy połyskujące w kącikach jej oczu.

Gdy zbierałem materiały do tej książki, sprawdziłem dane dotyczące klęski głodu w 1942 roku. To prawda, że nacjonalistyczny rząd, zajęty wojną z Japonią, wykazał obojętność i nie spieszył się zanadto z pomocą. Zmarło wtedy około trzech milionów ludzi. Jednak w latach 1959–1961 klęska głodu spowodowana radykalną polityką Przewodniczącego Mao doprowadziła do śmierci około trzydziestu do czterdziestu milionów ludzi. Ale ponieważ

Partia uparcie blokowała dostęp do informacji, Ojciec nie mógł o tym wiedzieć.

Stojąc przed całą klasą, Ojciec oświadczył, że teraz z pewnością żyje nam się dużo lepiej, że życie bardzo się zmieniło pod rządami komunistów, że nawet jego własna rodzina, złożona z siedmiu osób, może mieć dwa rowery, dwa zegarki marki Czerwony Sztandar, maszynę do szycia i dwupokojowe mieszkanie. Wspomniał nawet o ogromnej mahoniowej szafie kupionej za pięć juanów na wyprzedaży zorganizowanej przez partyjny komitet rewolucyjny, który skonfiskował meble i inne cenne przedmioty kapitalistom i kontrrewolucjonistom podczas rewolucji kulturalnej.

Gdy Ojciec skończył swą przemowę, nauczycielka zachęciła klasę do gorących oklasków. Chociaż moi koledzy przedrzeźniali później henański akcent Ojca, jego opowieść zrobiła na nich ogromne wrażenie.

Kiedy Ojciec opowiadał mojej klasie o życiu biednego wiejskiego chłopca w czasach przedkomunistycznych, nie wspomniał o tym, że wywodzi się z rodziny zamożnych posiadaczy ziemskich. Jak to ujęła Matka: „Rodzina Huangów miała szczęście, że straciła cały swój majątek przez wojnę, powódź i głód. Inaczej, zamiast wygłaszać pogadanki dla młodzieży, stałbyś na scenie w wielkiej oślej czapce podczas publicznego potępienia”. Ojciec nigdy nie wspominał też o fakcie, że kiedy miał jedenaście lat, rodzina zaaranżowała jego małżeństwo z szesnastolatką. Małżeństwa dzieci, jako jeden z symboli starego porządku, były od dawna zakazane w komunistycznych Chinach. Ślub Ojca odbył się tuż po inwazji japońskiej na Chiny. Młode kobiety z zamożnych rodzin albo wychodziły za mąż, albo smarowały twarze sadzą i ziemią, żeby ukryć swój wygląd, tak by japońscy żołnierze na posterunkach nie dostrzegli, że są pięknymi młodymi dziewicami, bo wtedy by je zgwałcili. Swatka znalazła dla Ojca dziewczynę z pobliskiej wioski. Babcia, która chciała, by jej syn jak najszybciej założył rodzinę, ustąpiła. Odbyła się skromna, pospieszna ceremonia zaślubin i młoda żona zamieszkała u Huangów. Rok później, gdy do wioski dotarły słuchy o brutalności Japończyków wobec młodych kobiet, Babcia odesłała synową do domu w obawie, że rodzina nie będzie w stanie jej uchronić. Małżeństwo rozpadło się. Ojciec nigdy nie opowiedział o tym Matce. Dowiedziałem się o tym dopiero długo po jego śmierci, kiedy wybrałem się do jego rodzinnej wioski.

Co ważniejsze, rzadko opowiadał o czasach, gdy był dwudziesto- i trzydziestolatkiem. Jeden z jego kolegów wspomniał, że Ojciec był kiedyś robotnikiem. Jakoś nie mieścił mi się w głowie obraz Ojca ciągnącego długie drewniane platformy pełne garnków. W naszym albumie rodzinnym było zdjęcie przystojnego młodego człowieka, ubranego w golf w zachodnim stylu, z włosami schludnie zaczesanymi na bok. Ojciec powiedział, że to zdjęcie zrobiono mu w dwudzieste piąte urodziny. Wygląda na nim raczej jak naukowiec niż jak pracownik fizyczny. Wydawał się zbyt delikatnej postury, o zbyt wyrafinowanym umyśle. Większość robotników w fabryce Ojca była niepiśmienna, nosili brudne kombinezony i mówili prymitywnym językiem, podczas gdy Ojciec doskonale znał chińską literaturę i tradycje i biegle posługiwał się liczydłem. Pytałem go wiele razy, czy naprawdę na początku był robotnikiem. Ale wymigiwał się od odpowiedzi: „Powiem ci, kiedy dorośniesz”.

W 1984 roku pojechaliśmy razem na wycieczkę. Podczas długiej podróży pociągiem zaczął wreszcie opowiadać o swojej przeszłości. To było jak dalszy ciąg pogadanki o dawnych, ciężkich czasach wygłoszonej dla mojej klasy, z tym że tym razem mówił bardziej otwarcie, bez propagandowej otoczki.

Po przejęciu władzy przez komunistów w 1949 roku Ojciec zatrudnił się w zakładach włókienniczych. Po pracy uczył się w szkole wieczorowej. Zawsze uważał, że to komunistom zawdzięcza umiejętność czytania i pisania, która daje wolność. W ciągu kilku lat przeczytał większość klasycznej literatury chińskiej, chodził do kina i na opery. Partia dostrzegła jego pilność i przeniesiono go do miejscowego wydziału kultury.

Ojciec naprawdę uważał Partię za elitę, siłę przewodnią społeczeństwa, i bardzo pragnął stać się jej częścią. Żeby uzyskać członkostwo, trzeba było przejść długą, żmudną procedurę, więc Ojciec, żeby zwiększyć swoje szanse, aktywnie uczestniczył w każdej kampanii politycznej. W okresie Wielkiego Skoku Naprzód, kiedy to Przewodniczący Mao wykoncypował sobie ambitny plan błyskawicznego uprzemysłowienia kraju, Ojciec i jego koledzy pracowali dniem i nocą, spali tylko po kilka godzin. Ojciec naprawdę wierzył, że kraj jest w stanie za pomocą prowizorycznych pieców do wytopu wyprodukować dość żelaza i stali, by zwalczyć gospodarcze embargo Zachodu nałożone na komunistyczne Chiny.

– Chiny to taki wielki kraj. Skoro udało nam się pokonać Stany Zjednoczone w Korei, na pewno uda nam się z uprzemysłowieniem. Byliśmy tacy pewni siebie – opowiadał Ojciec. Niesiony, jak sam to nazwał, młodzieńczą pasją i entuzjazmem, po raz pierwszy złożył podanie o członkostwo w Partii. Był rok 1958.

– Byłem młody, pełen entuzjazmu, szczery i nieustraszony – powiedział. Jego ton wskazywał, że chętnie by dodał: „I durny". Na początku 1959 roku miejscowy sekretarz Partii zachęcał młodych ludzi, by krytykowali partyjnych urzędników, aby pomóc im stać się lepszymi działaczami. Ojciec wziął to za dobrą monetę i powiedział, że sam sekretarz powinien być bardziej otwarty na sugestie innych, bo jest zbyt „dyktatorski". Ojciec sądził, że sekretarzowi naprawdę zależało na konstruktywnej krytyce, bo nawet zanotował jego sugestie. Ale potem przez wiele dni sekretarz traktował go chłodno, a niedługo później Ojca zawiadomiono, że Partia potrzebuje go do walki z analfabetyzmem w górskiej wiosce w północnej części prowincji Shaanxi. Ojciec wiedział, że to zemsta za jego szczerość. Po dwóch miesiącach swojej misji dostał telegram od Babci z wiadomością, że spadła ze schodów i poważnie złamała nogę. Pospieszył więc do domu, żeby się nią zająć, i wrócił do wioski, kiedy jej stan się poprawił. Wtedy sekretarz zarzucił mu, że rodzina jest dla niego ważniejsza niż rewolucja, i Ojca wyrzucono z Partii.

W roku 1960 nie było dobrze zostać bez pracy; skutkiem kampanii Wielki Skok Naprzód był głód, który opanował cały kraj. W miastach obcięto przydziały żywności, a Ojciec nie dostawał już od władz dopłat na jedzenie. Matka zarabiała niewiele, a kupowanie żywności na czarnym rynku wyczerpało rodzinne oszczędności. Ojciec chwytał się więc dorywczych zajęć: reperował buty u ulicznego szewca, a w dni wolne od pracy jechali razem z Babcią rowerem za miasto, żeby na polach, z których zebrano już plony, szukać pozostawionych liści kapusty. Partia ukrywała swoje błędy, utrzymując, że to susza jest winna głodu, a Ojciec łatwo uwierzył w tę propagandę. Ale mimo to było to dla niego i innych upokarzające doświadczenie.

– Możesz sobie wyobrazić, jak bardzo ludzie byli zdesperowani – powiedział. Pewnego razu ubrany schludnie w maoistyczny mundurek mężczyzna w średnim wieku minął go na rowerze i zatrzymał się kawałek dalej. Zsiadł z roweru, pochylił się i podniósł coś z ziemi. Ojciec sądził, że to moneta, ale kiedy podszedł bliżej, zobaczył, że to wyrzucony przez kogoś ogonek

od gruszki. Mężczyzna włożył go do ust i ssąc chciwie, powoli popedałował dalej.

– Ludzie puchli z głodu, mieli obrzmiałe twarze i nogi. Zdarzało się, że upadali na ziemię i umierali – opowiadał.

W 1964 roku znajomy załatwił mu pracę w zakładach produkujących naczynia. To była praca fizyczna, ładowanie i rozładowywanie żeliwnych garnków i ciągnięcie wielkiej drewnianej platformy. Wtedy już byłem na świecie. Ojcu wydawało się, że nie wytrzyma tak ciężkiej pracy, ale z dwójką dzieci i matką na utrzymaniu nie miał wyboru.

Wyrzucenie z Partii i brak pracy podczas klęski głodu w 1960 roku osłabiły jego wiarę w Partię i podkopały zaufanie.

– Nauczyłem się ważnej rzeczy: trzeba trzymać język za zębami – powiedział Ojciec. Na szczęście nie poniósł żadnych konsekwencji. Chociaż stracił pracę za to, że ośmielił się skrytykować sekretarza, nie uznano tego za sprawę polityczną. Na dodatek obrażony sekretarz został usunięty na początku rewolucji kulturalnej, kiedy Przewodniczący Mao zmobilizował miliony młodych ludzi, zwanych czerwonogwardzistami, do ataku na urzędników państwowych oraz intelektualistów, by odebrali władzę tym, którzy – jego zdaniem – zboczyli z drogi komunizmu. Kilka lat później Ojciec został zrehabilitowany i otrzymał niewielką sumę pieniędzy jako rekompensatę za utracone zarobki. Zaproponowano mu powrót do pracy w wydziale kultury, ale on już nie był na bieżąco w tej dziedzinie i czuł się bezpieczniej jako robotnik.

Dzięki swojej życzliwości i pracowitości dobrze sobie radził w nowej pracy. Szybko awansował na stanowisko kierownika magazynu. W szczytowym okresie rewolucji kulturalnej Ojciec był bardziej obserwatorem niż uczestnikiem. Przychodził co dzień do pracy i starał się utrzymywać przyjazne relacje ze wszystkimi, choć załoga podzieliła się na obozy, które oskarżały się wzajemnie o zdradę komunistycznych ideałów i walczyły o władzę w fabryce. Proletariackie pochodzenie i niska pozycja zwykłego robotnika chroniły Ojca przed atakami, gdy przyglądał się z boku, jak walka na słowa zmienia się w walkę na pięści. Każde ze stronnictw zajęło jakiś budynek fabryki i strzelało do przeciwników z samoróbek. Nikt nie pracował.

W 1969 roku w Xi’anie uspokoiło się, sytuacja polityczna się ustabilizowała i fabrykę uruchomiono na nowo. Wydawało się, że w życiu Ojca wszystko ma się ku lepszemu. W tym czasie Przewodniczący Mao postano-

wił zrobić czystkę w szeregach Partii i zrekrutować zwykłych robotników i chłopów. Ojciec znów wpadł w oko władzom miejscowej organizacji partyjnej. Mam nadzieję, że stało się tak dlatego, iż w okresie zamętu politycznego w nic się nie mieszał i nie narobił sobie zbyt wielu wrogów. Poproszono, by złożył podanie o członkostwo w Partii. Matka sprzeciwiała się temu w obawie, że Ojciec znów się narazi. Ale on był pełen nadziei. Przynależność do Partii była dobra dla jego kariery i dla dzieci. Napisał więc podanie, w którym opisał swoje dawne ciężkie przejścia za reżimu nacjonalistycznego i wyraził wdzięczność dla Przewodniczącego Mao oraz Partii. Napisał też, że uważa Partię za awangardę klasy robotniczej i że bardzo pragnie jej służyć. Ponieważ nigdy nie podobał mu się jego własny charakter pisma, poprosił, żebym ładnie przepisał podanie na nowym formularzu, który dostał z wydziału organizacyjnego. Trudziłem się nad tym długie godziny, po czym pokazałem mu rezultat. Spojrzał i pokręcił głową.

– Twoje pismo jest za mało eleganckie – stwierdził. W końcu poprosił o pomoc pracownika rozgłośni zakładowej, którego piskliwy głos słychać było co dzień przez głośniki, kiedy podczas przerwy obiadowej czytał wstępniaki z partyjnej gazety.

Po niedługim czasie urzędnik z wydziału propagandy dał Ojcu znać, że kierownictwo rozważa jego podanie. Partia przyznała mu instruktora, który co miesiąc miał z nim rozmawiać, by ocenić jego świadomość polityczną i wskazać mu, co powinien jeszcze poprawić. Dziewięć miesięcy po złożeniu przez Ojca podania Partia wysłała dwóch urzędników, by przeprowadzili wywiad środowiskowy w jego rodzinnej wiosce. Wysłano też listy z prośbą o opinie do jego dawnych pracodawców oraz do komitetów sąsiedzkich. Kusząca obietnica członkostwa była coraz bliżej.

Pewnego dnia ktoś z kierownictwa zakładu wziął Ojca na stronę i wyjaśnił mu, że sprawa „utknęła”. Zakład dostał anonim od jednego z sąsiadów Ojca: autor donosił, że w czasach głodu, w roku 1961, Ojciec sprzedawał buty na czarnym rynku. Było to poważne oskarżenie. Handel na czarnym rynku to była nielegalna praktyka kapitalistyczna. Ojciec wyjaśnił, że przez pewien czas po wyrzuceniu z pracy pracował u szewca, ale nigdy nie sprzedawał butów.

Dopiero dużo później dowiedział się, kto złożył skargę – był to pan Ren, dawny właściciel sklepu jubilerskiego, który żywił do Ojca urazę od początku rewolucji kulturalnej, ponieważ ten skrytykował go publicznie za

wyzyskiwanie i złe traktowanie Babci, kiedy była u niego służącą. Dalsze śledztwo, w którym zeznawali również inni sąsiedzi, potwierdziło wyjaśnienia Ojca. Fakt, że donos wymierzony w „robotnika rewolucji” napisał były kapitalista, przypieczętował sprawę.

W 1972 roku Ojciec został członkiem Komunistycznej Partii Chin. W ten sposób spełniło się to, o czym marzył od 1958 roku. Kiedy ogłoszono tę wiadomość, jeden z jego kolegów zabrał mnie pod salę zebrań. Stanęliśmy na zewnątrz i zaglądaliśmy przez okno. Widziałem, jak Ojciec podnosi prawą rękę i ślubuje wierność Przewodniczącemu Mao i Partii. Członkostwo w Partii na nowo obudziło w nim nadzieje i przyniosło nieoczekiwane korzyści. Rok później fabryka, w uznaniu za jego pracę, przyznała mu spore mieszkanie na nowo wybudowanym osiedlu niedaleko zakładów – w rzeczywistości było to sześć ciasno upakowanych rzędów ponurych domków o glinianych ścianach i narożnikach z czerwonej cegły.

Cały nasz dobytek zmieścił się na jednej ciężarówce, która zawiozła nas z dziedzińca dawnego domu pana Rena przez hałaśliwe, zatłoczone centrum Xi’anu do rozwijających się północnych przedmieść. Byliśmy jednymi z pierwszych lokatorów. Wokół było pustkowie. Babcia, dumna z osiągnięć syna, wpadła w panikę, gdy dowiedziała się, że osiedle zbudowano na dawnym miejscu egzekucji, gdzie rozstrzeliwano przestępców i kontrrewolucjonistów. Bała się ich duchów. Na nas, dzieci, czyhały inne niebezpieczeństwa. W mieście stale groziło nam, że się zgubimy. Tutaj za to były wilki. Zakazano nam kategorycznie wychodzić z domu po zmroku i pouczono nas, jak w razie ataku stada wilków posłużyć się latarką. W mieszkaniach nie było bieżącej wody, a wspólne wychodki znajdowały się dwie uliczki dalej. Czuliśmy się tak, jakbyśmy mieszkali na wyspie wśród pól pszenicy i państwowych gospodarstw rolnych. Babcia mówiła, że nasz dom to „nora na zadupiu”. Ale mimo wszystko Matka uważała, że jest tu dużo lepiej niż w ciasnym mieszkanku w mieście.

Po przeprowadzce do nowego mieszkania polityczne wiatry nadal sprzyjały Ojcu. Jako „postępowy robotnik” oraz „wzorowy towarzysz” został wybrany na delegata na zjazd Partii na szczeblu prowincji, a jego nazwisko pojawiło się nawet w lokalnej gazecie.

Ojciec, który zyskał w ten sposób zupełnie inną pozycję polityczną, mówił mi później, że był głęboko rozdarty między lojalnością wobec Partii

i wobec Babci. Obawiał się, że urządzenie jej tradycyjnego pogrzebu w prowincji Henan zniweczy wszystkie z takim trudem zdobyte zaszczyty.

W miarę jak Babcia coraz częściej i z coraz większym uporem mówiła o pogrzebie, Ojciec coraz bardziej się wycofywał. Rzadko odzywał się przy kolacji. Czasem, kiedy budziłem się w nocy, słyszałem, jak przyciszonym głosem rozmawia z Matką o Babci. Przyznał później, że myśl o jej śmierci ciążyła mu od dawna, jeszcze zanim Babcia skończyła siedemdziesiąt dwa lata. Czerpał otuchę z chińskiego przysłowia: „Wóz znajdzie sposób, by ominąć górę, kiedy się do niej zbliży", i miał nadzieję, że problem sam się jakoś rozwiąże. Ale teraz czuł się przyparty do muru. W ciągu tych męczących miesięcy zaczął siwieć.

W końcu poszedł po radę do swego przyjaciela Li Haoshana. Li, były urzędnik państwowy, w 1969 roku został usunięty ze stanowiska przez Czerwoną Gwardię. Kiedy zamknięto go w areszcie tymczasowym i wszyscy się od niego odwrócili, Ojciec cichcem dostarczał mu jedzenie i koce. W 1973 roku Li został zrehabilitowany i odzyskał stanowisko kierownicze w miejskim wydziale do spraw przemysłu lekkiego, któremu podlegał zakład Ojca.

– Wiele ryzykujesz, spełniając ostatnią wolę Matki – powiedział Li, nieco podśmiewając się z Ojca. – A w dawnych czasach zapisano by twoje imię w księdze troskliwych dzieci.

Li obiecał kryć Ojca, jeśli cokolwiek pójdzie źle, chociaż nie sądził, żeby były jakieś problemy.

– Twoja matka była kiedyś biedną, niepiśmienną służącą, a ty masz pochodzenie czyste jak łza – powiedział. – Pewnie puszczą ci to płazem.

Zwrócił też Ojcu uwagę, że jeśli ciało Babci zostanie przewiezione do innej prowincji, tak jak planowaliśmy, zakład pracy nie będzie miał nic do gadania. W każdym razie Li wątpił, żeby Ojcu groziło cokolwiek prócz konieczności złożenia samokrytyki. Te wskazówki dodały Ojcu otuchy. Był gotów ułożyć plan.

Obowiązek

Przed księżycowym Nowym Rokiem 1974 jeden ze współpracowników Ojca w zakładowym magazynie zamierzał wybrać się na dłuższy urlop do swojej rodzinnej wsi. Pochodził z tej samej części prowincji Henan co rodzina Huangów, więc jego wyjazd nasunął Ojcu pewną myśl. Poprosił kolegę, żeby przekazał list oraz kupon niebieskiego materiału kuzynowi Dziadka, który mieszkał we wsi położonej niedaleko wioski tego kolegi. W liście Ojciec pytał o grób Dziadka, dając do zrozumienia, że Babcia także mogłaby zostać tam pochowana.

Kiedy kolega miesiąc później zjawił się u nas w domu, przyjęliśmy go niczym odnalezionego po latach krewnego. Przywiózł ze sobą butelkę oleju z orzeszków ziemnych, lokalną specjalność, oraz wiadomość od kuzyna Dziadka: grób jest nietknięty i nie ma przeszkód, żeby pochować tam Babcię. Babcia była uradowana, ale Ojciec nadal nie był przekonany.

– Miejscowe władze mają obowiązek zakazywać pogrzebów – relacjonował kolega. – Ale ludzie na wsi, zwłaszcza starsi, są wierni tradycji i sprzeciwiają się temu zarządzeniu.

Powiedział, że kuzyn Dziadka jest chyba ważną figurą we wsi, więc jeśli tylko przewieziemy tam w jakiś sposób ciało Babci, a pogrzeb odbędzie się po cichu, powinno się udać.

– Byłoby bardzo źle, gdyby twój ojciec leżał w grobie sam – przestrzegł Ojca kolega, zanim wyszedł. – Rodzice powinni być razem po śmierci: to pradawny zwyczaj przestrzegany w naszym miasteczku i dobra wróżba dla rodziny. – Kolega uważał, że nie ma mowy, aby na wspólny pochówek przywieźć tylko prochy Babci. – To się nie liczy – dodał.

Babci ta relacja posłużyła za dowód, że powinniśmy uszanować jej wolę. Namówiła inne starsze panie z sąsiedztwa, żeby razem z nią wierciły Ojcu dziurę w brzuchu w sprawie pogrzebu.

– Tyle dla ciebie przeszła, chyba nie odmówisz jej ostatniemu życzeniu? – perswadowały mu sąsiadki.

W miarę upływu czasu Ojciec coraz wyraźniej zdawał sobie sprawę, że jest na przegranej pozycji. Gdy się ociepliło, podjął decyzję. Pewnego wieczoru po kolacji poprosił, byśmy nie wstawali jeszcze od stołu. Wyraźnie ożywiony i rozmowny, opowiedział nam historię, która nas zdumiała, bo była zupełnie bez związku z tym, o czym akurat rozmawialiśmy:

– Sun Zhong, hodowca arbuzów, wiernie służył swym starzejącym się rodzicom. Pewnego skwarnego letniego dnia przez jego pole przechodziło trzech siwobrodych starców szukających wody. Sun poczęstował ich wielkim arbuzem, który zjedli łapczywie i ze smakiem, wysiorbując sok do ostatniej kropli. Poprosili o więcej. Sun przyniósł więc z pola jeszcze większego arbuza i nie chciał od nich zapłaty. Poruszeni jego hojnością, postanowili dać mu podarunek. Jeden z nich powiedział do Suna: „Pokażę ci, gdzie jest dobre miejsce, zgodnie ze sztuką feng shui. Troszcz się nadal o swoich rodziców, a kiedy umrą, tam właśnie ich pochowaj. Jeśli to zrobisz, w waszej rodzinie urodzi się kiedyś cesarz”. Sunowi trudno było w to uwierzyć, ale słuchał uważnie i kiedy jeden ze starców kazał mu wspiąć się na wzgórze – „Nie zatrzymuj się, póki ci nie powiem” – Sun uczynił tak, jak mu polecono. Jednak po jakichś stu krokach odwrócił się, żeby popatrzeć, co tamci trzej robią na jego poletku. Uczony mąż westchnął wtedy: „Ech, za wcześnie się odwróciłeś. Zostań tam, gdzie jesteś. To także pomyślne miejsce, ale zamiast cesarza w waszej rodzinie pojawi się król, który będzie kiedyś władał Południem”. Gdy Sun oznaczył to miejsce, ujrzał, że trzej starcy zmienili się w białe żurawie i odlecieli. Sun Zhong okazywał rodzicom jeszcze większą troskę, a gdy zmarli, pochował ich tam, gdzie radzili trzej starcy. Poślubił dziewczynę ze swojej wioski. Urodził im się syn. Nazywał się Sun Jian i został władcą królestwa Wu.

Potem Ojciec dodał swoje zwykłe sprostowanie:

– Oczywiście, to tylko stara bajka. Teraz żyjemy w nowoczesnym społeczeństwie i nie wierzymy już w feng shui ani w żadne takie zabobony. – Wiedzieliśmy, że czuje się zobowiązany, by pochować Babcię zgodnie z jej ostatnim życzeniem. – Robimy to w imię przyszłości naszej rodziny – powiedział. – Co ważniejsze, w ten sposób odwdzięczamy się Babci za jej ciężką pracę. Wiele dla nas poświęciła. Teraz nasza kolej, by coś poświęcić. Znajdziemy jakiś sposób.

– To znaczy, że jeśli pochowamy Babcię w dobrym miejscu, to ja pewnego dnia zostanę kimś na stanowisku? – zapytałem.

– To zależy od ciebie – odparł Ojciec. – Jeśli będziesz troskliwym wnukiem w domu i dobrym kolegą w szkole, czary zadziałają. Być może kiedyś zostaniesz kimś ważnym.

Tamta opowieść wywarła na mnie ogromny wpływ. Nawet teraz, ilekroć ktoś na ulicy, zwłaszcza staruszek z siwą brodą albo staruszka w łachmanach, prosi mnie o pieniądze, zawsze się zastanawiam, czy przypadkiem nie jest to jakiś święty albo wróżka w przebraniu, która sprawdza moją hojność. Daję więc pieniądze z nadzieją, że zmieni się w żurawia i odleci, zostawiając mi swe błogosławieństwo. Jeśli minę żebraka obojętnie, mam poczucie winy i boję się jego zemsty.

Tymczasem, jakby chcąc podkreślić, że sprawa robi się pilna, wiosną Babcia zachorowała. Cierpiała na silne zawroty głowy, przez które potem godzinami miała mdłości. Z początku nie przejęliśmy się tym zbytnio; Babcia miała wysokie ciśnienie i uważała, że to przez moją starszą siostrę, chłopczycę, która nieustannie wdawała się w bójki, co Babcię złościło. Za każdym razem, kiedy dostawała zawrotów głowy, leczył ją doktor Gao, kierownik zakładowej przychodni. Słyszałem, że doktor Gao, który ukończył prestiżową akademię medyczną w Pekinie, wylądował tutaj jako lekarz zakładowy, ponieważ jego rodzice, profesorowie uniwersyteccy, mieli „polityczne” problemy podczas rewolucji kulturalnej.

– Babciu Huang, puls ma pani regularny jak zawsze – powiedział doktor Gao. – Pożyje pani jeszcze długo. Tymczasem proszę brać pigułki, które pani zapiszę, a poczuje się pani lepiej.

To ja musiałem pójść do przychodni, żeby zrealizowano receptę. Kiedy Babcia przez roztargnienie wzięła podwójną dawkę, pobiegłem do mieszkania doktora Gao, obawiając się o jej życie.

– Nie martw się. Nie ma żadnego zagrożenia. Powiedz Babci, żeby piła dużo wody. – Potem dowiedziałem się, że pigułki, które miały przedłużyć Babci życie, to były po prostu witaminy B i C.

Ale tym razem było inaczej. Szybko dostała gorączki, która nie ustępowała, więc doktor Gao przepisał jej antybiotyk, a kiedy i ten nie zadziałał, zalecił, żeby na wszelki wypadek poszła do szpitala. Ojciec nie lubił szpitali i uważał, że długa wyprawa przez miasto i niekończące się oczekiwanie w izbie przyjęć tylko pogorszą stan Babci. Jeden z kolegów z pracy polecił

mu doktora Xu, który nie był prawdziwym lekarzem, tylko specjalistą od medycyny tradycyjnej. Takich jak on władze nazywały „szarlatanami". Panu Xu nie wolno było leczyć chorych, pracował jako technik w zakładzie odzieżowym. Ale miał czwórkę dzieci, więc udzielał konsultacji, żeby dorobić do marnej pensji.

Xu przyszedł do nas do domu, zbadał Babci puls, obejrzał jej język i oczy i stwierdził *shanghuo* – przegrzanie – co znaczyło, że w jej organizmie tli się jakaś infekcja. Wypisał całą listę ziół, które należało gotować w glinianym garnku. To mnie przypadło zadanie zdobycia ziółek dla Babci. Poszedłem więc do państwowego sklepu zielarskiego, gdzie pachniało stęchlizną. Na półkach aż pod sufit piętrzyły się wysokie szklane słoje pełne czegoś, co wyglądało na suszone rośliny, fragmenty rogów jakichś zwierząt i dziwne kawałki nie wiadomo czego. Patrzyłem, jak sprzedawca zdejmuje słoje z korzeniami i ziołami, których nigdy wcześniej nie widziałem. Odważył je, roztarł, wymieszał, po czym dał mi sześć małych paczuszek, związanych razem brązowym sznurkiem. Co wieczór przez sześć dni Ojciec wrzucał zawartość jednej paczuszki do glinianego garnczka z wodą, który potem bulgotał przez kilka godzin na opalanym węglem piecyku. W efekcie powstawała mała miseczka wywaru. Babcia, krzywiąc się, wypijała lekarstwo.

Choroba pozbawiła Babcię sił, ale nie osłabiła jej siły woli. Pewna, że niedługo umrze, błagała Ojca, żeby przyspieszył przygotowania do pogrzebu. Była przekonana, że Ojciec ugnie się pod naciskami Partii i posłucha rady krewnego, to znaczy ledwo jej ciało ostygnie, wrzuci je do pieca.

Ostrego zapachu ziół nie dało się ukryć, niedługo więc zjawiła się u nas wciąż narzekająca pani Zhang. Często słyszałem jej wyraźny henański akcent, gdy wyliczała swą litanię cierpień i niedoli. Mieszkała cztery domy dalej, moi rodzice raczej jej unikali. Nas, dzieci, wiele razy dziennie dolatywały jej głośne i dosadne przekleństwa, gdy ganiła swego męża durnia za takie czy inne przewinienie. Zaskoczył mnie więc widok miłej jak nigdy pani Zhang, która wpadła i porwała rodziców w objęcia, szepcząc coś i gestykulując. Pani Zhang była pierwszą osobą spoza rodziny, z którą rozmawialiśmy o tym, że trzeba zrobić trumnę i przygotować zestaw *shouyi* – śmiertelną wyprawę – by przegnać złe duchy, które sprowadziły na Babcię chorobę. Okazało się, że pani Zhang, wówczas po pięćdziesiątce, jest specjalistką od tych spraw. Kiedyś podobno dzieci często starały się o trumny dla swych starszych rodziców jeszcze za ich życia. Jej własny pradziadek

kupił trumnę, gdy skończył sześćdziesiąt lat, i co roku na swoje urodziny malował ją kolejną warstwą czarnej farby. Dożył osiemdziesiątki. Pani Zhang pochodziła z tego samego regionu co Babcia i dobrze się znała na dawnych tradycjach i zwyczajach, więc Ojciec zaufał jej przynajmniej w tej jednej delikatnej sprawie.

Paradoksalnie, nasi sąsiedzi, w tym pani Zhang, pilnie uczęszczali na wszelkiego rodzaju zebrania związane z tępieniem zabobonów, ale niewielu z nich rzeczywiście stosowało się do zaleceń Partii. Gdy komuś zdarzało się postąpić wbrew nakazom, tłumaczył to dawnym zwyczajem prowincji Henan czy Xi'anu. „Postępowanie wbrew zwyczajom przynosi pecha". Kiedy więc pani Zhang powiedziała, że trzeba przygotować trumnę dla Babci, nikt nie uznał tego pomysłu za niedorzeczny.

Współcześnie trumny przestały być tylko ponurym symbolem śmierci, a stały się symbolem szczęścia żywych. Chińscy urzędnicy i zamożni przedsiębiorcy kupują miniaturowe pozłacane trumienki i stawiają je na eksponowanych miejscach w swoich gabinetach jako rodzaj talizmanu. Ale w latach siedemdziesiątych szykowanie trumny dla kogoś, kto jeszcze żyje, i to w dużym mieście, stanowiło akt nieposłuszeństwa wobec polityki Partii i mogło spotkać się z surową karą. Ojciec jednak uważał, że jeśli trumna może w jakiś sposób pomóc Babci wrócić do zdrowia i zapewnić jej spokój, jest gotów podjąć ryzyko.

Widywałem już kiedyś te złowrogo wyglądające trumny podczas pogrzebów w wioskach niedaleko naszego osiedla. Wydawały mi się czymś przerażającym. Rozumiałem, że różne prace trzeba planować i dzielić między kilka osób: Matka przygotowywała dla mnie rzeczy do szkoły na kilka lat przed tym, kiedy miałem ich potrzebować, często też z grupą innych kobiet szyła piękne kołdry dla będących na wydaniu córek znajomych. Ale zamawianie trumny, zanim jeszcze Babcia umarła?

Pomysł z trumną, podsunięty przez panią Zhang, stał się w mojej rodzinie powodem kolejnych kłótni, zwłaszcza między Babcią a Matką. Ojciec jak zwykle dyplomatycznie milczał, chociaż już podjął decyzję.

Matka obiecała wcześniej, że uszanuje wolę Babci, ale po cichu miała nadzieję, że po jej śmierci zdoła przekonać Ojca do zmiany zdania. Wiedziała doskonale, że Ojciec boi się władz i ceni sobie swoją nową pozycję polityczną. A jeśli postaramy się o trumnę, nie będzie już odwrotu od pogrzebu. Powiedziała więc ostro do Ojca:

– Jeśli chcesz pożegnać się z członkostwem w Partii, proszę bardzo.

Po czym wskazała schludny stos kartonów, w których trzymaliśmy ubrania, i zaczęła utyskiwać:

– Nie mamy pieniędzy, żeby kupić drewnianą szafę dla żywych. Więc jakim cudem ma nas być stać na dużą trumnę? I gdzie ją pomieścimy w tym ciasnym mieszkaniu? Może w kuchni?

Babcia siedziała na łóżku, nadąsana. Kiedy Matka wyszła z pokoju, zaczęła zrzędzić, wskazując ją palcem:

– Co za podła kobieta! Wiem, że najchętniej zaraz po mojej śmierci spaliłaby mnie na popiół – powiedziała. – Ale ja na to nie pozwolę! Chcę mieć trumnę!

Ojciec tylko bezradnie kręcił głową.

Ku rozczarowaniu Babci moja starsza siostra i ja także byliśmy przeciwni pomysłowi zakupu trumny. Babcia wychowała nas oboje i liczyła na to, że w tych kłótniach z Matką staniemy po jej stronie. Ale tym razem mieliśmy ważne powody, żeby ją zdradzić. Po pierwsze, wizja trumny stojącej w mieszkaniu wydawała nam się okropna, a po drugie, oboje nas czekały ważne życiowe decyzje i wiele zależało od tego, czy Ojciec będzie miał nadal silną pozycję w Partii.

Moja starsza siostra kończyła w tym roku liceum. Biegła w matematyce, marzyła o tym, by skończyć studia i zostać matematyczką. System uczelni wyższych w Chinach zaczął właśnie na początku lat siedemdziesiątych funkcjonować na nowo, po tym jak Przewodniczący Mao na początku rewolucji kulturalnej w 1966 roku zamknął uniwersytety, uznając je za matecznik burżuazji i kontrrewolucjonistów. W nowym systemie uniwersytety miały przyjmować tylko wywodzących się z rodzin rewolucyjnych i politycznie godnych zaufania młodych robotników, chłopów oraz żołnierzy. Siostra uważała, że jest idealną kandydatką. Należała do Czerwonej Gwardii i do Ligi Młodzieży Komunistycznej. Ona i jej koledzy, choć byli zbyt młodzi, żeby kilka lat wcześniej brać udział w biciu nauczycieli, rujnowaniu świątyń i paleniu książek, wciąż nosili czerwone opaski na ramieniu i na ochotnika zgłaszali się do kierowania ruchem albo do pomocy przy żniwach. Dwa miesiące przed ukończeniem szkoły siostra na zebraniu Ligi ślubowała, że odpowie na apel Przewodniczącego Mao i zamieszka na wsi w odległym rejonie Chin. Życie na wsi jawiło jej się zarazem jako przygoda i trampolina do kariery – jeśli dodać do tego nienaganne proletariackie po-

chodzenie mojej siostry, spełniałaby teraz wszelkie warunki, żeby przyjęto ją na studia.

Ja byłem w podobnej sytuacji. Tydzień przed wizytą pani Zhang kierowniczka szkoły po cichu wzięła mnie do swojego gabinetu i powiedziała, że wybrano mnie na kandydata do Szkoły Języków Obcych w Xi'anie. Przypomniała mi, że szkoła daje pierwszeństwo dzieciom robotników i chłopów, a ponieważ absolwentom powierza się kontakty z cudzoziemcami, ważne, żeby pochodzili z godnej zaufania, rewolucyjnej rodziny.

Kiedy powiedziałem o tym rodzicom, Matka wybuchnęła śmiechem, uważając to za przedni żart. Rodzice nigdy nie słyszeli nikogo mówiącego w obcym języku, a co dopiero mnie, dawnego jąkałę. Ojciec był zaniepokojony. W latach pięćdziesiątych wiele osób, łamiąc sobie języki, uczyło się rosyjskiego, żeby móc rozmawiać ze specjalistami, którzy przyjeżdżali ze Związku Radzieckiego, naszego wielkiego socjalistycznego sojusznika. Kiedy jednak Nikita Chruszczow potępił czystki przeprowadzane przez Józefa Stalina, Przewodniczący Mao nazwał go rewizjonistą. Omal nie doszło do wojny. Naukę rosyjskiego szybko zarzucono.

Rodzice poszli do córki znajomego, którą dwa lata wcześniej przyjęto do tej właśnie szkoły. Chcieli się dowiedzieć, dlaczego wybrano akurat mnie. Dziewczyna opowiedziała, że po przyjęciu Chin do ONZ w 1971 roku i po wizycie Nixona w roku kolejnym Przewodniczący Mao nakazał, by w nielicznych, wybranych szkołach na wczesnym etapie edukacji zacząć uczyć młodych ludzi angielskiego, żeby mogli później pomóc Chinom w walce z imperializmem na arenie międzynarodowej. Cytowano słowa Przewodniczącego: „Znajomość języka obcego to jeden z rodzajów rewolucyjnej broni w walce, jaką jest życie". Zapytałem Ojca, jak język obcy może być bronią, a on powiedział:

– Jeśli chcesz pokonać wroga, musisz go poznać i mówić jego językiem. To starożytna strategia wojskowa.

Wtedy nic to dla mnie nie znaczyło. Wiedziałem tylko, że spotkał mnie niebywały zaszczyt, ponieważ cały ten system kształcenia powstał na polecenie samego Przewodniczącego Mao, i moi rodzice byli bardzo przejęci.

Kiedy przed rozmową kwalifikacyjną dostałem formularz zgłoszeniowy, w miejscu, gdzie pytano o pochodzenie, wpisałem, bardzo pewny siebie: „Klasa robotnicza. Ojciec jest członkiem Partii". Powiedziano nam, że rozmowa ma na celu ocenę naszej świadomości politycznej i sprawdzenie, czy

nie mamy jakichś wad wymowy. Czekając na swoją kolejkę, nerwowo ćwiczyłem sobie odpowiedzi na pytania. Byłem gotów jak najlepiej wykorzystać swoje pochodzenie i pochwalić się postępami w nauce.

W małym, przytulnym gabinecie siedział za biurkiem pan w grubych okularach, który łagodnie mnie przywitał i zapytał o rodzinę. Opowiedziałem mu historię Babci: jak biedna kobieta, uciskana i wyzyskiwana przez klasę rządzącą, tylko dzięki własnej wytrwałości dotarła do Xi'anu, żeby ocalić jedyne dziecko, jakie jej zostało. Wspomniałem, że tym dzieckiem był mój ojciec, który teraz, nawiasem mówiąc, należy do Partii. Egzaminator patrzył na mnie uważnie i słuchając, często przytakiwał. Powiedział, że teraz wymówi kilka słów po angielsku, a ja mam spróbować je powtórzyć.

– *So-cia-lism* – powiedział. To było pierwsze angielskie słowo, jakie usłyszałem w życiu. Byłem zafascynowany. *So-cia-lism*. Słyszałem to słowo tysiące razy po chińsku, ale w obcym języku brzmiało egzotycznie. Powtórzyłem. Egzaminator wypowiedział inne słowo:

– *Re-vo-lu-tion*.

Powtórzyłem za nim. Kiedy wyszedłem, moja siostra wyszeptała:

– Długo cię trzymał, to dobry znak.

Powiedziałem, że opowiadałem o Babci. Siostra zapytała żartem:

– Chyba nie wspominałeś o trumnie, co?

Zaśmiałem się i pokręciłem głową.

To był pierwszy etap. Potem ja miałem przejść badania lekarskie, a Ojciec – wywiad na temat jego zaplecza politycznego.

Kiedy cały w nerwach czekałem na wiadomość ze szkoły, Matka przyrzekła, że nie pozwoli, aby babcine plany związane z trumną zrujnowały moje szanse na przyszłość. Nawet Ojciec zgodził się odłożyć na razie tę sprawę na bok. Babcia, nie rozumiejąc, co jej trumna ma do tego, czy przyjmą mnie do szkoły, a moją siostrę na studia, obwiniała Matkę, że nastawiła wnuki przeciwko niej. Nie odzywała się do nas całymi dniami. Zacząłem mieć wyrzuty sumienia, że stoję na drodze jej marzeniu, by na nowo połączyć się z mężem, i że przeszedłem na stronę wroga. Kiedy powiedziałem o tym Mamie, odciągnęła mnie na bok.

– Nie miej wyrzutów sumienia – powiedziała. – Jesteś jeszcze dzieckiem. Jest wiele rzeczy, których dzieci nie rozumieją. Nie możemy się zgodzić, żeby w domu stała trumna.

By przywołać Babcię do porządku, Matka zaprosiła do nas swojego kuzyna. Kuzyn, trudny do zniesienia z powodu tubalnego głosu, właśnie został policjantem dzięki znajomościom swego ojca, kierowcy w Miejskim Biurze Bezpieczeństwa Publicznego. Wystrojony w nowiuteńki biały mundur pachnący krochmalem, przyjechał na staromodnym motocyklu. Jego obecność przyciągnęła wielu gapiów – sądzili, że Ojciec pewnie robił coś nielegalnego, na przykład handlował na czarnym rynku, co było częstym powodem wizyt policji na naszym osiedlu.

– Nie było żadnego przestępstwa – przepędziła ich Matka. – To mój krewny.

Kuzyn policjant usiadł przy łóżku Babci, stukając palcami w kubek z herbatą. Dyplomacja najwyraźniej nie była jego mocną stroną. Nie zapytawszy nawet Babci o zdrowie, od razu przeszedł do rzeczy.

– Babciu Huang – zadudnił. – Podobno chcesz, żeby zrobić dla ciebie trumnę. I na co ci to? Wiesz, że to ryzyko, prawda?

Babcia aż się wzdrygnęła, słysząc tubalny głos kuzyna Matki, ale z grzeczności słuchała uważnie.

– Już nie mieszkasz na wsi – ciągnął. – Xi’an to duże miasto, a we wszystkich dużych miastach surowo zakazano pogrzebów. Jeśli nie będziecie ostrożni, traficie do więzienia.

Potem kuzyn opowiedział Babci, jak na jego kolegę donieśli sąsiedzi, kiedy kupił porządne sosnowe deski na trumnę dla swego umierającego ojca. Zjawiła się policja i kazali mu porąbać drewno na drobne kawałeczki, a potem aresztowali go na trzy dni. Jego zakład pracy wszczął postępowanie dyscyplinarne. Ale to nie koniec – opowiadał kuzyn. Pod nadzorem komitetu sąsiedzkiego ciało zmarłego ojca zawieziono prosto do krematorium.

Kuzyn mrugnął do Matki. Wiedziałem, że przesadza, by przestraszyć Babcię. Trudno mi było zachować obojętny wyraz twarzy. Ojciec próbował mnie przegonić, ale ja nie chciałem wyjść.

– Babciu Huang, kiedy umrzesz, mogę załatwić po znajomości, żeby pochowali cię w Henanie – mówiąc to, kuzyn nachylił się ku Babci. – Ale przestań ciosać swojemu synowi kołki w głowie, żeby teraz zrobił ci trumnę. Jeśli sąsiedzi na was doniosą, nie tylko twój syn i wnuk będą mieli kłopoty. Na pewno wtrąci się komitet sąsiedzki i oni dopilnują, żeby cię skremowali. A wtedy ja już nic nie poradzę.

Na odchodnym kuzyn wykorzystał jeszcze jako argument moją sytuację.

– W tej szkole mają bardzo surowe wymagania – ostrzegł Babcię. – Kiedy twój wnuk nauczy się mówić w obcym języku, może nawet zostać tłumaczem samego Przewodniczącego Mao, a to nie byle co. Chyba nie chcesz, żeby stracił taką szansę, co?

Matka nie bardzo lubiła swego kuzyna policjanta. Narzekała, że jest zarozumialcem i prostakiem. Ale tego dnia z pewnością była z niego zadowolona. Wieczorem, przy kolacji, Babcia się ugięła.

– Trumna może poczekać – powiedziała. – Postaram się pożyć tak długo, aż mego wnuka przyjmą do tej nowej szkoły.

W ten sposób w mojej rodzinie na cztery miesiące zapanował rozejm, a uwaga wszystkich przeniosła się z Babci na egzaminy końcowe mojej siostry. W czerwcu siostra zgłosiła się oficjalnie, by wraz z tysiącami absolwentów liceów wyjechać na wieś. Ojciec, jako członek Partii, publicznie popierał tę akcję, ale prywatnie bardzo się martwił. Jak opowiadał mi później, zdawał sobie sprawę, że Przewodniczący Mao wykorzystał zapalczywość młodych ludzi, żeby pozbyć się przeciwników politycznych podczas rewolucji kulturalnej, ale kiedy jego własna Czerwona Gwardia nadal siała spustoszenie, musiał przywrócić ład i porządek. Wysyłając młodych na wieś, można wykorzystać ich energię i zapał do czegoś bardziej konstruktywnego, a poza tym zmniejszyć przeludnienie miast. Matka słyszała, że studenci mają tam bardzo ciężko z powodu przewodniczących lokalnych kolektywów, a rząd anuluje ich zezwolenia na pobyt w mieście[2], żeby nie wracali do domu.

– Partia wyśpiewuje swoje obietnice jak arię operową – powiedziała. – Ale kiedy tylko pozbędą się was z miasta, będą mieli w nosie, co się z wami dzieje.

Ojciec wiedział, że moja siostra chce wykorzystać doświadczenie pracy na wsi, żeby zapewnić sobie miejsce na studiach. Ale ponieważ nie miał odpowiednich znajomości, czuł, że jej szanse są niewielkie.

– Uczelnie przyjmują co roku bardzo mało studentów ze wsi – powiedział. – Nie ma egzaminów wstępnych. Wszystko będzie w rękach lokalnych urzędników partyjnych. A dlaczego niby mieliby wybrać właśnie ciebie? Na te miejsca wcisną się pewnie dzieci, których rodzice mają silne plecy. Taka jest prawda.

Ale moja siostra uważała inaczej i upierała się, że pojedzie. Tak się złożyło, że nasza rodzina spełniała warunki, aby siostra została zwolniona

z wyjazdu na wieś z powodu trudnej sytuacji. Babcia była stara, pozostałe dzieci jeszcze małe, a rodzina potrzebowała pomocy siostry. Z programu zwolniono bardzo nielicznych, ale przynależność partyjna Ojca dawała mu pierwszeństwo. Matka szukała znajomych, którzy mogliby nam pomóc. Siostra była wściekła, zarzucała rodzicom, że przez nich będzie miała spapraną kartotekę i że jej marzenia legną w gruzach. Sprowadziła nawet do domu nauczyciela, ale rodzice byli nieugięci. Ostatecznie poszła do pracy w państwowych zakładach tekstylnych, podczas gdy wielu jej kolegów z liceum przeżywało koszmar na wsi i wysyłało do władz miasta podania z prośbą o zezwolenie na powrót do domu. Nikomu z nich nie udało się dostać na uczelnię. W końcu moja siostra doceniła mądrość rodziców.

Ja miałem więcej szczęścia niż siostra. W lipcu, kiedy rodzice już prawie stracili nadzieję i uznali, że do szkoły dostały się dzieci ustosunkowanych rodziców, dyrektor wręczył mi pismo z wiadomością, że przyjęto mnie do Szkoły Języków Obcych w Xi’anie. To była szkoła z internatem. Miałem jeździć w odwiedziny do domu w każdą sobotę po południu, ale już w niedzielę wieczorem musiałem być z powrotem.

Rodzice cieszyli się, że idę do szkoły. Jedna z krewnych Ojca często chwaliła się, że jej syn, w liceum znany gracz w baseball, decyzją władz został przyjęty do specjalnej szkoły sportowej. Państwo zapewniało mu wyżywienie, ubranie oraz rygorystyczny trening. Pewnego dnia chłopak miał dołączyć do kadry narodowej i reprezentować Chiny w rozgrywkach międzynarodowych. Teraz Ojciec miał równie dobry powód do przechwałek, chociaż rodzice musieli płacić dwanaście juanów miesięcznie, jedną siódmą rodzinnego budżetu, za internat i wyżywienie. Babcia była smutna. Ojciec wyjaśnił, że idę do elitarnej szkoły, żeby studiować według programu ułożonego przez samego Przewodniczącego Mao. Ale na Babci nie zrobiło to wrażenia.

– Kiedy umrę, mojego wnuczka przy mnie nie będzie – mówiła z płaczem.

Ojciec odparł na to:

– Ale on nie wyjeżdża na długo. Będzie wracał co sobotę, a jeśli coś ci się stanie, szkoła na pewno pozwoli mu przyjechać.

Babcia wyglądała na osamotnioną i zagubioną. Mimo choroby pomogła Matce uszyć dla mnie kołdrę i materac, które miałem zabrać do szkoły.

Dała mi także swoją cenną bambusową walizkę. Kiedy Ojciec odwoził mnie rowerem, byłem zbyt przejęty, żeby widzieć jej łzy.

Przygotowania

Pewnego sobotniego popołudnia, kiedy Ojciec przyjechał po mnie do szkoły rowerem, żeby mnie zabrać do domu, powiedział mi, że stan Babci się pogorszył i że zdaniem lekarzy tym razem może nie przeżyć.

Ta wiadomość była jak nagły cios. Zsunąłem się z roweru, wyrwałem z objęć Ojca i z płaczem pobiegłem na pobocze drogi.

To był smutny weekend. Babcia dostała gorączki i na zmianę to traciła, to odzyskiwała przytomność. Doktor Gao zapisał kolejny antybiotyk, a doktor Xu sporządził długą listę ziół, po które miałem pójść do zielarni. Dzięki Matce, którą Ojciec nazywał złośliwie „rozgłośnią osiedlową", wieść o chorobie Babci szybko rozeszła się wśród naszych sąsiadów i znajomych. Wielu zaglądało do nas, proponując pomoc i rady. Jak można się było spodziewać, pani Zhang i kilka starszych pań znów podniosło temat trumny.

– Nie czekaj z szukaniem wychodka, aż zacznie ci cieknąć po nogach. – Pani Zhang użyła potocznego chińskiego wyrażenia, by przekonać Ojca, że już teraz powinien zacząć starania o trumnę dla Babci. Przestrzegła go, że z powodu oficjalnego zakazu pochówków nie da się kupić jej w ostatniej chwili, a nawet gdyby udało się znaleźć jakąś trumnę zrobioną przez wiejskiego rzemieślnika, cena będzie wysoka, drewno tandetne, a robota marna.

– Robią je z takich cienkich desek – powiedziała, stukając w nasze drzwi wejściowe. – A przecież trzeba pomyśleć nie tylko o trumnie. Słyszałam, że chcesz zabrać matkę do Henanu. Wiesz, że wieśniacy mają miastowych za krezusów. – Zacmokała. – Jeśli będziesz zależny od ich pomocy, zedrą z ciebie skórę.

Matka energicznie przytaknęła.

– Masz absolutną rację. Wszyscy nasi krewni w Henanie myślą, że jesteśmy nie wiadomo jak bogaci, i przy każdej okazji proszą o pieniądze.

Pani Zhang, ośmielona tymi uwagami, poradziła Ojcu, że najlepiej wybrać sosnę albo cyprys, z których tradycyjnie robi się trumny.

– Podobno można kupić drewno całkiem tanio na czarnym rynku u stóp gór Qin Ling niedaleko Xi'anu – szepnęła.

Nigdy wcześniej nie widziałem, żeby Ojciec wdawał się w takie długie rozmowy z panią Zhang. Zaproponował jej nawet herbatę i wypytywał o szczegóły: w jakim stylu powinna być trumna i jak ma wyglądać cała ceremonia.

Teraz, kiedy moja siostra i ja wyszliśmy na prostą, Matka nie miała żadnego uzasadnionego powodu, by torpedować plan Babci. Przestała więc protestować, a nawet namawiała Ojca, żeby jak najszybciej zaczął działać. Myślę, że to widmo rychłej – jak się zdawało – śmierci Babci i obawa przed zemstą jej ducha za niespełnienie ostatniej woli sprawiły, że Matka zmieniła zdanie. A poza tym, gdyby zamawiając trumnę w Xi'anie, dało się zaoszczędzić trochę pieniędzy, nie można było stracić takiej okazji.

Tak więc zamiast zajmować się chorą Babcią, moi rodzice zajęli się jej trumną. Jak zwykle w podobnych sytuacjach Matka wybrała się do swojej ciotki mieszkającej w południowej części miasta, żeby pożyczyć pieniądze. Ojciec z kolei poszedł znów po poradę do swego przyjaciela Li, kierownika wydziału do spraw przemysłu lekkiego. Li zadzwonił do sekretarza Partii w zakładzie Ojca i poprosił go, żeby zrobił dla nas wyjątek.

– Sekretarz przymknie na tę sprawę oko, ale pod warunkiem, że nikt nie złoży skargi. Wtedy będzie musiał wszcząć dochodzenie – powiedział Li. – Przypilnuj więc, żeby twoja żona nie paplała o tym wszystkim naokoło.

W niedzielę wieczorem, kiedy powinienem był wracać do szkoły, zacząłem błagać Ojca, żeby napisał mi usprawiedliwienie. Chciałem zostać przez tydzień w domu i pomóc rodzinie. Ojciec ze współczuciem pokręcił głową.

– Niewiele możesz teraz zrobić – powiedział. – Ale jesteś jej najstarszym wnukiem, więc później będziesz miał do odegrania ważną rolę.

Podczas gdy ja byłem w szkole, rodzice szukali krewnych i kolegów z pracy skłonnych nam pomóc przy tej tajnej operacji. Ciotka Matki pożyczyła nam sto juanów na zakup drewna – cała nasza siedmioosobowa rodzina miała do dyspozycji osiemdziesiąt pięć juanów miesięcznie. Ojciec potem przez trzy lata spłacał tę pożyczkę. Pewien nasz krewny, pracujący w wydziale transportu na szczeblu prowincji, poprosił jednego z kierowców, kursującego wzdłuż pasma Qin Ling, żeby rozejrzał się za drewnem

cyprysowym albo sośniną. Kierowca kupił dla nas ładunek desek sosnowych, a nawet wytargował sporą zniżkę. Ciekawskim sąsiadom Ojciec wyjaśniał, że te grube deski na naszym podwórku to na meble, które ma zamiar zrobić do domu. Podziwiali drewno i mimochodem pytali o zdrowie Babci.

Trudniej było znaleźć stolarza. Ojciec Fenga, mojego kolegi z klasy, był w zakładzie Ojca kierownikiem brygady ciesielskiej. Ktoś doniósł na niego do dyrekcji, że niby to poszedł na zwolnienie, a tymczasem razem z kolegą pojechali na wieś do sąsiedniej prowincji Gansu, gdzie produkowali meble i trumny, żeby w ten sposób dorobić na boku. Ojca Fenga aresztowano i zwołano zebranie wszystkich pracowników zakładu wraz z rodzinami, którzy mieli go publicznie potępić. Ludzie podnosili pięści i wykrzykiwali:

– Precz z kapitalistyczną pazernością!

Feng przez wiele tygodni nie chodził do szkoły.

Ojciec pytał znajomych, czy znają jakiegoś cieślę, ale nikt nie mógł nam pomóc. Już był bliski rozpaczy, kiedy przyszedł mu na ratunek pewien robotnik, z którym się Ojciec kiedyś zaprzyjaźnił. Słyszał o sytuacji Babci i zaproponował swoje usługi. Obiecał, że sprowadzi jeszcze dwóch kolegów z Henanu, i jeśli tylko Matka zapewni im jedzenie i napitek, zrobią trumnę za darmo, żeby nikt nie mógł ich oskarżyć o chałtury na boku.

Pani Zhang przestudiowała kalendarz księżycowy i wybrała pomyślny dzień, w którym najlepiej będzie rozpocząć prace stolarskie. Ojciec jej podziękował, ale jako postępowy, zwalczający przesądy członek Partii powiedział:

– Jesteśmy ludźmi z miasta i żyjemy teraz w nowym społeczeństwie. Nie musimy się trzymać tych zasad.

Tak naprawdę oboje z Matką już postanowili, że najlepiej będzie, jeśli cieśle z Henanu przyjadą podczas dwudniowego święta, rocznicy proklamowania Chińskiej Republiki Ludowej, niby to z wizytą.

W ten sposób rankiem 1 października, około ósmej rano, zjawili się cieśla i jego dwaj koledzy. Matka wyciągnęła mnie i moje siostry z łóżek i kazała nam pójść się bawić, napominając, żebyśmy nie puścili pary z ust. Kiedy w porze obiadowej wróciliśmy do domu, wszędzie pachniało sośniną, a całe podwórko było zasłane wiórami i pyłem drzewnym. Matka podała obiad na stoliku w dużym pokoju. Butelka wódki ryżowej Xifeng, cenionej miejscowej marki, kupiona przez Ojca na czarnym rynku, stała obok miski

parującego ryżu, otoczonej czterema półmiskami pełnymi potraw z mięsa i warzyw – prawdziwa uczta. Ryż i wieprzowina były na kartki – pół kilo mięsa i pół kilo ryżu na jednego dorosłego miesięcznie. Na widok takiej ilości jedzenia ślina napłynęła mi do ust, ale Matka zaciągnęła mnie do kuchni i dała mi kawałek chleba kukurydzianego. Obiecała, że jeśli będę grzeczny przy gościach, zostawi dla mnie resztki. Przyjąłem to ze zrozumieniem.

Tak obfity poczęstunek wyczerpał nasz przydział żywności; dużo czasu minęło, zanim znów zobaczyliśmy mięso. Rzemieślnicy wieczorem poszli do domu i wrócili następnego dnia wczesnym rankiem. Pod koniec drugiego dnia wióry i pył zostały sprzątnięte, a na podwórku, oparta na dwóch drewnianych stojakach, stała trumna, która wyglądała jak łódź.

Wszedłem na stołek i zajrzałem do środka.

– Trumna jest taka duża, że zmieściłyby się w niej dwie babcie! – zawołałem. Zapytałem Ojca, po co aż tyle miejsca na jedną drobną staruszkę. Spojrzał na mnie surowo.

– Nie gadaj tyle.

Główny majster wyjaśnił mi cicho, dlaczego trumna musi być taka duża.

– Nie zapominaj, że twoja babcia będzie owinięta w kołdrę i kilka warstw ubrań – powiedział. – Nie chcemy, żeby było jej ciasno.

Na koniec trzeba było jeszcze zaimpregnować drewno. Ojciec przyniósł wiadro pełne kawałków podobnej do bursztynu żywicy, którą cieśle stopili w wielkim kotle, a potem dwa razy wysmarowali nią wnętrze trumny.

– Żywica sosnowa odstrasza robaki – wyjaśnił jeden z robotników. – Jeśli od zewnątrz położycie kilka warstw czarnej farby, trumna będzie pięknie błyszczeć. A będzie wyglądać jeszcze ładniej, jak znajdziecie jakiegoś artystę, który namaluje z boku ptaki symbolizujące długowieczność, na przykład żurawie albo feniksy.

Kiedy rzemieślnicy nadali trumnie ostateczny szlif, razem z Ojcem podnieśli ją i wtaszczyli do środka. Nasze mieszkanie nie było duże, zastanawiałem się więc, gdzie ją postawimy. Jedyną wolną przestrzeń w salonie zajmowało łóżko Babci, a moje siostry już ledwo mieściły się w swoim pokoju. Zostawał więc tylko pokój rodziców, gdzie spaliśmy także ja i mój młodszy brat. Ja spałem pod oknem. Patrzyłem w milczeniu, jak rodzice odsuwają moje niewielkie, zbite z desek łóżko i stawiają obok trumnę. Stało się jasne, że będę odtąd sypiał tuż przy niej.

Pamiętam, jak jeden z cieśli, dając mi przyjacielskiego prztyczka w nos, zapytał:

– Będziesz się bał w nocy?

Ojciec przytulił mnie i pogłaskał po głowie.

– To przyszły dom twojej Babci. Czego tu się bać? Jesteś najstarszym wnukiem, strażnikiem trumny.

Strażnikiem trumny byłem przez szesnaście miesięcy. Wciąż pamiętam tę pierwszą noc, kiedy czułem w mroku jej złowrogą obecność. Śmierć, której przedtem byłem ledwo świadomy, nagle nabrała w mojej wyobraźni realnych kształtów. Choć ze wszystkich sił próbowałem skupić się na czymś innym, moje myśli wracały wciąż do tego samego: wyobrażałem sobie Babcię – nieżywą. Pewnego wieczoru poszliśmy z kolegami zobaczyć pogrzeb starszej pani we wsi w pobliżu naszego osiedla. Kiedy jej krewni lamentowali jak na filmie, my wślizgnęliśmy się do pokoju, gdzie zmarła leżała w otwartej trumnie. Podpuszczony przez kumpli, drżącą ręką rozsunąłem całun i delikatnie zagłębiłem palec w jej bladym, chłodnym policzku. Koledzy aż odskoczyli, co przeraziło mnie bardziej niż dziwna woskowa faktura jej miękkiej skóry. Była martwa. Później opowiedziałem o tym Ojcu.

– Trzymaj się z dala od pogrzebów i czuwania przy zwłokach – przestrzegł mnie. – Duchy zmarłych łatwo wchodzą w ciała dzieci. Mógłbyś zachorować albo mieć koszmary.

Nie zachorowałem ani nie śniło mi się nic strasznego. A nawet wróciłem tam trzy dni później, żeby zobaczyć sam pogrzeb tej staruszki. Jej wnuk szedł na czele konduktu, niosąc bambusowy kij z przytwierdzoną doń długą wstęgą białego papieru. Nie rozumiałem, co jest na nim napisane, ale ktoś z dorosłych powiedział mi, że znaki mówią o nadziei na spokojną podróż do krainy zmarłych i o pomyślnej reinkarnacji. Gdybym to ja miał nieść taki kij na pogrzebie Babci, nauczycielka nigdy nie pozwoliłaby mi być przewodniczącym czerwonogwardzistów.

Kręciłem się i przewracałem na łóżku z boku na bok, dręczony świadomością, że pewnego dnia Babcia będzie leżała w tej skrzyni, tak samo bez życia, blada i zimna jak tamta staruszka w wiosce. Odejdzie i nigdy więcej jej nie zobaczymy. Miałem dreszcze, choć noc była ciepła.

Co się stanie z Babcią, kiedy umrze? Co się dzieje z ludźmi po śmierci? Babcia opowiadała mi, że dusza zmarłego powraca i zaczyna nowe życie: jako inny człowiek albo – jeśli ten ktoś był leniuchem i nie pomagał

w domu – jako świnia. Nie chciałem być świnią. Kiedy zapytałem o to panią w szkole, powiedziała, że to tylko przesąd i że dobre dzieci Partii nie wierzą w takie rzeczy. Kiedy ktoś umiera, to już koniec, nie ma nic więcej, a jego ciało jest jak woda wylana na wyschniętą ziemię, znika bez śladu.

Chyba musiałem zasnąć, bo obudziło mnie głośne chrapanie Matki. Usłyszałem też naszych sąsiadów zza ściany, którzy weszli do domu ze swojego maleńkiego podwórka, śmiejąc się i żartując. A potem zapadła niesamowita cisza, jesienny powiew poruszał grubymi liśćmi figowca. Zupełnie otrząsnąłem się ze snu. Przypomniała mi się historia o pewnej młodej kobiecie, która zakrztusiła się kęsem jedzenia. Jej rodzina pochowała ją i wszyscy się smucili. Trzy dni później złodziej cmentarny wykopał jej trumnę, szukając kosztowności, ale kiedy uniósł pokrywę i wyrzucił ciało z trumny, kęs, który utkwił w gardle młodej kobiety, wyskoczył, a ona westchnęła, otworzyła oczy i usiadła. Złodziej uciekł z krzykiem, przysięgając, że odtąd będzie okradał tylko żywych. Co by się stało, gdybyśmy pochowali Babcię, a ona obudziłaby się w trumnie? Nie uda jej się unieść ciężkiego wieka. Jak się wydostanie? Wstałem, poszedłem do dużego pokoju i wślizgnąłem się do łóżka Babci. Zasnąłem bez trudu.

Jako „mały czerwonogwardzista” miałem być strażnikiem rewolucji Przewodniczącego Mao i o nią walczyć, a nie trzymać straż przy trumnie Babci. Ilekroć spoglądałem na swoją chustkę małego czerwonogwardzisty, którą w szkole nosiłem na szyi, czułem wyrzuty sumienia. Przeszło mi nawet przez myśl, żeby powiedzieć o wszystkim nauczycielce. Ale powstrzymała mnie wizja Ojca, którego czekałoby za to publiczne potępienie. A poza tym Babci pękłoby serce i nie byłoby komu się o mnie troszczyć.

Dyscyplina

Jako najstarszy wnuk i strażnik trumny stanowiłem dla Babci nagrodę za jej poświęcenia, a zarazem jej najwyższe osiągnięcie – ród Huangów przedłużył się o kolejne pokolenie. Kiedy przychodzili z wizytą krewni i znajomi, Babcia przyciągała mnie do siebie i mawiała:

– Teraz już mogę spokojnie umrzeć.

Tak jakby moje dwie siostry i młodszy brat, którzy zresztą często stali tuż obok, nie istnieli. Oczkiem w głowie Babci była co prawda moja starsza siostra, pierworodna, ale ona była dziewczyną, a „córki są jak woda, którą nalewa się z dzbana do cudzej czarki". Po ślubie miała przecież wejść do rodziny męża. Siostra mówiła, że Babcia „zachowuje się jak feudałka", a kiedy razem z moją drugą siostrą wychodziły naburmuszone, Babcia groziła palcem i przestrzegała:

– Jeśli będą się tak zachowywać, nikt ich nie zechce!

Mój młodszy brat uważał, że Babcia traktuje go jako co najwyżej mojego pomagiera, i nawet teraz, ilekroć rozmawiamy o rodzinie, wciąż to pamięta.

– Dlaczego nic im nie powiesz? – mówi. – W końcu jesteś najstarszy i najważniejszy!

Rodzice wymawiali Babci to jawne faworyzowanie, ale sami też byli wierni konfucjańskiej hierarchii potomstwa, wedle której pierworodny syn ma w rodzinie pierwszeństwo niezależnie od tego, ile urodziło się wcześniej córek. Po śmierci ojca najstarszy syn staje się głową rodziny i przejmuje wszystkie jego obowiązki. Babcia miała w tym swój własny interes:

– Jeśli w rodzinie nie ma syna, ród wygaśnie, a jeśli nie będzie komu opiekować się grobami przodków i czcić ich pamięci, ich bezdomne duchy będą się błąkać bez końca.

Urodziłem się w roku 1964, w roku Smoka, tradycyjnie sprzyjającym narodzinom. Co ważne, wtedy właśnie kraj dźwigał się z klęski głodu; kiedy

zdobycie żywności przestało być głównym problemem, wskaźniki urodzeń zaczęły gwałtownie rosnąć. Gdy pielęgniarka przyniosła mnie Ojcu, który przez prawie cały dzień czekał na jakąś wiadomość z sali porodowej, nie wiedział, co ma zrobić. Pielęgniarka zażartowała:

– Niech pan sprawdzi, czy ma wszystkie palce u stóp, czy mu żadnego nie brak.

Ojciec nie zrozumiał żartu, więc starannie policzył mi paluszki, po czym, zadowolony, że żadnego nie brakuje, pobiegł czym prędzej do domu, żeby zanieść radosną nowinę Babci, która by uczcić to radosne wydarzenie, zaczęła rozdawać sąsiadom i krewnym ufarbowane na czerwono jajka.

Matka przez miesiąc siedziała w domu, opatulona w zimowe ubrania, i nie wolno jej było wychodzić, chociaż to był czerwiec. W Chinach wciąż jest to często spotykane, ludzie wierzą, że kobieta po porodzie nie powinna się nadwerężać obowiązkami domowymi, ani też mieć kontaktu z zimną wodą, ponieważ jest bardziej podatna na przeciągi, a przez jej otwarte pory łatwo mogą wniknąć bakterie. Gdyby złapała w tym okresie jakąś chorobę, byłaby chora przez resztę życia. Matka winiła Babcię za wiele swoich późniejszych dolegliwości. Babcia w pierwszym tygodniu poparzyła sobie stopy wrzątkiem i leżała w łóżku. Ojciec, który nigdy w życiu nie gotował, był bezradny. Matka nie miała więc wyboru i zamiast wypoczywać, musiała zakasać rękawy i zająć się domem.

Pierwszą próbą, jaką przeszedłem, było *manyue*: trzydzieści dni po narodzinach dziecko zostaje oficjalnie zaprezentowane wielkiemu zgromadzeniu krewnych i przyjaciół. Przed moim *manyue* Ojciec długo się zastanawiał, jakie imię dla mnie wybrać, ponieważ w Chinach uważa się, że imię determinuje przyszłość człowieka. Zwrócił się więc do uczonego starca z sąsiedztwa, który znał podstawy numerologii, a ten po dwóch dniach skomplikowanych obliczeń, uwzględniających dokładne miejsce i moment, w którym się urodziłem, podał mu dwa znaki: „Wen” i „Guang”, co oznacza „o szerokich horyzontach”. Miałem więc zostać uczonym. Ojciec znał nauki Konfucjusza: „Ci, co pracują umysłem, rządzą tymi, co pracują rękami”. Imię Wenguang nosił również jeden z ulubionych bohaterów Ojca, dwunastowieczny wojownik i uczony, który walczył z najazdami barbarzyńców na północno-zachodnich rubieżach Chin. Jednak nadając mi takie właśnie imię, Ojciec postępował wbrew komunistycznym zwyczajom. W połowie lat sześćdziesiątych wielu rodziców wybierało dla swoich sy-

nów bardziej postępowe imiona, żeby wyrazić lojalność wobec partii: „Yaojin”, na cześć zainicjowanego przez Przewodniczącego Mao Wielkiego Skoku, albo „Wenge”, na cześć rewolucji kulturalnej, albo „Weihong”, czyli „Obrońca czerwonej rewolucji”.

Moja pozycja najstarszego wnuka dużo znaczyła dla Babci, ale nie dla Matki, dla której, podobnie jak dla wielu kobiet z jej pokolenia, bardziej liczyła się rewolucja niż jej własna rodzina. Pięć tygodni po moim urodzeniu Matka wróciła do pracy w zakładzie produkującym opony i gumowe rury. Jako członkini Brygady Młodych Kobiet, zespołu docenionego już wcześniej przez Partię za dużą wydajność i podejmowanie takich samych wyzwań jak mężczyźni, pracowała do późna i wracała do domu tylko na sobotę i niedzielę.

– Branie zwolnień, żeby zająć się dziećmi, było źle widziane – tak wiele lat później tłumaczyła mi, dlaczego nie było jej przy mnie, kiedy byłem bardzo mały. Opowiedziała też o swojej brygadzistce, która nie poszła na pogrzeb własnego ojca, bo nie mogła pozwolić, by jego śmierć odciągnęła ją od pracy na rzecz rewolucji.

Ponieważ Matki nie było całymi dniami, Babcia stała się dla mnie matką zastępczą i trzymała mnie przy sobie, tak jak kiedyś Ojca. Przestrzeń życiowa była na wagę złota, a nasza rodzina, jak wiele innych w chińskich miastach, miała do dyspozycji tylko dwa pokoje, z których jeden był zarezerwowany dla Babci. Spałem razem z nią na jej wąskim, drewnianym łóżku. Karmiła mnie rozcieńczonym krowim mlekiem. Gdy chorowałem, co zdarzało się często, brała mnie na plecy i dreptała do pobliskiego szpitala.

Kiedy miałem dwa i pół roku, rodzice bardzo zaniepokoili się tym, że wciąż nie mówię. Ojciec zabrał mnie do lekarza, który go uspokoił, że po prostu niektóre dzieci zaczynają mówić później niż inne. Babcia, nieprzekonana, zaczęła namawiać rodziców na kolejne dziecko, z nadzieją, że urodzi się chłopiec. Było to jeszcze przed wprowadzeniem polityki jednego dziecka. W tamtych czasach Przewodniczący Mao wręcz zachęcał matki, by rodziły jak najwięcej dzieci, bo uważał, że duża populacja zwiększy szanse Chin na zwycięstwo w wojnach z wrogim Zachodem. Rodzice posłuchali, ale ku rozczarowaniu Babci urodziła im się córeczka. Dopiero kiedy skończyłem cztery lata, wreszcie przybył mi brat.

Chociaż moja mała siostrzyczka i braciszek chodzili do zakładowego żłobka, mnie Babcia zatrzymała w domu, twierdząc, że nie ma nic ważniej-

szego dla rodziny Huangów niż dobro najstarszego wnuka, którego nie można powierzać opiece obcych ludzi. Babcia dzieliła się ze mną jedzeniem, a w bambusowej walizeczce, którą trzymała obok poduszki, gromadziła zapasy owoców i ciastek przynoszonych jej przez różnych gości. Od czasu do czasu podtykała mi jakiś smakołyk. Moje rodzeństwo nie dostawało tych przysmaków.

Moje dobro najwyraźniej leżało na sercu wielu naszym starszym krewnym z rodziny Huangów. Pamiętam, jak pojechaliśmy z wizytą do ciotki niedaleko Xi'anu. Przeraziła się moim anemicznym wyglądem, ofuknęła Ojca, że o mnie nie dba, po czym przysłała nam kozę, żebym codziennie miał świeże mleko. Babcia co rano doiła kozę i napełniała mlekiem dwie duże miski. W naszym ciasnym mieszkaniu koza sprawiała wiele kłopotu Ojcu, który uznał, że skoro sprowadzono ją dla mnie, to ja powinienem o nią dbać. Podczas letnich wakacji codziennie wyprowadzałem więc kozę na pobliskie pole, aż sąsiedzi zaczęli mnie nazywać „miejskim pastuszkiem".

Przez to, że Babcia hołubiła mnie nieustannie, jakbym był jedynakiem, zrobił się ze mnie uparty bachor. Kiedyś, gdy Ojciec nie kupił mi butów, które chciałem dostać z okazji księżycowego Nowego Roku, zerwałem obrus ze stołu zastawionego już potrawami na świąteczną ucztę. Matka, która spędziła wiele dni na ich przygotowywaniu, zarzucała Babci, że wychowała mnie na „małego tyrana".

Szybko się jednak przekonałem, że pozycja pierworodnego to nie sama słodycz, ale także surowa dyscyplina. Kiedy Matka miała około trzydziestu pięciu lat, Ojcu udało się ją przenieść do swojego zakładu na stanowisko kierownika linii montażowej, co oznaczało, że nagle zaczęła bywać więcej w domu. Jako matka czwórki dzieci straciła młodzieńczy zapał do „rewolucyjnej pracy" w fabryce, zdała sobie natomiast sprawę, że powinna brać większy udział w moim wychowaniu. Postanowiła ustawić mnie do pionu i położyć kres władzy Babci nad moim życiem, począwszy od kwestii przedszkola.

Trudno mi było przywyknąć do tej zmiany. W tamtym okresie zupełnie nie czułem się związany z Matką. Była dla mnie nie tyle pobłażliwą mamusią, ile raczej surową krewną, której się bałem, mimo że próbowała mnie przekupić słodyczami i przysmakami. Nie miałem z nią takiej więzi jak z Babcią, którą Matka zaczęła winić za nasze wzajemne oddalenie. Zaczęła

też często mnie karać, tak jakby sprawiając mi przykrość, sprawiała przykrość Babci. Ganiła mnie, kiedy popełniłem jakiś błąd. Jeśli Babcia się wtrącała, dostawałem na dodatek klapsa.

Pewnego dnia Matka wróciła do domu wcześnie z porannej zmiany w odlewni, z twarzą usmarowaną ołowianym pyłem. Kazała mi przynieść sobie miskę ciepłej wody. Pochłonięty czytaną akurat książką, nalałem gorącej wody, ale zapomniałem dolać zimnej. Matka poparzyła sobie ręce i zganiła mnie. Kiedy się odwróciła, zmarszczyłem pogardliwie nos, ale mnie przyłapała i – wściekła – uderzyła mnie w twarz. Krew polała mi się z nosa. Babcia, protestując, wyskoczyła z łóżka, co tylko pogorszyło sprawę. Matka chwyciła pasek, używany przez Ojca jako dyscyplina, i zaczęła mnie bić po plecach. Płakałem, czepiając się jej nóg, ale ona nie przestawała mnie bić, więc ugryzłem ją w udo. Zdumiona, tym bardziej się wściekła i zaczęła mnie bić jeszcze mocniej. Babcia odciągnęła mnie, krzycząc:

– Wiesz, jakie to niebezpieczne bić go po twarzy?

Na co Matka wrzasnęła:

– Widziałaś, co zrobił ten zepsuty bachor? To twoja wina!

Babcia zignorowała ją. Pochylona nade mną, wycierała mi twarz z krwi i tamowała krwotok z nosa, podczas gdy ja łkałem coraz głośniej i rozpaczliwiej, a dla większego efektu zacząłem jeszcze udawać, że mam drgawki. Matka ustąpiła, ale kiedy Ojciec wrócił z pracy, znów naskoczyła na Babcię. Babcia jednak milczała, aż wreszcie Matka się uspokoiła i wyszła po zakupy. Wtedy Babcia zaczęła przeklinać Matkę za to, że zbiła mnie tak bezlitośnie. Ojciec, postawiony w sytuacji bez wyjścia, mógł tylko ratować się popularnym wtedy powiedzeniem: „Gdzie rózga nie spoczywa, tam matka troskliwa”.

Po tych doświadczeniach jeszcze bardziej bałem się Matki. Jako małe dziecko przez jakiś czas się jąkałem, co przeszło mi, kiedy skończyłem pięć lat. Ale kiedy Matka była w pobliżu, jąkanie wracało. Zacząłem też moczyć się w nocy, czego się wstydziłem i co było powodem nieustannych wymówek Matki. Często bałem się za bardzo, żeby rano wstać, i próbowałem osuszyć mokre miejsce ciepłem własnego ciała, modląc się, by nie zauważyła plamy.

– Im jesteś starszy, tym mniej z ciebie pożytku! – krzyczała na mnie.

Przez wiele miesięcy moczyłem się tak często, że nawet Babcię zaczęło to złościć i nie broniła mnie już przed klapsami.

Tamte klapsy wciąż są dla mnie gorzkim wspomnieniem, chociaż w późniejszych latach zbliżyliśmy się do siebie z Matką. Ale wtedy jej nienawidziłem i marzyłem potajemnie, żeby Przewodniczący Mao wysłał ją gdzieś tak daleko, żeby wracała do domu tylko raz do roku. Wtedy tęskniłaby za mną i byłaby dla mnie dobra. Postanowiłem też nigdy się nie ożenić, żeby nie musieć znosić takiej kobiety jak ona.

Podobnie jak wielu rodziców w sąsiedztwie Ojciec mocno wierzył w skuteczność kar cielesnych. Nieczęsto dostawałem od niego lanie, ale jeśli już, to solidne. Kiedy bił, to na serio. Używał do tego elastycznego paska z zamocowanymi na obu końcach haczykami, który pierwotnie służył do zamykania drzwi, żeby zimą nie uciekało ciepło. Ojciec ze skrupulatnością księgowego odnotowywał w pamięci moje przewinienia, a kiedy uznawał, że przyszedł czas na bilans, zabierał mnie do mniejszej sypialni, kazał się odwrócić i przygotować na karę. Jeśli się opierałem, łapał mnie i przyciskał mi głowę do łóżka. W trzeciej klasie oceny ze sprawdzianów spadły mi ze stu procent do słabych dziewięćdziesięciu, co wystarczyło, żeby bilans wypadał na niekorzyść. Ojciec brał pasek z drzwi i kazał mi iść do sypialni. Zaczynałem płakać, w nadziei, że Babcia go powstrzyma. Ojciec łapał mnie i zaciągał do pokoju, gdzie sypiały moje siostry, po czym polecał Matce zamknąć drzwi. Wyłem, a pasek spadał na moje pośladki: pięć, dziesięć, dwadzieścia razy. Babcia waliła w drzwi, błagając Ojca, by przestał. Kiedy już było po wszystkim, Ojciec mówił cicho do Babci:

– Psujesz go.

A Babcia mówiła mi wtedy:

– Powiedz tatusiowi, że źle postąpiłeś i że następnym razem bardziej się postarasz.

Wymierzywszy mi karę, Ojciec był zupełnie spokojny. Jeśli Matka była w domu, oboje kazali mi klęczeć przez co najmniej godzinę, żebym przemyślał sobie swoje błędy. Potem Ojciec recytował litanię moich przewinień od czasu ostatniego lania: wykradłem z szuflady małą butelkę alkoholu, żeby przekupić szkolnego prześladowcę, rozbiłem dwa arbuzy, które miałem przywieźć ze sklepu na rowerze (spadły mi do rowu, kiedy próbowałem jechać bez trzymanki), i tak dalej. Matka prawiła mi kazania na temat tego, jakie grzeczne są w domu inne dzieci z osiedla. Kiwałem głową i udawałem skruchę, pragnąc jedynie, żebym mógł już wstać i żeby było po

wszystkim. Któregoś razu, w przypływie uporu, nie chciałem się przyznać, że źle zrobiłem, i musiałem klęczeć na zimnej podłodze przez trzy godziny.

Rodzice byli dumni ze swoich metod. Na wywiadówkach, kiedy nauczycielka chwaliła mnie za najlepsze oceny ze wszystkich przedmiotów, Ojciec, który nigdy nie pomagał mi w nauce, odpowiadał:

– On nie jest aż taki bystry, to efekt dobrej dyscypliny.

W każdym razie Ojciec rzeczywiście zaszczepił mi poczucie odpowiedzialności za rodzinę, nieustannie przypominając mi o tym, że powinienem przynosić jej chlubę. Ponieważ na podstawie własnych doświadczeń doszedł do wniosku, że awans życiowy można osiągnąć jedynie w strukturach Partii, namawiał mnie usilnie, bym był aktywny politycznie.

Komunistycznej indoktrynacji byłem poddawany od najmłodszych lat. Podczas gdy przedszkolaki w Stanach czytały Doktora Seussa albo oglądały *Ulicę Sezamkową*, my uczyliśmy się na pamięć mądrości Przewodniczącego Mao, zaczynając od prostszych cytatów, a kończąc na całych artykułach, które wkuwaliśmy w szkole podstawowej. Dzięki odwiedzinom w zakładzie Matki opanowałem bardzo szerokie słownictwo rewolucyjne, ponieważ dopytywałem, co znaczy ten czy tamten znak, aż w końcu umiałem przeczytać napisy na wszystkich transparentach: „Precz z kontrrewolucjonistami i prawicowcami” oraz „Klasa robotnicza przodującą siłą rewolucji”. Kiedy w pierwszej klasie jako pierwszy nauczyłem się na pamięć trzech słynnych esejów Przewodniczącego Mao, zostałem wybrany na przewodniczącego klasy.

Przez całą szkołę podstawową i liceum byłem przewodniczącym małych czerwonogwardzistów oraz Ligi Młodzieży Komunistycznej. Ale kiedy poświęcałem zbyt dużo czasu na działalność polityczną, na przykład chodziłem razem z dorosłymi na demonstracje i wiece popierające politykę Partii, albo całymi dniami przygotowywałem gazetkę szkolną, Ojciec zaczynał się martwić.

– Polityczne szanse przelatują jak chmury. Ważne jest – radził mi – żebyś zdobył prawdziwe umiejętności, które będą ci służyć przez całe życie.

W szkole często nas pytano o plany na przyszłość. Prawidłowa odpowiedź na takie pytanie brzmiała:

– Postępować zgodnie z naukami Przewodniczącego Mao i być godnym spadkobiercą rewolucji.

Wszyscy sądziliśmy, że być „godnym spadkobiercą rewolucji” to znaczy pomagać ubogim chłopom w odległych pustynnych albo górskich rejonach kraju. W 1975 roku Partia propagowała model wzorowego ucznia, który na egzaminie oddał pustą kartkę, twierdząc, że był zbyt zajęty rewolucją, aby się przygotować. Cały naród miał reformować system oświaty, który zdaniem Partii był oderwany od życia robotników i chłopów. W szkole zachęcano nas, byśmy mniej czasu poświęcali naukom ścisłym, a więcej pracom fizycznym, takim jak zbieranie z ulic końskiego łajna albo pomaganie chłopom w pieleniu chwastów. Ojca bardzo martwił ten nowy kierunek i chociaż w żaden sposób nie protestował przeciwko temu, co działo się w szkole, kazał nam czytać podręczniki w domu, żebyśmy nadrobili czas zmarnowany na lekcjach.

– Ten kraj schodzi na psy – powiedział któregoś razu do Matki, ale gdy spostrzegł, że to usłyszałem, dodał: – Nie mów pani w szkole, co powiedziałem. Wracaj do lekcji.

Wciąż mi powtarzał, jak bardzo brak dyplomu przeszkodził jego karierze.

– Dopiero w wieku dwudziestu lat sam nauczyłem się czytać i pisać – ubolewał. Był przekonany, że gdyby poszedł do liceum albo na studia, jego życie ułożyłoby się inaczej, chociaż Matka z typowym dla siebie sarkazmem wtrącała:

– Gdybyś poszedł na studia, uznaliby cię za burżuja i zamknęli w jakiejś oborze.

Ulubione powiedzenie Ojca w tamtych czasach brzmiało: „Woda płynie w dół, a człowiek pnie się w górę”. Mawiał też: „Nieważne, kto jest u władzy, prędzej czy później będą potrzebowali wykształconych ludzi do rządzenia krajem”. Wymagał ode mnie najlepszych ocen ze wszystkich przedmiotów. Kazał Matce wysyłać nauczycielce podarunki, takie jak kartki na olej czy cukier, żeby zadawała mi dodatkowe prace domowe.

Choć Ojciec przywiązywał tak ogromną wagę do naszej nauki, to jednocześnie – zwłaszcza przed moim pójściem do szkoły z internatem – zdawał sobie sprawę, że czeka nas niewesoła przyszłość. Jeśli polityka władz się nie zmieni, moja młodsza siostra i ja po maturze mieliśmy zostać wysłani na wieś. W mieście każda rodzina mogła utrzymywać tylko jedno dziecko, a ten przydział wyczerpywała moja starsza siostra. Ojciec zaczął więc zachęcać mnie i moją młodszą siostrę do zdobywania szczególnych umiejęt-

ności, które pomogą nam przetrwać w ciężkich warunkach, gdybyśmy byli zmuszeni osiedlić się gdzieś na wsi.

Ojciec kazał mi bez końca ćwiczyć kaligrafię i rysunek, ponieważ uważał, że w każdej wiosce będzie potrzebny pisarz do pisania podań, plakatów czy gazetek ściennych. Kazał mi także chodzić na lekcje akupunktury do doktora Xu, żebym mógł być „bosonogim lekarzem", felczerem z podstawowym przygotowaniem medycznym i ratowniczym do pracy w wiejskich przychodniach. Siostrę z kolei zmuszał do nauki gry na *erhu*, dwustrunowym instrumencie smyczkowym, z nadzieją, że będzie mogła grać w orkiestrze wojskowej albo dołączyć do wiejskiego zespołu artystycznego. Ponieważ jednak nie wykazywała ona ani zainteresowania, ani uzdolnień w tym kierunku, Ojciec poprosił Babcię, żeby nauczyła ją gotować, bo wtedy będzie mogła się zatrudnić we wspólnej stołówce, co stanowiło dość lekką pracę, przy której można się najadać do syta.

Jako dziecko byłem chudy, słaby i ciągle ktoś się nade mną znęcał. Ojciec wstydził się, że musi mnie odprowadzać do szkoły.

– Dlaczego mu nie oddałeś? – złościł się, kiedy pobił mnie jakiś starszy chłopak, tak że krew leciała mi z nosa. Zabrał mnie więc do „Wujka Rena", mistrza tai-chi w stylu Chen, który miał mnie nauczyć technik samoobrony. – Twój pradziadek był zarazem uczonym i wojownikiem na dworze cesarskim – przypomniał mi. – Ja nie miałem okazji uprawiać sztuk walki. Ty musisz podtrzymać tę tradycję.

Byłem bardzo podniecony. Większości Chińczyków z głębi kontynentu nazwisko Bruce'a Lee nic nie mówiło, ale widywałem już walki kung-fu i wiedziałem, że szybkie ruchy i kopnięcia przydadzą mi się do obrony przed szkolnymi dręczycielami. Ojciec zaprowadził mnie do Wujka Rena, wręczył mu podarunki, a on oficjalnie przyjął mnie na swojego ucznia. Przez następne pięć lat Wujek Ren trenował ze mną dwa razy w tygodniu, ale tai-chi zupełnie nie było tym, czego się spodziewałem. Powolne ruchy szybko mi się znudziły. Wujek Ren powiedział, że jeśli opanuję samą istotę, stanę się niezwyciężonym wojownikiem, który potrafi połączyć siły umysłu i ciała. Ale ja tylko chciałem komuś przyłożyć. Ojciec jednak zmuszał mnie, żebym ćwiczył też w domu. Leżałem więc na podłodze, drzemiąc, i kiedy tylko słyszałem jego kroki, zrywałem się, by udawać, że ćwiczę. Dałem sobie z tym spokój, kiedy poszedłem do szkoły z internatem, ponieważ tai-chi ćwiczyli tylko niektórzy starsi nauczyciele, a ja za bardzo się

wstydziłem, żeby do nich dołączyć. Okazało się jednak, że ten trening na coś mi się przydał, bo stałem się całkiem niezłym sportowcem.

To, co wkładano mi do głowy w domu, często było sprzeczne z tym, czego uczono mnie w szkole. Na przykład w domu najważniejszą sprawą było synowskie oddanie, którego najwyższym wyrazem była troska o Babcię. Nie wolno mi było sprzeciwiać się Babci czy rodzicom. Wieczorami, kiedy Babcia musiała podreptać do wychodka na podwórku dwie uliczki dalej, to ja musiałem jej towarzyszyć. Kiedy padało, korzystała z nocnika, a ja potem musiałem go opróżniać. Sąsiedzi, którzy to zauważyli, zgadzali się z Ojcem i chwalili mnie, że dobre ze mnie dziecko. Przez jakiś czas nocnik był dla mnie niczym honorowa odznaka.

Ale w trzeciej klasie podstawówki powiedziano nam, że synowskie oddanie to część przestarzałej filozofii konfucjańskiej, którą należy wyplenić.

– Wasza najbliższa rodzina to Przewodniczący Mao i Partia – powiedziała nauczycielka. – Jeśli wasi rodzice albo krewni prowadzą jakąkolwiek działalność kontrrewolucyjną, powinniście bez wahania na nich donieść albo potępić ich publicznie. To jest prawdziwa próba rewolucyjnej woli.

Kiedy powiedziałem Ojcu, czego nas uczą, przestrzegł mnie, żebym tak łatwo nie wierzył w propagandę.

– Ludzie mówią tak publicznie – powiedział – ale tylko głupiec albo fanatyk zdradziłby rodziców, którzy go wychowali i wykarmili. Zdradzając rodziców, zdradzisz samego siebie i stracisz wszystkich przyjaciół. Pomyśl o tym: jeśli nie potrafisz uszanować nawet swoich rodziców i jeśli doniesiesz na nich dla korzyści politycznych, jak możesz liczyć na to, że przyjaciele będą ci ufać?

W szkole mówiono nam, byśmy byli bezlitośni dla wrogów – posiadaczy ziemskich i kontrrewolucjonistów. Na wuefie uczono nas dźgać drewnianym bagnetem z okrzykiem:

– Giń, giń, giń!

Wrogom mieliśmy odpłacać przemocą, oko za oko, ząb za ząb. Jako członek Partii Ojciec oficjalnie podzielał tę część ideologii komunistycznej, ale w domu postępował inaczej. Kładł mi do głowy, żebym nawet nie myślał o krzywdzeniu innych. Kiedy koleżanka Matki przyszła do nas prosić o pomoc z pozwem rozwodowym, obiecałem, że pomogę jej go napisać, ale Ojciec się wściekł. Krzyczał na Matkę:

– Czy chcesz zrujnować przyszłość naszemu najstarszemu synowi? Pomoc przy rozbijaniu rodziny na pewno mu nie posłuży! – Potem zwrócił się do mnie: – Pamiętaj, kiedy kogoś krzywdzisz, tracisz opiekę swoich przodków.

Fakt, że odcięcie całego narodu od jego pradawnych tradycji niemal z dnia na dzień to skomplikowana sprawa, najlepiej ilustrowały sprzeczności, których ucieleśnieniem był mój Ojciec. Dorastałem wśród takich właśnie sprzeczności, mieszanki ideologii i tradycyjnych wierzeń.

Oczekiwania

Własny aparat fotograficzny był w Chinach w latach siedemdziesiątych rzadkim luksusem. Ludzie płacili duże pieniądze, żeby przy specjalnych okazjach zrobić sobie zdjęcie u fotografa. Moja przyjaciółka Qinqin miała aparat marki Mewa, czarne prostokątne pudełko z dwoma obiektywami i wizjerem u góry. Babcia miała bardzo niewiele zdjęć, więc, za zgodą Ojca, poprosiłem Qinqin, by wpadła do nas w niedzielę i porobiła zdjęcia Babci i reszcie rodziny. Kiedy przyszła, wszyscy czekali w gotowości. Ojciec włożył niebieską kurtkę Mao, którą Matka uszyła mu z okazji księżycowego Nowego Roku. Babcia siedziała na wiklinowym krześle na podwórku, ubrana w czystą czarną sztruksową koszulę i nową aksamitną czapeczkę. My ubraliśmy się w nasze najlepsze stroje, przygotowane na Nowy Rok. Na polecenie Qinqin ustawialiśmy się w rozmaitych pozach, ale ona skupiała się głównie na Babci, paplając bez przerwy, żeby ją rozluźnić, a jednocześnie przekrzywiając aparat pod różnymi kątami. Twarz Babci drgała lekko: była zdenerwowana, może trochę przestraszona, ale podobało się jej, że ktoś poświęca jej tyle uwagi, więc śmiało spoglądała w obiektyw. Kiedy Qinqin przewinęła film, wyszeptała do mnie:

– Twoja babcia musiała być za młodu bardzo atrakcyjną kobietą, wciąż to widać po jej oczach, cerze i twarzy.

– Naprawdę? – Nigdy nie myślałem o Babci w ten sposób. Za mojej pamięci zawsze była stara. Odwróciłem się, żeby na nią spojrzeć, i przyglądałem się jej twarzy tak, jakbym widział ją po raz pierwszy. Oczy miała załzawione i smutne.

– Babciu, czy jak byłaś młoda, to byłaś ładna? – zapytałem obcesowo, jak to zwykle smarkacze. Zdziwiła się nieco, a potem zarumieniła i machnęła ręką.

– Nie. Jestem brzydką, starą babą.

Ojciec roześmiał się i powiedział do Qinqin:

– Babcia była bardzo ładna i miała wielu adoratorów, zanim wyszła za Dziadka.

Znów przypomniała mi się opowieść o wiernej wdowie. Zastanawiałem się, czy Babcia za młodu nie odczuwała pokus w chłodne zimowe noce, gdy była sama, a jej syn już spał. Czy flirtowała z innymi mężczyznami? Złapałem się na tym, że patrzę na ręce Babci, jakbym szukał śladów tego, że może zastanawiała się nad obcięciem sobie palca, by poskromić swoje pragnienia i umocnić się w postanowieniu jak wdowa z opowieści. Dłonie Babci były drobne i kruche, ale żadnego palca nie brakowało.

Niedługo po tamtej sesji fotograficznej Babcia powiedziała Ojcu, że potrzebuje odpowiedniego stroju do trumny, i poprosiła Matkę, żeby znalazła krawca, który uszyłby jej *shouyi*. W latach siedemdziesiątych wszyscy nosili to samo, kobiety i mężczyźni: szare, zielone albo niebieskie kurtki Mao i pasujące do nich spodnie. Babcia nie chciała niczego takiego. Jej *shouyi*, śmiertelna wyprawa, miało być tradycyjnym strojem, jaki nam kojarzył się ze starymi filmami przedstawiającymi czasy sprzed komunizmu.

– Jeśli umrę w nowomodnym ubraniu, mój mąż i przodkowie mnie nie poznają – tłumaczyła nam Babcia.

Moja starsza siostra wyśmiewała się z niej:

– Babcia zachowuje się jak burżujka! Chce ładnie wyglądać, żeby zrobić wrażenie na Dziadku.

Babcia zarumieniła się, po czym – jak często w takich razach, gdy chodziło o moją starszą siostrę, która, podobnie jak ja, zajmowała szczególne miejsce w jej sercu – kazała jej sobie pójść.

Zdziwiło mnie to żądanie stroju do trumny. Ojciec mówił, że Babcia, kiedy była młoda, bardzo dbała o wygląd, ale ja pamiętam ją w tylko jednym ubraniu: workowatej niebieskiej koszuli zapinanej z lewej strony na płaskie guziki, brzydkich spodniach i białych podkolanówkach. Siwe włosy nosiła związane w ciasny koczek z tyłu głowy. Wątpię, czy kiedykolwiek spoglądała w lustro. Często mówiłem jej, że poplamiła sobie ubranie jedzeniem, a ona tylko machała ręką i odpowiadała:

– A co mi tam, jestem starą babą.

Kiedy moja najstarsza siostra narzekała, że nie ma co na siebie włożyć, Babcia ganiła ją za próżność.

– Niedobrze jest, gdy dziewczynka bardziej dba o swoje stroje niż o domowe obowiązki. Nikt nie będzie cię chciał za żonę.

Sądzę, że kiedy Babcia myślała o swojej śmierci, budziła się w niej iskierka nadziei, że znów ujrzy męża i połączy się z nim w nowym cyklu życia, bo on też na pewno był samotny przez cały ten czas. Myślę, że Babcia chciała się wyszykować na tę szczególną randkę, ubrać się ładnie dla swojego męża.

Matka, która była niechętnym uczestnikiem naszego spisku pogrzebowego, zaczęła traktować go przychylniej, kiedy Babcia poprosiła ją, żeby zajęła się przygotowaniem jej stroju na życie po śmierci. Matka zmobilizowała całą armię znajomych, które miały jej pomóc. Szczerze mówiąc, byłem nieco zdumiony tym jej zapałem. Kiedy jej o tym powiedziałem, odparła:

– Jestem kobietą, więc rozumiem życzenie twojej babci. W naszej wiosce kobieta, choćby była bardzo biedna, ubierała się ładnie na dwie okazje: na swój ślub i swój pogrzeb.

Dzięki poczcie pantoflowej Matka trafiła na dwie panie, które nosiły niegdyś wytworne suknie z lat trzydziestych i czterdziestych. Poleciły jej inną jeszcze panią, która niedawno przyjechała z Henanu, a jej mąż był rikszarzem w Xi’anie. Dzieci w sąsiedztwie przezwały ją „Głuchą Ciotką”, bo niedosłyszała. Głucha Ciotka wiedziała, jak uszyć *shouyi*, ale Matka musiała obiecać jej mężowi, że nie będą o tym rozpowiadać i że Ciotka nie napyta sobie żadnej biedy. Ciotka przyprowadziła ze sobą jeszcze jedną starszą panią, całkiem niepotrzebnie wykrzykując: „Moja pomocnica!”. Matka gotowała im dobre obiady, a one przez trzy dni pracowały za zamkniętymi drzwiami sypialni rodziców. Słyszałem klekot maszyny do szycia, ciachanie nożyc i gromkie polecenia Głuchej Ciotki. Kiedy zajrzałem przez okno, zobaczyłem rozrzucone na łóżku paski i skrawki błękitnego, pomarańczowego i żółtego materiału, i kobiety, które przykładały do siebie jakąś nogawkę albo rękaw, podczas gdy inne spinały to szpilkami, krzątając się zaaferowane.

Śluby wiązano z parzystymi liczbami, symbolizującymi szczęście młodej pary, ale pogrzeby – jak twierdziła Matka – wymagają liczb nieparzystych, tak żeby śmierć dotknęła tylko jednej osoby. Trzeciego popołudnia pokazano Babci trzy zestawy *shouyi*: jeden na lato, drugi na zimę, a trzeci na wiosnę albo jesień. Główną część ubioru stanowiło błękitne *qipao* wykończone pomarańczowym jedwabiem[3]. Zamiast haftu po obu stronach nalepiono

żółte papierowe feniksy. Głucha Ciotka trzymała w ręku jedwabny żakiet oraz podszyty bawełną zimowy płaszcz, także niebieskie, z papierowymi ptakami z przodu. Były też czarny kapelusz przybrany kwiatami oraz para maleńkich, ręcznie uszytych szpiczastych pantofelków, a nawet żółta kołdra z dzianiny. Wszystko to przedstawiono do oceny Babci, która sprawdzała po kolei każdy element stroju, a potem jeszcze raz, wolniej, badając każdy szczegół. Wreszcie chwyciła Głuchą Ciotkę za ręce i dziękowała jej bez końca, powtarzając, jakie ma szczęście, że po śmierci będzie mogła nosić tak piękne ubrania. Nie chciałem jej mówić, że widziałem tradycyjne chińskie stroje na starych filmach i w porównaniu z nimi jej *shouyi* to kiczowata, przeraźliwa podróbka.

Mając już gotową trumnę i śmiertelną wyprawę, Babcia mogła spokojnie myśleć o śmierci jako o kolejnym etapie życia. Dla mnie natomiast zaczął się koszmar. Nie mogłem już zapraszać do domu kolegów, bo nie chciałem, żeby któryś z nauczycieli dowiedział się, co się wyprawia w naszym niby porządnym komunistycznym domu. A zwłaszcza nie chciałem dostarczać kolegom z klasy nowej amunicji do ich arsenału żartów na temat Babci.

W końcu komuś powiedziałem, ale pod przymusem. Był taki jeden chłopak, z którym zwykle graliśmy po lekcjach w różne gry. Urządziliśmy sobie konkurs, kto trafi cegłą w daleko ustawiony cel. Ten, kto przegra, zapłaci zwycięzcy dziesięć fenów. Przegrałem, ale resztka pieniędzy, które wcześniej dał mi Ojciec, nie starczyła, żeby dotrzymać umowy. Tamten chłopak zagroził, że pójdzie do mojej Matki i zażąda zwrotu długu. Próbowałem różnych sztuczek, żeby dał mi spokój, ale on był za sprytny, więc w końcu zaproponowałem, że pokażę mu trumnę. Wślizgnęliśmy się do domu, kiedy Babcia była zajęta gotowaniem obiadu, i zakradliśmy się do pokoju rodziców. Wzbijając kurz, zdjąłem prześcieradła, którymi przykryta była trumna, a mój kolega przyjrzał się jej obojętnie. Poprosił, żebym ją otworzył, ale to też nie zrobiło na nim wrażenia. Pewnie spodziewał się w środku czegoś bardziej przerażającego niż dwa worki mąki, które Ojciec tam trzymał. W rozpaczy wyjąłem walizkę, w której leżało starannie złożone i zapakowane *shouyi* Babci. Kolega zaczął się śmiać i powiedział, żebym się w to ubrał. Kiedy włożyłem żakiet, krzyknął ze śmiechem: „Twoja babcia to jakieś okropne feudalne widmo!” i wybiegł z domu.

Shouyi leżało rozrzucone na łóżku rodziców, wieko było na wpół otwarte, a kiedy próbowałem je zamknąć, nadepnąłem na niebieską jedwabną

suknię, która się pomięła. Nie dałem rady poskładać jej tak, jak była, więc tylko zwinąłem cały strój i upchnąłem z powrotem w walizce. Nie udało mi się ukryć tego przed Babcią: wieczorem powiedziała o wszystkim rodzicom. Ojciec był wściekły i spuścił mi szczególnie bolesne lanie. Tym razem Babcia nie przyszła mi na ratunek.

Najgorsza była jednak obawa, że tamten chłopak doniesie na mnie nauczycielce. Nie zrobił tego, ale powiedział kilku innym chłopakom, że moja Babcia to okropne widmo, i przez jakiś czas się ze mną nie bawili. Może przestraszyło ich to, że sypiam obok trumny.

Chociaż moi rodzice wciąż nam przypominali, żebyśmy nie pisnęli słówka na temat trumny oraz *shouyi*, Matka sama złamała ten zakaz. Trumna i piękne pogrzebowe szaty w domu? Nie wytrzymała i zaczęła się przechwalać tym nowym nabytkiem przed swoimi przyjaciółkami. Wiele z nich przychodziło bez zapowiedzi i aż im zapierało dech z niecierpliwości, jakby zaraz miały zobaczyć jakieś wyjątkowe dzieło sztuki. Matka upominała je, żeby tylko nikomu nic nie mówiły, chociaż to ona sama rozgadała wszystko po całym osiedlu. Potem wyjmowała mniejsze części stroju, a w ramach dodatkowej atrakcji odsuwała błyszczące, czarne wieko trumny. Znajome mówiły:

– Jakim troskliwym synem jest twój mąż. Twoja teściowa ma szczęście, że ma taką synową jak ty.

Matka, którą Babcia od dawna miała za swojego głównego wroga, pławiła się w pochwałach.

Trumna i *shouyi* to był najbardziej widoczny i ryzykowny etap przygotowań Ojca, ale udało mu się przeprowadzić to tak, że nie został przyłapany. Wciąż przyznawano mu tytuł wzorowego towarzysza, w pracy pilnie spełniał wszystkie obowiązki wobec Partii. A wieczorami, przy gołej dwudziestowatowej żarówce wiszącej nad kuchennym stołem, razem z Matką planowali kolejne kroki, rozważając różne scenariusze, z których każdy wiązał się z innymi problemami.

Obmyślili kilka różnych planów pogrzebu Babci, w zależności od tego, w jakiej porze roku umrze, a Ojciec spisał listę możliwych trudności i rozwiązań w każdym przypadku. Według ludowych wierzeń, jeśli ktoś wyjechał z rodzinnej miejscowości i umarł poza nią, jego dusza będzie się błąkać, a ciała nie można przywieźć, żeby je później pochować. Temu problemowi można zaradzić w ten sposób, że gdyby Babcia poważnie zachorowa-

ła, moglibyśmy ją zawieźć pociągiem i autobusem, żeby umarła w swojej rodzinnej wiosce w otoczeniu krewnych, których także należało wtajemniczyć w cały plan.

– A jeśli Babcia będzie chorować całymi miesiącami? – zapytała Matka. – Nie możemy przecież zwolnić się z pracy i siedzieć z nią na wsi.

Koszty także byłyby ogromne, bo wszyscy wiedzieli, że Ojciec mieszka w dużym mieście, więc oczekiwano by, że wyprawi trwające wiele dni ceremonie pogrzebowe. Ojciec wykluczył więc taki wariant i skupił się na tym, co zrobić, jeśli Babcia umrze w Xi'anie.

Gdyby umarła zimą, wiosną albo późną jesienią, znaleźlibyśmy kogoś, kto ma dostęp do ciężarówki. Pomysł był taki, żeby możliwie szybko i dyskretnie zawieźć ciało Babci do jej rodzinnej wsi. To oznaczało dobę jazdy wyboistymi, błotnistymi drogami. Zwłoki zawieźlibyśmy ja i Ojciec. Rozbilibyśmy namiot w pobliżu wsi, zaprosilibyśmy żyjących jeszcze krewnych na skromne czuwanie, a potem pochowali Babcię na ziemi należącej do rodziny. Zakład Ojca miał sześć czy siedem samochodów, więc może dałoby się skorzystać z jednego z nich. Jeśli nie, owinęlibyśmy czymś trumnę i załadowalibyśmy ją cichcem do pociągu towarowego. Gdyby akurat tego dnia nie było pociągu, zostawilibyśmy trumnę, zawinęli Babcię w kołdrę i wsiedlibyśmy z nią do najbliższego pociągu jadącego do Henanu, tłumacząc wszystkim, że jest poważnie chora. Sądziliśmy, że jeśli nakładziemy pod tę kołdrę lodu, uda nam się odbyć sześciogodzinną podróż, nie wzbudzając podejrzeń, chociaż przepisy surowo zabraniały przewożenia zwłok w pociągach osobowych. W takiej sytuacji potrzebowalibyśmy pomocy godnych zaufania znajomych pracujących na kolei, ponieważ gdyby nas nakryto, ciało Babci zostałoby zatrzymane na następnej stacji i przekazane do natychmiastowej kremacji, a nas by ukarano i publicznie potępiono.

Jeśli zaś Babcia umarłaby latem, kluczową kwestią byłby czas. Gdyby nie udało się znaleźć szybko żadnego środka transportu, pochowalibyśmy ją gdzieś pod miastem i poczekali do trzeciej rocznicy pogrzebu, żeby wykopać jej kości i zawieźć je do wioski[4]. Ten kosztowny i skomplikowany wariant wymagałby dwóch etapów i dużej ostrożności. Kuzynka Babci, mieszkająca we wsi niedaleko Xi'anu, powiedziała, że bez kłopotu znajdzie miejsce na wiejskim cmentarzu, dopóki nie będziemy gotowi na właściwy pogrzeb.

Było oczywiste, że to, co robimy, jest nielegalne, i że każdy, kto nam pomaga, będzie winny przestępstwa. Zdając sobie sprawę z ryzyka, moi rodzice ostrożnie dobierali znajomych i krewnych, których prosili o pomoc. Ojciec wkrótce skompletował listę „wujków” i „cioć” posiadających wszelkiego rodzaju znajomości i bardzo się starał podtrzymywać bliskie relacje z nimi, co było konieczne do gładkiego przeprowadzenia całej operacji.

Tajemnice

Matka zawsze była zazdrosna o bliską więź łączącą Ojca i Babcię. Moja babcia od strony matki, czyli *popo*, zmarła, kiedy Matka była jeszcze małą dziewczynką, w okolicznościach, które mogę określić jedynie jako tajemnicze.

Nie zaprzątałem sobie zbytnio głowy losem *Popo*, dopóki we wrześniu 1974 roku Matka nie zabrała mnie i mojej młodszej siostry w odwiedziny do swojej rodzinnej wioski. Ta wieś również leżała w prowincji Henan, zaledwie siedem kilometrów od wioski Ojca. Matka, która nie była w domu od czternastu lat, planowała ten wyjazd od dawna. Dla nas była to okazja, żeby poznać krewnych Matki, a dla niej – żeby lepiej poznać rodzinę Ojca, bo ich pomoc mogła się przydać przy pogrzebie Babci.

Na miesiąc przed wyjazdem Matka zawzięcie kupowała: nowe buty, kupony materiału dla sióstr, kurtki dla braci. Kiedy podarunków piętrzących się na starym biurku Ojca ciągle przybywało, podsłuchałem, jak Babcia zrzędzi:

– Dlaczego ona marnuje pieniądze na swoją rodzinę? Przecież tylko nią pomiatali. Myślisz, że jej macocha w ogóle się ucieszy na jej widok?

Macocha? To była dla mnie nowość. Ponieważ prawie nie widywaliśmy rodziny Matki, rzadko się o nich rozmawiało. Zapytałem więc Matkę o *Popo*. Odpowiedziała mi lakonicznie, że jej rodzona matka zmarła, a ojciec ponownie się ożenił.

– Czy twoja macocha była dla ciebie dobra?

– Nie – odrzekła Matka, a z jej tonu wywnioskowałem, że lepiej więcej nie pytać. Ogarnęło mnie współczucie.

Jej ojciec, a mój dziadek, czyli *gonggong*, wyszedł po nas na dworzec. Widziałem go już kiedyś, zatrzymał się w Xi’anie dwa lata wcześniej. Matka była do niego bardzo podobna: oboje mieli wysokie kości policzkowe,

duże, okrągłe oczy, płaskie jak talerz twarze i głośne, gromkie głosy. Na stacji Matka rozpłakała się na widok ojca i od razu zaczęli rozmawiać w jakimś nieznanym dla mnie dialekcie.

Po dwóch godzinach jazdy autobusem i kolejnej na wozie zaprzężonym w konia nareszcie dotarliśmy na miejsce. Dom dziadka był duży i zniszczony, o ścianach wylepionych z gliny. A jego żona w niczym nie przypominała Babci. Wydawała się zaledwie kilka lat starsza od Matki, chociaż nosiła taką samą jak Babcia workowatą koszulę zapinaną z boku na guziki. Nie miała krępowanych stóp i była raczej chuda. Przywitała nas łagodnym, ledwo słyszalnym głosem, zupełnie innym niż dudniący głos jej męża. Delikatnie poklepała mnie po głowie. „Więc to jest ta zła macocha?" – nie mogłem się nadziwić. Przyniosła mi miseczkę wody. Ponieważ byłem zmęczony i spragniony, wziąłem duży łyk, ale woda miała dziwny, gorzki smak, jakby była zatruta. Skrzywiłem się. Przybrana *popo* zachichotała, wszyscy się zaśmiali. Woda w tutejszych studniach od lat była zanieczyszczona. Ludzie po prostu do tego przywykli.

Następnego dnia *Gonggong* zabrał Matkę na miejsce urodzenia Ojca, my zaś poszliśmy z jednym z wujków i przed maleńkim sklepikiem spożywczym spotkaliśmy starszą kobietę po siedemdziesiątce. Dotknęła twarzy mojej siostry, mówiąc, że jest podobna do Matki. Usiadłem obok, podczas gdy wujek robił zakupy.

– Kiedyś przez wiele lat byłam waszą sąsiadką – powiedziała staruszka. – Wasza mama miała ciężkie życie.

Zapytałem, dlaczego, a ona chyba się zdziwiła, że nic nie wiem. Rozejrzała się, żeby się upewnić, że nikt nie usłyszy, i wyszeptała:

– Wrzucili twoją *popo* do studni i ją zabili. Potem siostra waszej biednej matki została porwana. Ciekawe, co się z nią stało. Nowa żona twojego dziadka nie lubiła twojej matki.

Wrócił wujek i starsza pani od razu zmieniła temat. Pochwaliła mnie, że bystry ze mnie chłopak; ale wiadomość o zamordowaniu *Popo* zupełnie mnie ogłuszyła. Zabili *Popo*? Czy to dlatego woda ma taki dziwny smak? *Gonggong* był taki silny i mądry, dlaczego jej nie obronił? Dlaczego porwali moją ciotkę? Czy zatkali jej usta szmatą, tak jak to robią na filmach? Moja wyobraźnia galopowała jak szalona. Chciałem pójść do Matki i zapytać ją o to wszystko, ale ona była zajęta swoim przyrodnim rodzeństwem.

Po jakimś czasie musieliśmy wracać. Na stacji, podczas gdy Matka taszczyła nasze walizki, wypchane podarunkami od krewnych, *Gonggong* wniósł do pociągu mnie i moją siostrę. Kiedy czekaliśmy na Matkę, wreszcie wyrzuciłem z siebie pytanie, które dręczyło mnie przez całą drogę:

– Czy oni wrzucili *Popo* do studni?

Gonggong na moment zamarł, zdumiony, po czym wymamrotał tonem, który mnie przestraszył:

– Bzdura! Kto ci to powiedział?

Spojrzał na mnie gniewnie i odwrócił się, żeby pomóc Matce ułożyć nasze walizki na półce. Potem wyszedł z pociągu. Matka pomachała mu przez okno, prosząc, żeby już poszedł i nie czekał, aż pociąg odjedzie. Skinął głową, ale stał dalej i machał. Na mnie nie patrzył.

Kiedy pociąg z hurgotem wyjechał ze stacji, powiedziałem Matce o tamtej staruszce.

– Tak, ludzie gadają, że *Popo* wrzucili do studni – powiedziała spokojnym, obojętnym głosem, jakbyśmy mówili o pogodzie.

– Czy tam była woda, czy to była wyschnięta studnia? – zapytałem.

– Nie wiem – odparła. – To było dawno temu. Niewiele pamiętam.

Potem Matka powiedziała, że jej siostrę porwano pewnego dnia, kiedy bawiła się na ulicy, i sprzedano jakiemuś górnikowi w prowincji Anhui. Wzięli ślub i mieli pięcioro dzieci.

Nie zadowoliła mnie jej odpowiedź, więc później zapytałem o to samo Ojca, a on powiedział to, co zwykle, kiedy chciał się wymigać od odpowiedzi:

– Jest wiele rzeczy, których nie rozumiesz. Matka powie ci więcej, kiedy dorośniesz.

Czekałem piętnaście lat. W grudniu 1989 roku Matka i moja młodsza siostra przyjechały do Szanghaju zobaczyć się ze mną przed moim wyjazdem do Stanów Zjednoczonych. Spędziliśmy razem beztroski tydzień. Nikt z nas nie wiedział, na jak długo wyjeżdżam, ale chciałem coś sobie uporządkować, więc ostrożnie wspomniałem o *Popo*, chociaż nie spodziewałem się, że Matka powie mi cokolwiek, czego już bym nie wiedział. Zaskoczyła mnie: opowiedziała mi historię jak z filmu gangsterskiego. Przyznała, że przez wiele lat nie chciała mówić o swojej rodzinie, ponieważ wielu jej krewnych miało silne powiązania z miejscowymi tajnymi stowarzyszeniami.

Matka urodziła się w 1938 roku w rodzinie rolników, którzy mieli własną ziemię. Jej dziadek był sołtysem i przewodził tajnemu stowarzyszeniu sztuk walki. Ale w 1936 roku jego ród skłócił się z innym tajnym stowarzyszeniem i pewnego letniego wieczoru dziadek został zadźgany na śmierć niedaleko wejścia do wioski. Mordercy nigdy nie schwytano.

Jej ojciec, a mój *gonggong*, był jedynym synem w rodzinie. Miał osiem sióstr, twardych kobiet, które po śmierci ojca prowadziły gospodarstwo. W 1932 roku, kiedy miał czternaście lat, ożeniono go z dziewczyną z pobliskiej wioski. Zgodnie ze zwyczajem była od niego dziesięć lat starsza; chłopcy z zamożnych rodzin żenili się z pannami, które mogły być zarazem ich żonami i służącymi dla reszty rodziny. Chociaż w wielu bogatszych rodzinach wymagano, żeby dziewczyna miała krępowane stopy, jej tego oszczędzono, ponieważ była potrzebna do pomocy w polu. *Popo* była równie uparta jak jej szwagierki i miała wybuchowy temperament, co mogłem sobie łatwo wyobrazić, biorąc pod uwagę impulsywność mojej matki. Od samego początku nie lubiły się z siostrami dziadka, którym nie podobało się, że on słucha żony, a nie ich. Chociaż brak szacunku dla rodziny męża mógł być powodem rozwodu, na wsi zerwanie małżeństwa przynosiło wstyd zarówno rodzinie żony, jak i męża. Częstym sposobem na krnąbrne żony był więc „tragiczny wypadek”. Krewnych ośmielił zapewne również fakt, że *Popo* pochodziła z biednej rodziny, więc było mało prawdopodobne, żeby sprawcy ponieśli jakieś konsekwencje.

W osiem lat po ślubie *Popo* miała już dwie córeczki i synka. Matka była jej środkowym dzieckiem. Kiedy w 1942 w prowincji Henan zapanował głód, rodzina dziadka nie miała wystarczających zapasów, więc wielu jej członków umarło z głodu. Kiedy *Popo* zniknęła, uznano, że pojechała do swoich rodziców. Ale nigdy nie wróciła. Według oficjalnej wersji umarła z głodu w drodze do domu, chociaż nie znaleziono jej ciała. Ludzie z wioski mówili, że porwał ją jakiś obcy człowiek, związał i wrzucił do studni. Taka wersja wydawała się prawdopodobna, podejrzenie padło więc na szwagierki. Mówiono, że mają powiązania z tajnymi stowarzyszeniami i że zmówiły się, by zabić bratową. Jeden z braci *Popo* zjawił się w wiosce i groził, że pomści śmierć siostry, ale został napadnięty i śmiertelnie pobity przez nieznanych sprawców, być może członków gangu. Z braku innych dowodów ostatecznie przyjęto wersję, że *Popo* umarła z głodu.

Ponieważ teraz nie miał się już kto nimi zaopiekować, Matka i dwójka jej rodzeństwa żyli w straszliwej biedzie. Kiedy jej młodszy brat zmarł z głodu, *Gonggong* i inni członkowie rodziny wyruszyli na poszukiwanie jedzenia. Zabrali ze sobą Matkę, bo była posłusznym dzieckiem, ale nie jej siostrę, która nękała ich pytaniami o śmierć *Popo*. Niedługo później siostra zniknęła. *Gonggong* powiedział, że porwali ją handlarze żywym towarem. Teraz Matka została sama.

Gonggong poślubił dużo młodszą od siebie kobietę z bogatej rodziny. W przeciwieństwie do *Popo* miała spokojne usposobienie i wiedziała, jak przypodobać się szwagierkom. W ciągu kilku lat urodziła sześcioro dzieci: trzech chłopców i trzy dziewczynki. Matka była nieszczęśliwa. Spadało na nią to, czego nie chciała robić macocha, i rzadko dostawała jakieś nowe ubrania. Narosła między nimi wzajemna niechęć.

W 1953 roku *Gonggong* ubłagał jedną ze swych sióstr, która zamieszkała w Xi’anie, żeby wzięła do siebie Matkę i znalazła jej męża. Matka miała wówczas piętnaście lat. Mieszkała u ciotki przez trzy lata, aż swatka wyszukała dla niej odpowiedniego kawalera, który przyjechał do miasta z tego samego co ona regionu i mieszkał ze swą owdowiałą matką. Spotkawszy się zaledwie dwa razy, wzięli ślub. Tym młodym kawalerem był mój ojciec.

Ojciec wspominał, że miał tego samego dnia spotkać się z dwiema innymi dziewczętami, wybranymi przez dwie różne swatki, i wybrał tę, która pochodziła z jego rodzinnych stron. Przyprowadził ją do domu, żeby pokazać ją Babci, której spodobały się jej duża, okrągła twarz i duże oczy, tradycyjne oznaki urody. Matka miała też mocne kości, co oznaczało, że może ciężko pracować i urodzić dużo dzieci. Na ich drugą randkę Ojciec przyszedł do ciotki, u której mieszkała Matka, z prezentami: dwoma kompletami ubrań dla Matki. Wtedy właśnie się oświadczył. Ślub wzięli po zwyczajowym trzymiesięcznym okresie narzeczeństwa. Komunistyczny rząd wciąż był w trakcie wymiany pieniędzy w Chinach, więc w Xi’anie za najważniejsze rzeczy płacono workami mąki. Ojciec hojnie zaoferował piętnaście worków, by podziękować siostrze dziadka za opiekę nad Matką. W ten sposób w 1957 roku rodzice wzięli ślub, a rok później urodziła się moja starsza siostra. Matka wreszcie poczuła, że ma swoją własną rodzinę.

Kiedy ją zapytałem, czy wierzy w to, że *Popo* zamordowano, przyznała, że to bardzo możliwe. Ale nie chciała za dużo zastanawiać się nad przeszłością.

– Było, minęło, nie chciałam o tym pamiętać – powiedziała.

Ale mnie trudno było zapomnieć. Przez wiele lat śmierć *Popo* i porwanie ciotki były wciąż obecne w moich myślach. Nabrałem nawet zwyczaju omijania studni. Wydawało mi się dziwne, że teoria o morderstwie krążyła w rodzinie przez ponad trzydzieści lat, ale nikt nie domagał się śledztwa. Czasami podczas odwiedzin u krewnych Matki wypytywałem ich o tę sprawę. Albo mnie ignorowali, albo uciszali wymijającą odpowiedzią:

– Wtedy był głód i na wsi umierało wiele ludzi. Nikt tak naprawdę nie wie, co się stało.

Sprawa powróciła latem 1976 roku, kiedy siostra Matki, Ciocia Xiuying, ta, która została porwana jako mała dziewczynka, przyjechała do Xi'anu z wizytą.

Na dworcu od razu ją poznałem. Miała taki sam tubalny głos, okrągłą twarz i wysokie kości policzkowe jak Matka. Kiedy zobaczyła Matkę, zaniemówiła ze wzruszenia, a po chwili wszyscy płakaliśmy. Przedstawiliśmy ją Babci, pokazaliśmy jej babciną trumnę, a ona, wciąż szlochając, powiedziała:

– Gdyby moja matka żyła, byłaby w pani wieku. Żałuję, że nie mogłam jej pochować jak należy. Nawet nie wiemy, gdzie jest jej ciało.

Nikt nie wiedział, co powiedzieć.

Przez następny tydzień Ciocia Xiuying obeszła swoich krewnych w Xi'anie, wszędzie siejąc łzy i wywołując niesnaski. Widok trumny Babci sprawił, że do Cioci powróciły bolesne wspomnienia, więc zdwoiła wysiłki, żeby odnaleźć mordercę *Popo*. Spotkała się z siostrą dziadka (męża *Popo*), która swego czasu przywiozła moją matkę do Xi'anu, i zapytała ją o rolę, jaką odegrała w sprawie śmierci *Popo*. Siostra dziadka była wzburzona tym pytaniem, ale twierdziła uparcie, że *Popo* umarła z głodu i że Ciocia Xiuying nie umie pogodzić się z rzeczywistością. Źle się skończyła ta wizyta, a kiedy dowiedzieli się o tym inni krewni, którzy mogli coś wiedzieć o śmierci *Popo*, zaczęli unikać Cioci Xiuying. Nawet moja matka odsunęła się od niej i prosiła ją o więcej taktu. Ale ja podziwiałem jej determinację i temperament. Żałowałem, że Matka nie wykazuje większego uporu, by dowiedzieć się prawdy, ale Ciocia Xiuying powiedziała, że moja matka miała wtedy cztery lata, więc pewnie nie pamięta zbyt dobrze swojej mamy.

Ta wizyta zakłóciła spokój rodziny mieszkającej w Xi'anie. Kiedy Ciocia Xiuying wyjechała, byliśmy zbyt zajęci żywymi, żeby martwić się o zmar-

łych.

Matka i jej siostra coraz rzadziej do siebie pisywały. Kiedy byłem na pierwszym roku studiów w Szanghaju, zauważyłem, że miasto, gdzie mieszka Ciocia Xiuying, leży na trasie mojej dwudziestosiedmiogodzinnej podróży pociągiem z Xi'anu. Napisałem do Matki z pytaniem, czy zgadza się, żebym odwiedził Ciocię w drodze powrotnej z ferii zimowych. Zgodziła się niechętnie. Miałem nadzieję, że może jakoś je pogodzę.

Drugi syn Cioci przyjechał po mnie na dworzec traktorem. Ona sama czekała przed niewielkim blokiem, pod który zajechaliśmy chwiejnie w ciemnościach. Wszystko pokrywał pył węglowy: drzewa, fasadę budynku, schody, a nawet jej skórę. Gdy opłukałem twarz, woda zrobiła się czarna. Jeszcze nie zdążyłem usiąść, kiedy zaczęły się szlochy.

– Jakże ty urosłeś. Twoja matka i ja miałyśmy ciężkie życie. Naszą matkę wrzucili do studni, kiedy byłyśmy jeszcze małe.

Jej mąż, górnik, powstrzymał jej narzekania. Był nieśmiały i kiedy zaczęliśmy jeść kolację, nie usiadł z nami. Zamiast tego zajął miejsce w ciemnym kącie, paląc papierosa za papierosem i pokasłując. Jego twarz była tak samo ciemna i pomarszczona jak twarz cioci.

Tego wieczoru zapytałem Ciocię Xiuying o jej porwanie. Łkając, opowiedziała mi to, co zapamiętała.

Kiedy *Popo* zniknęła, ona sama skończyła właśnie osiem lat. Nie chciała uwierzyć w oficjalną wersję śmierci matki i bombardowała swego ojca, a mojego dziadka, pytaniami. Jej upór sprawił, że wszyscy dorośli w rodzinie zaczęli jej unikać. Któregoś dnia pewien daleki krewny, którego nazywała wujkiem, podszedł do niej, kiedy była w polu, i wyszeptał, że wie, gdzie jest jej matka. Ten wujek zwabił ją i przekazał obcemu człowiekowi, który dał Xiuying cukierka, a potem wsadził ją na wóz zaprzężony w konia. Ten człowiek należał do gangu handlarzy ludźmi. Ciocia Xiuying została zawieziona pociągiem do prowincji Anhui. Za każdym razem, kiedy prosiła porywacza, by pozwolił jej wrócić do domu, ten uciszał ją, wymierzając razy. „Wujek", teraz już dawno nieżyjący, był opiumistą i miał dług u lokalnego handlarza opium. Pod groźbą, że obetną mu rękę, jeśli nie zapłaci, zgodził się schwytać dla gangsterów kilka miejscowych dziewcząt. Ciocia Xiuying została najpierw sprzedana jako narzeczona siedmioletniego chłopca i zajmowała się swoim „mężem" jak niania, karmiła go i kąpała. Ale rok później chłopiec nagle umarł. Rodzina uznała, że powodem jego śmierci

było małżeństwo, nazwała ciotkę morderczynią i sprzedała ją innym ludziom. U nowego pana musiała pracować cały dzień, spała na zimnej podłodze w kuchni i bito ją za każde przewinienie. Potem jakieś małżeństwo z sąsiedztwa obiecało, że pomogą jej uciec, ale to była pułapka: znów sprzedano ją handlarzom żywym towarem. Było to w roku 1948. Ciocię Xiuying zabrano do górniczego miasta Huaibei, gdzie można było dużo zarobić na narzeczonych, bo żadna dziewczyna nie wyszłaby z własnej woli za usmolonego górnika. Człowiek, który ją kupił, był piętnaście lat od niej starszy. To był mój wujek.

On też nie miał łatwego życia. Jako młody chłopak stracił rodziców, więc wychowywał go krewny, który prowadził niedużą restaurację. Kiedy wujek był nastolatkiem, uzależnił się od hazardu i stale podkradał opiekunowi pieniądze. Nie był w stanie zerwać z tym nałogiem. Gdy znów ukradł swojemu krewnemu pieniądze i je przegrał, wstydził się wrócić do domu, więc pojechał do Huaibei i został górnikiem. Miał trzydzieści jeden lat, kiedy kupił i poślubił moją ciotkę, wówczas szesnastoletnią. Ciocia powiedziała, że jej mąż dobrze ją traktował, a kiedy nabrali do siebie zaufania, powierzył jej swoje pieniądze. Czasem, kiedy sobie wypił, bywał grubiański, ale po latach właściwie niewolniczego życia Ciocia Xiuying nareszcie czuła się bezpieczna i znosiła ze spokojem jego „humory”. Po zwycięstwie komunistów Partia ogłosiła, że porwane niegdyś kobiety mogą, jeśli chcą, odejść od swych byłych właścicieli. Ciocia opowiadała później, że myślała o tym. Chociaż zdążyła już urodzić synka, tęskniła za domem. Z pomocą ulicznego sprzedawcy zupy, który rozpoznał jej akcent, bo pochodził z tego samego miasta, a także słyszał o zamordowaniu jej dziadka, udało jej się odnaleźć ojca.

Ciocia Xiuying wróciła do domu, lecz okazało się, że rzeczywistość jest zupełnie inna, niż sobie wyobrażała. Nie mogła zaakceptować swojej macochy, a podejrzenia, które miała jako dziecko, potwierdzali szeptem mieszkańcy wioski, którzy bali się mówić głośno o tym, co słyszeli na temat śmierci *Popo*. Próbowała pytać o to swojego ojca i jego siostry, ale napotkała mur milczenia. Poczuła, że nie jest mile widzianym gościem; dom, o którym tak marzyła, nie istniał. Wróciła więc do Huaibei do męża i urodziła mu jeszcze czwórkę dzieci. *Gonggong* odwiedzał ją wiele razy i udało im się odbudować swego rodzaju więź, ale ona nigdy nie zapomniała o mat-

ce. Kiedy zapytałem, czy myśli, że *Gonggong* jest odpowiedzialny za śmierć *Popo*, broniła go tak samo jak moja matka.

– Nasz ojciec był za młody i za słaby. Został siłą wciągnięty w spisek. Nie miał wyboru.

Ciocia Xiuying nie mogła jednak wybaczyć mojej matce milczenia: uważała je za zdradę.

– Ludzie zamieszani w śmierć *Popo* traktowali twoją matkę bardzo dobrze, więc uważa morderców za najbliższą rodzinę.

Miałem silne poczucie, że największą tragedią Cioci Xiuying nie jest porwanie i niewolnicza praca, tylko utrata matki; potrzebowała jakiegoś zamknięcia całej tej historii, tak samo jak Babcia, która chciała, by pochowano ją jak należy.

– Twoja babcia, tak jak kiedyś moja matka, nie chce już nigdy być sama – powiedziała Ciocia.

Powrót do zdrowia

Trumna i *shouyi* chyba odstraszyły złe duchy, a może była to zasługa ziołowych leków doktora Xu, w każdym razie Babcia przeżyła chorobę i wróciła do zdrowia. Niestety, była teraz zbyt słaba, żeby codziennie gotować dla całej rodziny, a ponieważ przez dziesiątki lat królowała w kuchni, trudno było jej z tego zrezygnować.

Większość moich wspomnień z dzieciństwa dotyczących Babci wiąże się z gotowaniem. Kiedy rządziła w kuchni, miała swoje rytuały. Jako że ryż uprawiano na południu, a na północy trudno było go dostać, Ojciec uwielbiał makaron i bułeczki na parze. Babcia gotowała je więc codziennie, od zera, z mąki robiła ciasto, a z niego drobno pokrajany makaron albo pulchne bułeczki. W ten sposób wszyscy staliśmy się miłośnikami makaronu. Nie podawała jedzenia, ani nawet nie nakrywała do stołu, zanim Ojciec nie wrócił z pracy. Była nieugięta, nawet kiedy zebranie w zakładzie przeciągało się i wszyscy byliśmy strasznie głodni.

Babcia nigdy nie pozwalała Ojcu wchodzić do kuchni ani tknąć się prania. W rezultacie we wszystkim polegał na niej. Kiedy rządy w kuchni przejęła Matka, odziedziczyła babcine porządki, zawsze na przykład pierwszą miskę makaronu czy pierożków podawała Ojcu, a kolejną Babci. W przeciwieństwie do Babci, która uważała swojego syna za ideał, Matka nieustannie mu dokuczała, narzekając, że nie potrafi ugotować choćby najprostszej rzeczy. Babcia nie znosiła, kiedy synowa ganiła jej syna, i skarżyła się sąsiadkom, jaka to z niej okropna żona. Moja młodsza siostra podsłuchała kiedyś narzekania Babci i doniosła Matce, a ta się zdenerwowała. Ojciec tylko kręcił głową: „Dwa tygrysy nie mogą mieszkać na jednej górze, bo się pozabijają!”. Według chińskiego kalendarza i Matka, i Babcia urodziły się w roku Tygrysa.

To, że Ojciec nie umie gotować, Babcia uznała później za swoją największą porażkę i nie chciała, żebym ja również był w przyszłości narażony na drwiny. Czasami, zanim Matka po południu wróciła z pracy, zagniataliśmy więc z mąki ciasto, po czym je wyrabialiśmy, żeby uzyskało odpowiednią konsystencję. Przykrywaliśmy je mokrą ściereczką i zostawialiśmy na kwadrans. Potem rozwałkowywaliśmy je na wielkie okrągłe placki, które trzeba było poskładać i pokroić tak, by uzyskać gruby albo cienki makaron. Nauczyłem się też robić bułeczki na parze. W tamtych czasach wyzwaniem było ugotować kukurydzę tak, żeby wydawała się smaczniejsza i bardziej zachęcająca. Nasz przydział żywności składał się w mniej więcej jednej trzeciej właśnie z kukurydzy. Chleb kukurydziany i kukurydziany kleik wychodziły mi już uszami. Kukurydzę jedliśmy nie tylko z konieczności – był to także proletariacki obowiązek. W mojej szkole z internatem udawaliśmy, że bardzo nam smakuje, ponieważ była to główna strawa pierwszych rewolucjonistów. Pewnego dnia na stołówce wyrzuciłem do śmieci twardą, zimną kukurydzianą bułeczkę. Zobaczył to jeden z moich kolegów. Musiałem napisać w dzienniczku samokrytykę, przyznając, że uległem burżuazyjnym wpływom i że wyrzuciłem cenną kukurydzianą bułkę, owoc krwi i potu chłopskich bojowników o rewolucję. Babcia nauczyła mnie też, jak zrobić coś, co nazywała „złoto-srebrnymi bułkami”, z warstwami ciasta pszennego i kukurydzianego. Te przynajmniej łatwiej było przełknąć. Często mówiłem jej:

– Kiedy dorosnę i będę miał dużo pieniędzy, nigdy więcej nie wezmę do ust kukurydzy.

Teraz jedzenie z ciężkich czasów, takie jak chleb kukurydziany, wraca jako zdrowa żywność, podawana w Chinach tylko w eleganckich restauracjach. Ja wciąż unikam go, jak tylko mogę. Na samą myśl dostaję zgagi.

Wytchnieniem od kukurydzy był dla nas tylko księżycowy Nowy Rok. Wraz z kanonadą fajerwerków na stół wjeżdżała obfitość potraw mięsnych i mącznych, nawet w tych ciężkich czasach. Przygotowania rozpoczynały się osiem dni przed nowiem. Składano wtedy ofiarę Kuchennemu Bóstwu, które relacjonowało wszystko niebiosom. Babcia topiła na patelni kostki cukru, a potem nadziewała karmelem tuzin trójkątnych bułeczek. Kładła je na kredensie w kuchni, bo Ojciec zabronił jej ustawiania ołtarzyka dla Kuchennego Bóstwa. Babcia mówiła, że trzeba przekupić je słodkimi przy-

smakami, bo wtedy powie w niebiosach same pochlebne rzeczy o naszej rodzinie, albo przynajmniej karmel zaklei mu usta na amen.

Wydawało się, że Babcia gotuje przez cały tydzień bez chwili przerwy. Zużyła cały worek mąki, zaoszczędzony przez rok, żeby wyrobić ciasto na rozmaite pszenne bułeczki. Zgodnie z tradycją w Nowy Rok nikt nie mógł wejść do kuchni, więc wszystko trzeba było przygotować wcześniej: okrągłe bułeczki z ozdobną czerwoną kropką na czubku były bez nadzienia, bułeczki w kształcie myszek wypełniał farsz z mielonej wieprzowiny i warzyw, a te w kształcie złotych samorodków miały w środku pastę z czerwonej fasoli. Babcia z Matką gotowały fasolę i ucierały ją później z cukrem na pastę. W wigilię Nowego Roku Babcia miała już ponad dwieście bułeczek – dość, żeby wykarmić całą rodzinę i odwiedzających nas krewnych przez kolejne dwa tygodnie.

Podczas gdy Babcia gotowała, Matka szyła na maszynie, klekoczącej do późna w nocy, nowe ubrania dla mnie i mojego rodzeństwa. Wszystkie dzieci musiały mieć na Nowy Rok nową odzież. W tamtych czasach najmodniejsza była zielona kurtka wzorowana na uniformie komunistycznych żołnierzy, z dwiema zapinanymi na guzik kieszeniami na piersi i dwiema małymi, prostokątnymi, czerwonymi naszywkami na szpiczastym kołnierzu. Taki strój nosiłem przez całą szkołę podstawową i liceum. Po południu w przeddzień Nowego Roku, kiedy już wszystkie ubrania były gotowe, Matka wkraczała do kuchni i robiła pierożki, które mieliśmy zjeść rano w Nowy Rok, a także smażyła wontony w najróżniejszych kształtach – „warstwowe róże” i „fruwające latawce” – które potem podawało się gościom wraz ze słodyczami, pestkami arbuza i herbatą.

Teraz ludzie wieszają wielkie czerwone plakaty z hasłami takimi jak „*Gongxifacai*”, czyli „Dużo szczęścia i pieniędzy w nadchodzącym roku”. W latach siedemdziesiątych Partia rozwieszała na murach w całej okolicy wielkie czerwone plakaty nawołujące, by „bezpiecznie i rewolucyjnie świętować Nowy Rok”. Partia chciała skromniejszych obchodów i apelowała, by ludzie nie szastali pieniędzmi na jedzenie i trunki i nie uprawiali karcianego hazardu, bo wszystko to są zwyczaje z poprzedniej, niesłusznej epoki. Ale mimo nieustającej kampanii władzom nie udało się zbyt wiele zmienić, jeśli chodzi o obchody Nowego Roku, w których zachowało się wciąż wiele tradycyjnych zwyczajów. Na to święto czekały dzieci i czekali dorośli. Nie dostawało się co prawda w prezencie czerwonych kopert pełnych nowiut-

kich banknotów, ale była to jedyna okazja w roku, kiedy wkładało się nowe ubrania, a przez cały kolejny tydzień jadło się wielkie, białe, pszenne bułeczki na parze. W czasie świąt rodzice nigdy nas nie upominali, ale nie wolno było nam powiedzieć niczego, co byłoby złą wróżbą i co mogłoby – jak twierdził Ojciec – przynieść nam pecha na cały rok.

Ale nawet podczas świętowania Nowego Roku pogrzeb Babci był wciąż najważniejszą rodzinną sprawą. Przyszła pora, żeby odwiedzić wujków i ciotki, którzy mieli należeć do pogrzebowego spisku. Rankiem w Nowy Rok 1976, kiedy tłum gości odwiedzających Babcię z życzeniami nieco się przerzedził, Ojciec załadował cały stos pudełek ze słodkimi ciastkami na bagażnik roweru. W domu był oszczędny, ale na prezenty nie skąpił; wstyd było żałować pieniędzy na przyjaciół. Często nie pozwalał nam jeść ciastek, które ktoś przyniósł nam w prezencie, tylko pakował je na nowo, żeby dać je komuś innemu.

Gdy już wszystkie podarunki zostały zapakowane, Ojciec posadził mnie przed sobą i zaczęliśmy objeżdżać miasto, żeby podtrzymać znajomości. Najpierw pojechaliśmy do niejakiego Wujka Wu, którego dom krył się w labiryncie zrujnowanych baraków i szop we wschodniej części miasta. Wujek Wu, którego niegdyś przedstawiła nam córka kuzyna Dziadka, był maszynistą i miał przewieźć Babcię pociągiem. Po półgodzinnej pogawędce o zdrowiu Babci wręczyliśmy z Ojcem po pudełku ciastek matce Wujka Wu. Następnie wybraliśmy się do innego wujka, którego matka była ciotką Dziadka. Był kierownikiem brygady kierowców w Wydziale Transportu Lokalnego. Miał ciężarówkę i kierowcę. Przezwałem go „Wujek Migacz”, bo kiedy się zdenerwował, bardzo się pocił i bez przerwy mrugał oczami.

Jeździliśmy tak aż do późnego popołudnia. Kiedy byłem starszy, chciałem spędzać Nowy Rok z kumplami i coraz mniej uśmiechało mi się jeżdżenie z Ojcem po tych wszystkich ludziach, on jednak nalegał, żebym mu – jako najstarszy wnuk – towarzyszył. Tak narodził się nasz kolejny rytuał: coroczne negocjacje, które zaczynały się od snutych między jedną a drugą wizytą opowieści o wojownikach, a kończyły podwyższeniem miesięcznego kieszonkowego.

Historie Ojca były dla mnie najlepszym noworocznym prezentem. Zwykle nieśmiały i milkliwy, w roli gawędziarza zmieniał się zupełnie. Tworzył sugestywne sceny, często czerpiąc ze starych oper, filmów albo książek, teraz zakazanych. Zanim zaczynał opowiadać, przestrzegał mnie:

– Tylko nie powtarzaj tego innym. Czasem są tu motywy z okresu feudalizmu. Twój tata mógłby mieć kłopoty.

Niektóre opowieści, takie jak poniższa, ewidentnie miały przekonać mnie o korzyściach, jakie przyniesie naszej rodzinie wyprawienie Babci należytego pogrzebu:

– W dawnych czasach żył pewien generał, który nazywał się Xue Rengui. Wychował się w biedzie. Miejscowy święty powiedział młodemu Xue, że powinien poprawić feng shui swojej rodziny, przenosząc groby przodków w inne miejsce. Generał posłuchał jego rady i szczęście zaczęło mu sprzyjać. Wkrótce opuścił dom rodzinny, żeby wstąpić do armii. Wyjeżdżając, nie wiedział, że jego żona jest brzemienna. Dzięki swej odwadze szybko awansował. Pewnego dnia cesarski pałac zalała powódź i wielu dworskich urzędników uciekło, porzucając swego cesarza. Xue wskoczył do wody i uratował cesarza przed utonięciem. Władca, z wdzięczności za jego bohaterskie czyny, mianował go generałem. Xue Rengui odniósł potem wiele zwycięstw. Osiemnaście lat później pojechał z wizytą do rodzinnego domu. Kiedy zbliżał się do wioski, zobaczył tygrysa atakującego młodego chłopca. Strzelił z łuku i zabił bestię, ale przy okazji ranił chłopca. Chłopiec i tygrys spadli do głębokiej przepaści. Kiedy Xue przybył do domu, jego żona zapytała:

– Twój syn wyszedł ci naprzeciw. Czy spotkałeś go w lesie?

Zwykle, zanim zdradził zakończenie, Ojciec kazał mi zgadywać.

– Jak myślisz, gdzie był jego syn?

Zatrzymywał rower i nie chciał jechać dalej, dopóki nie udzieliłem dobrej odpowiedzi.

– Czy jego syn zginął, kiedy spadł do przepaści? – zapytałem z przejęciem.

– Nie, nie zginął, ponieważ cieszył się błogosławieństwem swoich przodków – powiedział Ojciec, po czym wsiadł z powrotem na rower i pojechaliśmy do Wujka Li, urzędnika partyjnego, który miał chronić Ojca przed konsekwencjami politycznymi, gdyby nasz plan pogrzebowy wpędził nas w jakieś kłopoty.

Przynależność etniczna

W swych upartych dążeniach do zapewnienia sobie porządnego pogrzebu Babcia była nawet gotowa przejść na islam i zmienić przynależność etniczną z grupy Han, największej grupy etnicznej w Chinach, na Hui, muzułmańską mniejszość. Słyszała, że z szacunku dla tradycji muzułmańskich władze uchyliły wobec ludu Hui zakaz pochówków. Wyobrażała sobie, że przejście na islam to nic trudnego – jeśli tylko z wieprzowiny przerzuci się na baraninę, Biuro Bezpieczeństwa zmieni jej w karcie meldunkowej przynależność etniczną i w ten sposób Babcia uniknie kremacji.

W latach siedemdziesiątych w Xi'anie mieszkało około czterdziestu tysięcy członków grupy Hui – obecnie jest ich tam około sześćdziesięciu tysięcy, podczas gdy cała ludność miasta liczy osiem milionów. Lud ten należy do najwcześniej osiadłych na tych terenach, a wywodzi się głównie od potomków arabskich i perskich kupców i żołnierzy, którzy wędrowali Jedwabnym Szlakiem, poczynając od VII wieku, kiedy to Xi'an był bogatą kosmopolityczną metropolią. Muzułmańskie tradycje i obyczaje Hui przetrwały przez wieki, chociaż w latach siedemdziesiątych Partia zakazała wszelkich praktyk religijnych, a niektórych partyjnych przedstawicieli Hui zmuszono do jedzenia wieprzowiny, co miało być symbolem ich zerwania z „feudalnymi i zabobonnymi praktykami". Większość Hui nie odstępowała jednak od swojej wiary i praktykowała potajemnie w domu.

Hui mieszkali głównie w zachodniej części centrum miasta, gdzie stworzyli sobie labirynt tradycyjnych domów i meczetów zbudowanych w stylu chińskim. Podczas rewolucji kulturalnej meczety zostały zamknięte, a niektóre przerobiono na szkoły albo fabryki. Ilekroć jednak odwiedzałem tę dzielnicę, czułem się tak, jakbym znalazł się w innym świecie: mężczyźni nosili białe mycki, kobiety chusty na głowach, restauracje były *halal*, a w powietrzu unosił się zapach pieczonej baraniny. Można tam było zjeść

najsłynniejszą w Xi’anie potrawę: pitę moczoną w zupie z baraniny, pyszną i sycącą. Hui nie różnili się wyglądem ode mnie czy mojego rodzeństwa, czasem tylko mieli lekko brązowawe włosy, a niektórzy niebieskie oczy.

Jeszcze zanim Babcia zaskoczyła nas swoim żądaniem konwersji, moi rodzice także zaczęli się żywo interesować społecznością muzułmańską, ale z innych powodów. Szukali dodatkowych źródeł żywności, które pozwoliłyby uzupełnić kartkowe przydziały.

Chociaż partyjna machina propagandowa nieustannie wychwalała ofiarną pracę ludu, której owocem były obfite plony, to jeszcze gdy byłem nastolatkiem, zdobycie jedzenia zawsze stanowiło u nas problem. Choć Babcia i Matka starały się, jak mogły, by przydział starczył na cały miesiąc, nigdy się to nie udawało. W czasie letnich żniw Matka wstawała o świcie i szła na pola, gdzie zbierała kłosy pszenicy pozostawione przez chłopów. Ojciec suszył ziarno na podwórku, po czym zawoził je do pobliskiej wioski, żeby zemleć na mąkę. Pamiętam, jak któregoś razu Matka po wielu godzinach pełzania na czworakach wróciła z pustymi rękami. Jacyś wieśniacy przyłapali ją na polu, oskarżyli, że kradnie im chleb, i zabrali jej znalezione kolby kukurydzy. W domu rozpłakała się z upokorzenia i postanowiła, że już nigdy nie pójdzie szukać resztek.

Brak odpowiedniej pszenicy i kukurydzy martwił rodziców. Podczas jednej z wizyt doktor Xu powiedział Ojcu, że w naszej diecie powinno być więcej białka.

– Będą jeść mniej, jeśli doda pan do jedzenia trochę mięsa albo łoju – poradził.

Ponieważ wieprzowina i drób były tylko na kartki, Ojciec pojechał do dzielnicy Hui, do domu swego kolegi muzułmanina, zwanego przez nas Wujkiem Liu, żeby zapytać, czy mógłby kupić taniej baraninę, która nie była racjonowana.

Tydzień po rozmowie z kolegą z ludu Hui Ojciec przyszedł do domu, niosąc na ramieniu owiniętą w płótno owcę. Babcia ściągnęła brwi, zmarszczyła nos, jej twarz przybrała wygląd pogniecionego papieru:

– Nie będę tego jadła – powiedziała. – Mdli mnie od zapachu baraniny.

Matka przez cały dzień moczyła baraninę w wodzie, po czym włożyła ją wraz z dwiema grubo posiekanymi białymi rzepami, zawiniątkiem z pieprzem syczuańskim i czarnym oraz goździkami do wielkiego garnka i dusi-

ła całość na średnim ogniu. Ojciec zamknął okna i drzwi, żeby Babcia nie dostała mdłości od zapachu.

Matka podawała nam zupę na baraninie z makaronem co drugi dzień i nawet zaczęło mi to smakować, zwłaszcza kiedy doprawiła ją octem, kolendrą i kiszonymi warzywami, żeby poprawić kolor i smak. Babcia gotowała i jadła osobno.

W któryś weekend ze zdziwieniem przyuważyłem Babcię, jak w maseczce chirurgicznej podgrzewała w kuchni zupę z baraniny.

– Ja też chcę spróbować tej zupy – oświadczyła. Przy obiedzie siedziała z nami, siorbiąc ostrożnie makaron. Ojciec, zadowolony, że jego matka w końcu przyszła do stołu, powiedział z pełnymi ustami:

– Takie jedzenie dobrze ci zrobi zimą.

Matka jednak nabrała podejrzeń. Odłożyła pałeczki i zapytała Babcię, używając popularnej filmowej frazy, kiedy to komunista pytał wrogiego szpiega, jaki jest jego prawdziwy cel:

– Co za lekarstwo chowasz w tykwie?

Babcia, nie patrząc na Matkę, zwróciła się do Ojca:

– *Jiuer*, czy masz jakieś *guanxi* w miejscowym Biurze Bezpieczeństwa[5]? Czy jest jakiś sposób, żebyśmy mogli przejść do Hui? – zapytała. – Możemy coś im dać, jeśli trzeba.

Co miała na myśli? Skąd nagle to pragnienie, by dołączyć do wyznawców Allaha? Ojciec przestał jeść.

– Dlaczego chcesz być Hui?

Wtedy prawda wyszła na jaw. Tego ranka zajrzała do nas sąsiadka, pani Liao. Ponieważ mieszkała kiedyś w pobliżu dzielnicy Hui, wiedziała, że władze, żeby uniknąć konfliktu, pozwoliły im utrzymywać wielki cmentarz i grzebać swoich zmarłych zgodnie ze zwyczajem. Kiedy urzędnicy zajęli niewielką część cmentarza, żeby zbudować tam fabrykę, Hui demonstrowali przez wiele dni, aż w końcu władze zrezygnowały z tego planu.

Prośba Babci o zmianę religii była dla mnie wstrząsem. Był to akurat czas wzmożonych napięć na tle etnicznym między Han i Hui, ponieważ pewien człowiek z grupy Hui zarąbał na śmierć policjanta z grupy Han w najruchliwszej handlowej dzielnicy miasta. Sama nazwa „Hui” budziła lęk u wielu Han. Ma Dasheng, dwudziestoletni muzułmanin, łapał autostop i udało mu się zatrzymać ciężarówkę przy ruchliwym skrzyżowaniu w centrum Xi’anu, niedaleko dzielnicy Hui. Kiedy miał wsiadać, wtrącił się poli-

cjant i zabronił mu jechać. Zaczęli się kłócić. Wersja oficjalna była taka, że Ma pobiegł do restauracji *halal*, wrócił z nożem kuchennym i zadźgał policjanta na śmierć. Wzbudziło to wściekłość władz: po raz pierwszy od 1949 roku zamordowano funkcjonariusza policji.

Rządy prawa są w Chinach wciąż jeszcze w powijakach, a w roku 1975 system sądowy ledwie funkcjonował. Władzę w mieście sprawował Komitet Rewolucyjny, złożony z urzędników, którzy wykazali się podczas rewolucji kulturalnej. Urzędnicy nie zastanawiali się długo: Ma Dashengowi urządzono publiczny proces, w obecności dziesięciu tysięcy ludzi, i skazano go na śmierć. Społeczność Hui zorganizowała wówczas demonstrację i wniosła do władz petycję, by oszczędzić chłopaka ze względu na jego młody wiek. Prośbę o ułaskawienie odrzucono. Krążyły plotki, że muzułmanie spiskowali, by porwać Ma, jeśli będzie przed egzekucją obwożony po mieście.

Egzekucję Ma wyznaczono na niedzielę. Tysiące ludzi zebrało się, żeby zobaczyć, jak będą go prowadzić. Towarzyszyły temu jak zwykle gromkie obwieszczenia przez głośniki, sławiące „żelazne pięści dyktatury proletariatu”. Ojciec nie pozwolił mi pójść ani na pochód, ani na egzekucję. On także słyszał o rzekomych planach porwania skazanego i nie chciał, żebym znalazł się w centrum zamieszek. Ale skoro w grę wchodziło zarazem nieposłuszeństwo i ryzyko, czy mogłem się oprzeć? Publiczne procesy były popularną rozrywką, więc powiedziałem, że idę do kolegi pożyczyć zeszyt, po czym dołączyłem do czekających na mnie kumpli i ruszyliśmy do miasta. Nigdy jeszcze nie widziałem tylu policjantów w mundurach. Przejeżdżały obok nas dziesiątki ciężarówek z karabinami maszynowymi na szoferkach, a w całym mieście widać było oddziały żołnierzy. Mieliśmy nadzieję, że zobaczymy Ma, ale ktoś nam powiedział, że wioząca go ciężarówka już pojechała na miejsce egzekucji. Podobno prowadziło go dwóch strażników i miał zamknięte oczy – wyglądał, jakby już nie żył. Plotkowano, że zabili go jeszcze przed oficjalną egzekucją, żeby udaremnić ewentualne próby odbicia skazańca.

Obecnie zabójstwa zdarzają się coraz częściej, również w Xi’anie, ale, jeśli nie brać pod uwagę dużo bardziej brutalnych wydarzeń z okresu rewolucji kulturalnej, wówczas o morderstwach się nie słyszało, a zabicie policjanta w biały dzień było czymś przerażającym. Przez wiele miesięcy Mat-

ka ostrzegała mnie, żebym trzymał się z dala od dzielnicy Hui, bo bała się, że będą się mścić na ludziach Han.

Nie powiedzieliśmy Babci o tym zabójstwie, bo Ojciec twierdził, że trzeba ją chronić przed złymi wiadomościami. Przez następny tydzień wciąż przekonywała nas do konwersji.

– Wiem, że jeśli się jest Hui, nie można jeść wieprzowiny – powiedziała. – To nie problem. Mogę jeść baraninę. Z początku będzie mnie mdlić, ale przywyknę do tego smaku. Znosiłam już gorsze rzeczy, więc to nic takiego.

Ojca to nie bawiło.

– Nie możesz zmienić przynależności etnicznej – powiedział. – Poza tym chyba nie wystarczy jeść baraninę, żeby być Hui. Jeśli władze się dowiedzą, że skłamałem, pójdę do więzienia.

Niewiedza Babci nie była niczym niezwykłym; wielu ludzi wówczas myślało, że jedyna różnica między Hui i Han polega na tym, że Hui nie jedzą wieprzowiny, chociaż nikt nie wiedział dlaczego: ani Ojciec, ani nawet moja nauczycielka. Opowiadano historię o tym, jak to lud Hui, prześladowany i mordowany przez niemuzułmańskiego perskiego władcę, uciekł ze swego kraju. Pewnego dnia grupa Hui ukryła się w chlewie przed ścigającymi ich żołnierzami. Kiedy zjawili się ich prześladowcy i chcieli zacząć przeszukiwać budynki, świnie zaatakowały żołnierzy, a ci uciekli. Od tego czasu Hui uważają świnie za zwierzęta święte i odmawiają jedzenia wieprzowiny. Podczas gdy w innych miastach na wieprzowinę mówiło się *zhurou*, czyli „świńskie mięso”, my nazywaliśmy je *darou*, czyli „wielkie mięso”, w obawie, że używając słowa „świnia”, możemy urazić kogoś z Hui.

Dopiero wiele lat później poznałem prostą prawdę, że muzułmanie uważają wieprzowinę za nieczystą. Ale nawet teraz ludzie nic nie wiedzą o islamie. Podczas jednej z moich ostatnich podróży do Xi’anu słyszałem, jak wciąż powtarzają bajeczkę o muzułmanach i świętych świniach. Przyczyną nieporozumień i konfliktów był przede wszystkim brak zaufania i komunikacji.

Babcia pragnęła zostać Hui, ale tylko do momentu, kiedy dowiedziała się, że nie używają oni trumien, ale chowają zmarłych owiniętych w całuny. Kiedy odwiedził nas kolega Ojca, muzułmanin, długo rozwodził się nad tym, że pogrzeb odbywa się zwykle zaraz po śmierci, więc zmarłego grzebie się na pobliskim cmentarzu i bez skomplikowanych ceremonii, jakich

wymaga tradycja Han. A Babcia przecież chciała mieć trumnę, chciała wrócić do Henanu i chciała pogrzebu z pompą. Pomysł zostania Hui został więc cichcem pogrzebany na zawsze.

Rozłam

Zanim nastała mroźna zima, Ojciec uznał, że wciąż jest dość ciepło, żeby pomalować trumnę kolejną warstwą czarnej farby. Kiedy farba wyschła, trumna zmieniła się w składzik zdobytych na czarnym rynku worków mąki pszennej i kukurydzianej, którą moi rodzice kupili jako zabezpieczenie przed głodem. Trumna, przykryta warstwą gazet i dwoma dużymi obrusami, stała się kolejnym zwalistym meblem, a w końcu przestaliśmy ją zauważać. Chociaż nikt w zakładzie Ojca o niej nie wspominał, on sam nie przestawał się martwić. To, że Babcia czuła się lepiej, dawało mu więcej czasu, żeby zgromadzić oszczędności na pogrzeb. Piętnastego dnia każdego miesiąca, kiedy dostawał pensję, Ojciec dokładał pieniądze do powoli rosnącego stosika banknotów w zamykanej na klucz górnej szufladzie swojego starego pomarańczowego biurka.

Przez tę jego obsesję napięcie między nim a Matką przybierało na sile.

W tamtych czasach każdy dorastający chłopiec musiał odpowiedzieć na rytualne pytanie, zadawane przez starsze kobiety z sąsiedztwa. Pytanie to miało sprawdzić postawę chłopca wobec matki oraz przyszłej żony.

– Gdyby twoja matka i twoja żona wpadły do wody i się topiły, którą byś pierwszą ratował?

Kiedy przyszła moja kolej, a byłem akurat w domu kolegi, odpowiedziałem grupie siedzących wokół mnie przyjaciółek Matki:

– Oczywiście, że najpierw ratowałbym matkę. Kto by tam zawracał sobie głowę żoną!

Kobiety wybuchnęły śmiechem. Potem, kiedy dodałem: – Chcę być taki jak mój tata – zapadła niezręczna cisza.

Nie wątpiłem ani przez moment, że gdyby faktycznie Matka i Babcia jednocześnie się topiły, Ojciec ratowałby najpierw Babcię. Wszystkie koleżanki Matki też to wiedziały. Wedle współczesnych chińskich standardów

Ojciec w żadnym razie nie był troskliwym mężem. Ani razu nie zrobił niczego, co można by uznać za choć odrobinę romantyczne. Moi rodzice nigdy nie poszli razem na spacer ani do kina, ani nie wyszli tylko we dwoje na dobrą kolację. Ojciec nigdy nie kupił Matce żadnego prezentu czy ubrania z okazji Nowego Roku.

Chociaż w tamtych czasach o rozwodach niemal się nie słyszało, przez chwilę wydawało się, że trumna Babci doprowadzi małżeństwo rodziców do rozpadu. Sprawy stanęły na ostrzu noża, kiedy Matce zaproponowano wyjazd na delegację do Szanghaju. Wiedziałem, że są tam wysokie domy i że robią tam cukierki Biały Królik. Taka delegacja to był zaszczyt, w czasie wyjazdu Matka miała szansę spotkać się z władzami miasta. Chciała więc kupić sobie nowy zimowy płaszcz, żeby przy wysokich urzędnikach nie wyglądać jak obdartus. Ale Ojciec jak zwykle powiedział:

– Teraz nas na to nie stać. Musimy spłacić pożyczkę na trumnę, a potem odkładać pieniądze na pogrzeb Babci.

Matka nie wytrzymała. Już wcześniej zdarzało nam się słyszeć, jak rodzice się kłócą, ale takiej awantury nie widzieliśmy aż do tego wieczoru. Kiedy na siebie napadli, razem z rodzeństwem schowaliśmy się w kącie.

– Ja daję ci co miesiąc całą swoją pensję, ale wszystko, co ty zarobisz, idzie na twoją matkę i jej trumnę! Traktujesz ją jak jakieś bóstwo! Nikt inny się nie liczy! – krzyczała Matka.

Ojciec poszedł zamknąć drzwi w obawie, że sąsiedzi usłyszą, ale Matka, wciąż wściekła, krzyczała dalej:

– Mam tego po dziurki w nosie! Jedyne, co jest dla ciebie ważne, to śmierć twojej matki. Dlaczego nie można jej skremować, tak jak wszystkich?! Gdyby to ode mnie zależało, tobym spaliła tę trumnę, żebyś wreszcie zajął się dziećmi i żoną!

Rzuciwszy taką groźbę, Matka wybiegła z domu. Ojciec usiadł i zadumał się smutno nad herbatą. Babcia z irytacją wydęła usta, mruknęła coś przez zęby i powtórzyła to, co słyszeliśmy od lat:

– Co za straszna kobieta. Jeśli spali trumnę i każe mnie skremować, mój duch będzie ją nawiedzał do końca jej życia!

Rozzłościła tym na nowo Ojca, który podniesionym głosem kazał jej przestać opowiadać takie rzeczy.

Urabiani latami przez Babcię, moja siostra i ja twardo trzymaliśmy stronę Ojca. Uważałem, że wybuch Matki był nietaktem, a jej domaganie się no-

wego płaszcza – oznaką burżuazyjnej próżności. W szkole nauczycielka zachęcała nas, byśmy prowadzili proste życie. Noszenie starych ubrań, zwłaszcza kurtek i spodni z łatami na łokciach albo kolanach, uważano za proletariacki punkt honoru. Matka popierała to podejście, chętnie naprawiała mi kołnierzyk koszuli i łatała dziury na siedzeniu spodni. Dlaczego więc teraz robi tyle hałasu o jakiś zimowy płaszcz? Poza tym nie podobała mi się jej groźba, że spali trumnę Babci.

Kiedy kłócili się nasi sąsiedzi, żona zwykle wyjeżdżała do rodziców i mieszkała tam, dopóki mąż nie ustąpił. Ale Matka nie miała w mieście żadnej rodziny. Poszła więc do sąsiadki.

Tamtego wieczoru Matka nie wróciła do domu. Ojciec, zbyt dumny, żeby sam pójść jej szukać, posłał mnie i moją młodszą siostrę, żebyśmy sprawdzili, czy Matki nie ma u pani Yang, gdzie często przesiadywała.

– Wasza matka właśnie wyszła – wyjaśnił mąż pani Yang, księgowy w zakładzie Ojca.

Kiedy wróciliśmy, zobaczyłem, że Matka i dwie jej znajome, pani Yang i pani Fan, siedzą z Ojcem w drugim pokoju i pouczają go, jak powinien traktować żonę.

– Pogrzeby są dla żywych, nie dla zmarłych – powiedziała pani Fan, której niedawno zmarł mąż. – Choćbyś nie wiem ile wydał na pogrzeb swojej matki, ona tego nie zobaczy. Nie możesz skupiać się tylko na jednym.

Przez cały wieczór na twarzy Matki nie drgnął ani jeden mięsień. Ojciec, człowiek bardzo zamknięty w sobie, wydawał się upokorzony. Razem z siostrą wyciągnęliśmy Babcię na dwór, żeby nie palnęła czegoś, co tylko pogorszyłoby sprawę.

– Wspaniale. Teraz już wszyscy sąsiedzi wiedzą, że wasi rodzice się kłócą.

Kręciła głową i wydymała usta. Wziąłem ją za rękę, żeby ją pocieszyć.

Rodzice nie odzywali się do siebie przez wiele dni. Matka chodziła nachmurzona. W domu było cicho i bardzo zimno. Moje początkowe poparcie dla Ojca po trochu słabło. Pragnąłem, żeby znów zaczęli ze sobą rozmawiać. Kiedy wieczorem przed swoim wyjazdem Matka wróciła do domu z nowym płaszczem zimowym, uśmiechnięta i rozgadana, czułem się tak, jakby wreszcie minęła mroczna burza. Ojciec chyba zrozumiał, że posunął się za daleko. Mnie i mojemu rodzeństwu ulżyło.

Dawniej moi rodzice sypiali razem. Kiedy mój młodszy brat podrósł, zaczęli sypiać w osobnych pokojach – Ojciec dzielił łóżko z moim bratem, a Matka z siostrą. Takie rozwiązanie, z powodów praktycznych, było częste w naszym sąsiedztwie, ponieważ w większości domów było mało miejsca do spania. Zastanawiałem się, czy nie jest to również forma kary wymierzonej Ojcu przez Matkę.

Ale nawet po kłótni o płaszcz w podejściu Ojca nic się nie zmieniło, traktował przygotowania do pogrzebu Babci z takim samym oddaniem. Jego skrajną oszczędność odczuwaliśmy wszyscy. Zaczęliśmy więc coraz bardziej opowiadać się po stronie Matki, a przeciwko Ojcu dusigroszowi, bo przez jego sknerstwo czuliśmy się biedniejsi od innych dzieci w sąsiedztwie.

W czasach sprzed trumny rodzice planowali wydatki z wielką przezornością, a dzięki ich dwóm pensjom żyliśmy całkiem nieźle. Moje rodzeństwo i ja dostawaliśmy od czasu do czasu, ku zazdrości dzieci z sąsiedztwa, niewielkie kieszonkowe, żebyśmy mogli kupić sobie słodycze albo książki z okazji Dnia Dziecka, albo lody z czerwonej fasoli, kiedy w gorące letnie popołudnie na nasze osiedle przyjechała ze swoim wózkiem pani lodziarka.

Matka także miała wystarczająco dużo pieniędzy, żeby zaspokoić swoją potrzebę gromadzenia zapasów. Czujnie śledziła rytm niedoborów w planowej gospodarce Przewodniczącego Mao, dzięki której w państwowych sklepach było wszystko, czego potrzeba – ale nigdy wtedy, kiedy było rzeczywiście potrzebne. Nie można było kupić niczego, od cukru i oleju roślinnego po mydło i bawełniany materiał, bez odpowiednich wydawanych przez państwo kartek. Znajoma sprzedawczyni w sklepie spożywczym przymykała oko, kiedy Matka chciała kupić więcej mydła albo dodatkowy kawałek niebieskiej tkaniny. Brała więc tyle, ile tylko zdołała udźwignąć, i wykorzystywała tę znajomość, żeby wkupić się w łaski różnych ludzi. Kiedy mojej ulubionej pani w podstawówce kończył się olej, Matka posyłała jej butelkę. Dzięki Matce cieszyłem się względami znacznej części ciała pedagogicznego.

Ojciec nie mógł pojąć myślenia Matki: mydła mieliśmy tyle, że starczyłoby na rok, w sierpniu kupowała materiał, żeby w styczniu szyć nam mundurki szkolne, a w oleju można by utopić całą rodzinę. Nigdy nie udało mu się zapanować nad wydatkami Matki, choć w dniu wypłaty brał jej pensję i razem ze swoją chował do szuflady biurka. Kiedy znajomą sprzedawczy-

nię przeniesiono gdzie indziej, Ojciec nie mógł się oprzeć, żeby nie powiedzieć Matce:

– Nie martw się. Najwyższa pora zacząć zużywać nasze zapasy.

Odkąd w domu nastała trumna, wszyscy staliśmy się ofiarami polityki oszczędnościowej Ojca. Kiedy w mojej podstawówce zorganizowano klasowe wyjście do kina, musiałem poprosić nauczycielkę, żeby napisała liścik do rodziców, wyjaśniający, jak ważny jest ten film dla mojej edukacji, bo inaczej Ojciec nie dałby mi pieniędzy na bilet. Zanim w Chinach dokonała się inwazja Coca-Coli i Sprite'a, mieliśmy *qishui* – gazowany napój o pomarańczowym smaku, w szklanych butelkach, sprzedawany po dziesięć fenów w państwowych sklepach. Latem przepadały za tym wszystkie dzieciaki. Kiedy patrzyliśmy, jak dzieci z sąsiedztwa powoli sączą oranżadę, a potem bekają, żeby pokazać, jak im smakuje ulubiony napój, błagaliśmy Ojca, by pozwolił nam go kupić, ale nigdy nie ustąpił. Zamiast tego poprosił Babcię, żeby codziennie nalewała zimną wodę do dużego białego czajnika, twierdząc, że to o wiele lepiej zaspokaja pragnienie niż „to paskudztwo *qishui*", którego sam prawdopodobnie nigdy nie spróbował.

Kiedy moja starsza siostra była w liceum, zaproszono ją na wycieczkę klasową, ale Ojciec dał jej bardzo małe kieszonkowe, połowę tego, co dostały inne dziewczyny.

– To ze względu na przyszłość naszej rodziny – powiedział. – Musimy oszczędzać na pogrzeb Babci.

Siostra płakała, powtarzając to, co wcześniej mówiły Ojcu sąsiadki:

– Jeśli kupisz Babci cukierka teraz, dopóki żyje, przynajmniej posmakuje słodyczy, a nie będzie sobie wyobrażać, jak by to było, kiedy umrze.

Byliśmy wstrząśnięci, że mówi o tym tak bez ogródek. Wtrąciła się Babcia, a wtedy Ojciec niechętnie zgodził się dorzucić siostrze co nieco.

Kiedy zacząłem brać lekcje gry na skrzypcach, nauczyciel powiedział, że jestem uzdolniony muzycznie i że powinienem poważnie się tym zająć. Bardzo chciałem mieć własny instrument i nawet znalazłem w sklepie skrzypce za jedyne piętnaście juanów. Przez kilka miesięcy wierciłem Ojcu dziurę w brzuchu, ale on zawsze mówił:

– Musimy oszczędzać na pogrzeb Babci.

I radził mi, żebym pożyczył skrzypce ze szkoły.

– Kupię ci drogie skrzypce, kiedy zostaniesz słynnym muzykiem.

Nie chciał wydawać pieniędzy na nic, co nie było niezbędnie potrzebne, chyba że chodziło o zachowanie twarzy, jak wtedy, kiedy na wuefie spadł mi dziurawy but, gdy robiłem przewrót do przodu, i wszyscy się ze mnie śmiali.

Pewnego dnia, kiedy szkolni prześladowcy żądali ode mnie papierosów, więc rozpaczliwie potrzebowałem pieniędzy, poradziłem sobie w ten sposób, że udało mi się uchylić zamkniętą na kłódkę szufladę Ojca i za pomocą pęsety wydłubałem z niej banknot dziesięciojuanowy. Tydzień później Ojciec wyjął skórzany pasek i kazał mi się położyć na łóżku.

Ojciec szukał też innych sposobów, żeby zaoszczędzić pieniądze. Ponieważ mięso i jaja były ściśle racjonowane, wymyślił, że będziemy hodować na podwórku kury. Wczesną wiosną Matka wystarała się o tuzin świeżo wyklutych piskląt, a Babcia karmiła je prosem i trzymała przy piecu, aż podrosły i zrobiło się dość ciepło, żeby poradziły sobie same. Ojciec ogrodził część podwórka, zbudował nieduży kurnik i wpuścił je do tej zagrody. Od tej pory jajka stały się żelaznym punktem programu na różne okazje. Przez wiele lat gotowane jajko było moim jedynym prezentem urodzinowym. Matka gotowała jajka w koszulkach w posolonej albo posłodzonej wodzie, kiedy moja najstarsza siostra była w szpitalu i potrzebowała białka, a Babcia ubijała jajko z gorącą wodą z miodem i odrobiną oleju sezamowego, kiedy bolało mnie gardło.

Oczywiście wszystko, co dobre, kiedyś się kończy. Jedną z naszych sąsiadek, która także hodowała kury, przyłapano na sprzedaży jajek na miejscowym czarnym rynku. Władze postanowiły więc zakazać hodowli zwierząt na osiedlu, żeby zwalczyć kapitalistyczne praktyki. Pewnego wieczoru czterech funkcjonariuszy służb porządkowych, za którymi szedł wielki tłum, przyszło na nasze podwórko. Zaczęli łapać kury. Babcia, uzbrojona w laskę, rzuciła się na jednego z nich, krzycząc:

– Zostawcie te kury w spokoju! Lepiej mnie zabijcie!

Potem złapała jednego kurczaka i przyciskając go do piersi, usiadła na ziemi, zawodząc głośno. Wszystko to było strasznie wzruszające. Funkcjonariusze nie wiedzieli, co mają robić. Gapie zaczęli płakać. Jeden z funkcjonariuszy wymamrotał:

– Chodźmy. Jeśli ta stara umrze, będzie na nas.

I wszyscy sobie poszli. Pomogłem Babci wstać i zobaczyłem, że Ojciec wychodzi z domu, kręcąc głową.

– Jak ja się teraz pokażę w pracy?

Relacje między moimi rodzicami były napięte przez wiele lat. Pogodzili się dopiero, kiedy w 1977 roku, w wieku trzydziestu dziewięciu lat, Matka niespodziewanie dostała poważnego krwotoku wewnętrznego. Straciła tyle krwi, że jej życie było zagrożone i musiała się poddać operacji. Kiedy lekarz przedstawił mu związane z nią ryzyko i poprosił o podpisanie zgody na zabieg, Ojcu trzęsły się ręce. Po raz pierwszy dotarło do niego, że może stracić żonę, jej choroba jakby go otrzeźwiła. Zakład dał mu miesięczny urlop, żeby mógł zajmować się chorą, więc codziennie rano wsiadał na rower i jechał do szpitala. Po drodze zatrzymywał się w barze, żeby kupić Matce jej ulubioną zupę z pierożkami wonton, a potem cały dzień siedział przy jej łóżku. Kiedy odwiedziłem ją któregoś razu, kobieta, która leżała z nią na sali, mieszkanka sąsiedniej dzielnicy, zachwycała się, jaki Ojciec jest troskliwy.

Babcia była zbyt słaba, żeby gotować, a moja siostra pracowała. Ponieważ Ojciec nie miał pojęcia o pracach domowych, dom był jak sparaliżowany. Na szczęście ja byłem gotów przejąć wszystkie obowiązki i popisać się swoimi umiejętnościami kulinarnymi. Lekcje Babci wreszcie się przydały. Robiłem więc makaron i bułeczki na parze dla niej i dla mojego młodszego rodzeństwa.

– Cieszę się, że umiesz gotować – powiedziała Babcia, która nie przepuściła żadnej okazji, żeby skrytykować Matkę, nawet teraz, kiedy ta była w szpitalu. – W ten sposób możesz zrobić sobie to, co chcesz, i nie będziesz w przyszłości musiał znosić narzekań żony, tak jak teraz twój ojciec.

Kiedy przyszedł Nowy Rok, Matka wciąż leżała w szpitalu. O ile pamiętam, były to pierwsze święta, gdy nie mieliśmy nowych ubrań. W kuchni panowała dziwna cisza, nie było bułeczek na parze ani smażonych pierożków. Rankiem w pierwszy dzień nowego roku, kiedy zaczęli przychodzić goście z życzeniami dla Babci, nie mieliśmy ich czym poczęstować. Ojciec powiedział:

– Teraz już wiecie, jak to jest spędzać święta bez matki.

Wszyscy wiedzieliśmy, że miał na myśli również siebie.

Zaraz po powrocie do domu Matka od razu poszła do kuchni i przygotowała Ojcu wielką miskę klusek, tak jak zrobiłaby to Babcia. Słyszałem, jak mówi do pani Zhang, która wpadła z wizytą:

– Ten mój stary – powiedziała o Ojcu – co dzień doglądał mnie w szpitalu. Teraz już wiem, że na nikogo nie można liczyć tak jak na swojego starego.

Moi rodzice znów zaczęli spać razem.

Może to okropne, ale moje rodzeństwo i ja byliśmy wdzięczni losowi za operację Matki, która już na zawsze ją odmieniła: stała się teraz dużo łagodniejsza. Na przykład dużo rzadziej dawała nam klapsy. Żartowaliśmy sobie, że pan doktor zoperował chyba też jej głowę.

Zauważyliśmy także, że i podejście Ojca do Matki się zmieniło. Nadal nie trzymali się za ręce, nie całowali, Ojciec nie kupował jej kwiatów, tak jak robią to mężowie na Zachodzie. Swoją czułość wyrażał w sposób typowy dla mężczyzn w Chinach. Kiedy moja starsza siostra miała pojechać służbowo do Qingdao, słynącego z wyrobów ze skóry, Ojciec wziął ją na stronę i powiedział, żeby kupiła tam dla Matki skórzane buty. Ale nigdy sam jej niczego nie kupił.

Śmiertelność

Pewnego ponurego dnia w styczniu 1976 roku całe Chiny dowiedziały się z porannych wiadomości, że premier Zhou Enlai nie żyje. W południe na nagich gałęziach drzew przed moją szkołą zawisły białe papierowe kwiaty. Z głośników ryczała muzyka żałobna w komunistycznym wojskowym stylu. Przed stołówką nauczyciele i starsi koledzy rozdali nam czarne opaski na ramię; wszyscy mieli smutne miny. Na lekcji angielskiego nauczycielka odłożyła podręcznik i nauczyła nas dwóch zdań: „Opłakujmy wielkiego rewolucyjnego przywódcę Zhou Enlaia" oraz „Niech nasz ból zmieni się w siłę". Miałem wtedy tylko jedenaście lat i niewiele wiedziałem o Zhou, poza tym, że był ważnym przywódcą rewolucji; trudno mi było żałować kogoś, kogo nigdy nie poznałem.

Ojciec bardziej niepokoił się szerszymi konsekwencjami śmierci premiera Zhou, ponieważ premier był uważany za zwolennika reform tradycyjnych praktyk i rytuałów. W wiadomościach radiowych podano, że w swojej ostatniej woli polecił żonie, by go skremowała i by jego popioły rozrzucono nad „naszą wielką ojczyzną". Szybko zaczęto go naśladować – ludzie chcieli, by po kremacji ich prochy wrzucono do morza albo rozsypano nad górami. Zastanawiałem się, czy może Babcia teraz zmieni zdanie i zażyczy sobie, żebyśmy wrzucili jej prochy do Żółtej Rzeki – kolebki chińskiej cywilizacji – nad którą leżała jej rodzinna wioska. Miałem szczerą nadzieję, że tak się stanie, bo chciałem móc się pochwalić kolegom, że Babcia stała się częścią rzeki, która karmi nas wszystkich. Wtedy wydawało mi się to chwalebnym sposobem zakończenia życia.

Kiedy Ojciec w sobotę odebrał mnie ze szkoły, kazał mi zdjąć czarną opaskę i biały papierowy kwiat, który miałem przypięty na piersi.

– Babcia nie chce, żeby jej przypominać o śmierci – powiedział.

Wiedziałem, że Ojciec wykorzysta śmierć Zhou Enlaia, by spróbować przekonać Babcię do rezygnacji z pogrzebu. Przy kolacji bez ceregieli poruszył temat kremacji premiera.

– Premier Zhou był potężnym człowiekiem, mógł zrobić, co tylko chciał, a jednak wybrał kremację.

Lecz Babcia już miała gotową odpowiedź:

– On był postępowym członkiem Partii, a ja nie; on nie miał dzieci, a ja mam czwórkę wnuków. Może i jestem staromodną, ciemną kobietą, ale chcę, by moje ciało zostało pochowane, tak żeby na moje wnuki spłynęło błogosławieństwo.

Matka odparowała:

– Jakim cudem ma na nie spłynąć błogosławieństwo, skoro ich ojciec znajdzie się w poważnych politycznych tarapatach, i to przez ciebie?

Ale Babcia już wiele razy słyszała ten argument, więc go zignorowała.

Przez następne kilka miesięcy Ojciec żył w ciągłym napięciu. Kiedy przyjeżdżałem do domu na weekendy, opowiadał, że miejscowe władze na nowo wszczęły kampanię przeciwko tradycyjnym pogrzebom i zachęcały ludzi, by szli śladem Zhou Enlaia. Jak później mi powiedział, bał się, że lokalni urzędnicy, czując presję z góry, zaczną ścigać nielegalne pochówki i zmuszą go do oddania trumny.

– Czułem się tak, jakbyśmy byli złodziejami i zrobili coś bardzo złego. Zawsze idąc na zebranie, bałem się, że ktoś doniósł na mnie do sekretarza Partii, a on uzna, że musi wyciągnąć konsekwencje.

Sekretarz jednak nigdy nic nie powiedział, a w mojej nowej szkole nikt nie miał pojęcia o trumnie Babci.

To był rok Smoka, więc powinien być pomyślny, a jednak dla Chin okazał się rokiem pełnym katastrof. Na szczęście moją rodzinę zaledwie musnęły. Wieczorem 16 sierpnia, kiedy akurat drzemałem nad lekcjami, nagle zakołysała się lampa, a dom zaczął się trząść. Matka chwyciła mnie i moją młodszą siostrę, Ojciec wziął na plecy Babcię i wybiegliśmy na dwór. Po pierwszym wstrząsie nikt nie odważył się ruszyć, spaliśmy więc pod gołym niebem, podobnie nasi sąsiedzi. Następnej nocy padał ulewny deszcz, a dom znów się zatrząsł. Epicentrum trzęsienia ziemi znajdowało się w sąsiedniej prowincji Syczuan, w słabo zaludnionym rejonie Songpan, więc ofiar było niewiele. Trzy tygodnie wcześniej podobne trzęsienie ziemi praktycznie zmiotło z powierzchni ziemi Tangshan, miasto górnicze niedaleko

Pekinu, ale na skutek blokowania informacji przez władze dowiedzieliśmy się o tym dużo później.

W ciągu dnia w państwowym radiu, przywołując słowa Przewodniczącego Mao o tym, że „Człowiek pokona przyrodę”, apelowano o spokój i przekonywano, że władze są dobrze przygotowane do radzenia sobie z klęskami żywiołowymi. Wieczorami, po powrocie z pracy, moi rodzice opowiadali straszliwe historie o rodzinach z Tangshanu uwięzionych pod gruzami i czekających na pomoc, która nigdy nie nadeszła, ponieważ szpitale też zostały zniszczone i zginęło wielu lekarzy. Humanitarne gesty Zachodu traktowano nieufnie – jak mówił Ojciec, cudzoziemcy zwykle udają chęć pomocy, żeby przeniknąć w głąb kraju – więc władze po trzęsieniu ziemi w Tangshanie odmówiły przyjęcia pomocy międzynarodowej. Matka opowiadała, jak w obawie przed epidemią tysiące ciał wrzucano do wielkich dołów i natychmiast zakopywano. Opisywała to tak plastycznie, jakby widziała wszystko na własne oczy. Kiedy moja siostra zapytała, skąd o tym wie, powiedziała, że od kolegów, których krewnych albo znajomych wezwano do pomocy przy akcji ratunkowej w Tangshanie.

Nagle określenie „trzęsienie ziemi”, którego starsi ludzie, tacy jak Babcia, nigdy wcześniej nie słyszeli, weszło do naszego słownika, budząc nieustanny lęk. Od czasu tamtego gwałtownego nocnego wstrząsu stało się dla nas najgorszym zagrożeniem, większym niż źli Sowieci, którzy, jak mówiono nam w szkole, planują zrzucić na Chiny bombę atomową. Spaliśmy w ubraniach; pouczano nas, że jeśli nie będziemy w stanie uciekać, mamy schować się pod łóżkiem albo pod stołem.

Co ciekawe, Babcia bała się bardziej niż my, dzieci. Gdyby ziemia znów się zatrzęsła, ona nie zdołałaby uciec na swoich skrępowanych stopach. Błagała Ojca, żeby jej wtedy nie zostawiał.

– Nie chcę umrzeć w samotności – mówiła zdławionym głosem.

Kazała Ojcu zabrać wszystko spod łóżka, żeby mogła się tam schować, jeśli nie będzie czasu na ucieczkę. Zdziwił mnie jej strach. Zawsze myślałem, że Babcia nie boi się śmierci i tylko czeka, by na nowo połączyć się ze swoim zmarłym mężem. Niemniej bezbronność Babci budziła we mnie współczucie, przyrzekłem więc, że nigdy jej nie porzucę. Babcia była wzruszona.

W ciągu kolejnych dni przeżyliśmy kilka wstrząsów wtórnych. Nikt nie wierzył zanadto, że nasze domy przetrwałyby większy wstrząs sejsmiczny,

a ani media, ani władze nie próbowały nas przekonać, że jest inaczej. Jedynym źródłem wiadomości były plotki i spekulacje. Mówiono na przykład, że miastu Xi'an grozi jakoby kolejne poważne trzęsienie ziemi, ale władze to ukrywają, bo boją się chaosu. Ludzie zaczęli brać sprawy w swoje ręce. Moi sąsiedzi przynieśli z fabryki płachty folii i drewniane tyczki i zbudowali z nich namioty na placu pośrodku osiedla. Wielu upartych staruszków twierdziło, że już dość przeżyli, nie boją się śmierci i nie chcą się przenosić do namiotów. Pewna starsza pani zażartowała nawet, że Babcia mogłaby przecież spać w swojej trumnie.

– Wieko jest solidne i jest tam całkiem bezpiecznie – powiedziała. – A gdyby miała pani zginąć, może pani spokojnie zamknąć oczy, wiedząc, że teraz muszą już panią tylko pochować.

Babci to nie rozbawiło. Powiedziała Ojcu, że chce być razem z nami i że może nawet mieszkać w namiocie.

Kiedy jesienią zaczęły się deszcze, w namiocie zrobiło się wilgotno i warunki były fatalne. Jednak ilekroć zastanawialiśmy się, czyby go nie rozebrać i nie wrócić do domu, ludzie mówili, że niedługo nastąpi kolejne trzęsienie ziemi. Źródłem tych pogłosek zawsze był znajomy znajomego, który miał znajomości we władzach. Pogłoski były zwykle bezpodstawne, ale nikt nie chciał ryzykować życia. Ojciec przyniósł więc z pracy trochę betonu i wzmocnił podłogę namiotu, zrobił też mocniejszy bambusowy szkielet, a potem jeszcze przykrył całość strzechą z liści kukurydzy, które zebrał na pobliskim polu.

W październiku w mojej szkole, co się zazwyczaj nie zdarzało, zawieszono lekcje na dwa miesiące, chociaż inne miejscowe szkoły działały normalnie. Kiedy rodzice byli w pracy, a moje rodzeństwo w szkole, zostawałem sam z Babcią. Z nudów zakradałem się do naszego pustego domu, kładłem się na trumnie i gapiłem w sufit. Wielkie drewniane belki, które kiedyś wydawały mi się takie solidne, teraz wyglądały złowrogo. Któregoś razu uniosłem ciężkie wieko, odłożyłem je na bok i położyłem się w środku, na workach mąki, które Ojciec tam przechowywał. Czułem się tam bezpiecznie i wygodnie, więc ostrożnie zasunąłem nad sobą wieko. Lecz w środku było zupełnie ciemno, ledwo mogłem oddychać, zaczęło mi się wydawać, że ciemność pożera mnie żywcem. Ogarnięty paniką, z całej siły odepchnąłem wieko i wyskoczyłem. Trumna, do której tak przywykłem przez lata, dusiła i przytłaczała.

W następnym tygodniu nie mogłem się oprzeć, żeby nie zaglądać do naszego domu, chociaż sam widok trumny zaczął mnie przerażać. Szperając w szufladzie Ojca, znalazłem stos książek i pekińskich czasopism operowych z lat pięćdziesiątych. Władze uważały większość chińskich i zagranicznych książek i oper wydanych albo wystawianych przed rewolucją kulturalną za „trujące chwasty". Dozwolone były tylko te traktujące o rewolucji komunistycznej. A tymczasem leżały przede mną w całej okazałości czasopisma przedstawiające fabuły i kolorowe zdjęcia z tych zakazanych oper. Przerzuciłem kilka stron i zatopiłem się w lekturze, siedząc na ławeczce przy trumnie Babci. Zdałem sobie sprawę, że wiele historii, które opowiadał nam Ojciec, pochodziło właśnie z tych czasopism. Zacząłem rozumieć, dlaczego tak kochał tradycyjne opery pekińskie – wszystkie miały niezwykłe fabuły. Te historie były zupełnie różne od tych, które czytałem dotychczas – propagandowej sieczki o rewolucyjnych bohaterach walczących z wrogami klasowymi. Magazyny zupełnie mnie pochłonęły, na chwilę zapomniałem o strachu przed trzęsieniem ziemi i śmiercią.

Najbardziej lubiłem *Ye Zhu Lin* [„Dziczy Las"], operę opartą na klasycznym chińskim dziele zatytułowanym *Opowieści znad brzegów rzek*. Akcja rozgrywa się w czasach panowania dynastii Song. Jest to historia starszego oficera, który zostaje wrobiony przez skorumpowanego pierwszego ministra i zesłany do odległego więzienia. Minister nakazuje strażnikom eskortującym oficera zabić więźnia, kiedy tylko dotrą do Dziczego Lasu. Ale ratuje go pewien mnich, z którym uwięziony oficer zaprzyjaźnił się niegdyś, odwiedzając świątynię, i z którym zostali braćmi krwi. Opis tego, jak mnich chwyta strażników w zasadzkę w Dziczym Lesie, szczególnie zapadł mi w pamięć.

To był ciemny, przepastny, najbardziej zdradliwy las w okolicy. Wielu wojowników straciło tam życie. Oficer miał nadzieję, że miną go przed zmierzchem, ale strażnicy celowo się ociągali. W południe jeden ziewnął, udając, że ogarnęła go senność. Gdy dotarli na miejsce, strażnicy wyciągnęli grube sznury i przywiązali oficera do drzewa. Potem wyjawili mu swoje prawdziwe zamiary i dobyli broni. Oficer błagał o litość, ale na próżno. Bezsilny, zamknął oczy, gotując się na śmierć. Jeden ze strażników już miał podnieść wielką, grubą pałkę, kiedy nagle spomiędzy drzew dobiegło ich donośne wycie. Strażnik odwrócił się i ujrzał grubego mnicha, który rzucił groźnie:

– Czekam tu od wielu godzin!

Oficer otworzył oczy i zobaczył, że to jego wierny przyjaciel mnich. Patrzył z podziwem, jakie szybkie są jego ręce i nogi, gdy powalał przeciwników na ziemię. Mnich

już miał poobcinać im głowy, kiedy oficer go powstrzymał.
– Oszczędź ich – powiedział, a wtedy mnich schował nóż.

Siedziałem tak chyba od kilku godzin, kiedy znalazła mnie Babcia.

– Nie siedź tu sam, to niebezpieczne – powiedziała. W obawie, że Ojciec zajrzy do szuflady, wyciągnąłem kilka czasopism i książek i zanim wyszedłem z Babcią, schowałem je do trumny. Przez kilka kolejnych tygodni, kiedy tylko nadarzyła się okazja, wymykałem się z namiotu, siadałem przy trumnie i czytałem o wojownikach, cesarzach, a nawet o duchu kobiety, który nie chciał opuścić tego świata, zanim nie zemści się na swym mordercy. W historii pod tytułem *Qin Qiong sprzedał swojego konia* wojownik imieniem Qin Qiong po nieudanej misji utknął w pewnej gospodzie. Kiedy skończyły mu się pieniądze, musiał sprzedać swego ulubionego wierzchowca. Na targu spotkał innego wojownika, który okazał hojność, proponując mu pieniądze, by pomóc mu jakoś przeżyć. Zostali braćmi krwi i razem wzięli udział w buncie przeciwko dynastii Sui. Ale potem rozstali się z powodu różnicy poglądów politycznych i w końcu dołączyli do różnych frakcji wojskowych. Pewnego dnia Qin dowiedział się, że jego wojsko zastawiło pułapkę na jego przyjaciela. Próbował go ostrzec, ale przybył za późno. Jego przyjaciel został ścięty. Pogrążony w smutku Qin pochował go i wzniósł świątynię na jego pamiątkę.

Przesłanie tych historii kłóciło się z tym, czego uczono nas w szkole: że rewolucja jest ważniejsza niż przyjaźń. Poznałem zupełnie inny system wartości: przyjaźń zdolną wykraczać ponad ideologie. Przyjaciele chronili się i poświęcali dla siebie nawzajem. Historie o wojownikach tak mnie porwały, że przekonałem dwóch moich przyjaciół ze szkoły, żebyśmy zawarli braterstwo krwi. Na wzór starożytnych wojowników zamierzaliśmy podczas specjalnego rytuału nakłuć sobie nadgarstki, żeby utoczyć kilka kropli krwi do miski z wodą, z której następnie wszyscy byśmy się napili. Mieliśmy przy tym jednocześnie recytować: „Nie narodziliśmy się tego samego dnia, ale jeśli zajdzie potrzeba, oddamy za siebie życie i równocześnie opuścimy ten świat”. Matka jednego z moich przyjaciół dowiedziała się o tym i zawiadomiła Ojca. Wpadł we wściekłość i zapytał, jak to się stało, że skaziły mnie te wszystkie pomysły. Kiedy dowiedział się, że czytałem jego czasopisma, powiedział po prostu:

– To stare historie. Teraz nikt tak nie robi.

Tydzień później, kiedy przyjechałem do domu na weekend, siostra powiedziała mi, że Ojciec spalił wszystkie książki, abym nie wpakował się w większe kłopoty.

Podczas gdy ja poprzez książki i czasopisma chciałem uciec od rzeczywistości, Ojciec zmierzał w przeciwnym kierunku. Stałe zagrożenie trzęsieniami ziemi sprawiło, że otrząsnął się z obsesji na punkcie pogrzebu Babci i wrócił do rzeczywistości. Któregoś dnia, przed nadejściem zimy, Matka przyszła do mnie do szkoły, gdzie spaliśmy w wielkim namiocie rozstawionym na szkolnym dziedzińcu. Przyniosła mi nową zimową kurtkę i kalesony, a także buty do gry w piłkę nożną, o które od dawna prosiłem.

– Twój ojciec się martwi, że zmarzniesz, śpiąc na dworze – powiedziała. – Wziął pieniądze z oszczędności na pogrzeb i powiedział, żebym kupiła ubrania dla ciebie i twojego rodzeństwa.

Oszołomiła mnie ta nieoczekiwana hojność Ojca. Pamiętam, że zdołałem tylko zapytać:

– Jak się czuje Babcia? Mam nadzieję, że jej trumna się nie zniszczyła.

Kiedy jakiś czas wcześniej Matka zauważyła, że z pęknięcia w dachu kapie woda wprost na wieko trumny, Ojciec po prostu podstawił wiadro, nie zawracając sobie tym głowy. A gdy dziurę załatano, nie zadbał nawet o to, żeby pokryć uszkodzone miejsce nową warstwą farby.

Wczesnym latem, kiedy w namiotach w ciągu dnia robiło się nieznośnie gorąco, wszyscy postanowili zdać się na los i przeprowadziliśmy się z powrotem do domów.

Trzęsienie ziemi było jednak tylko jednym z wielu czekających nas wstrząsów. Po południu 9 września dyrektorka naszej szkoły wpadła do klasy, przerywając lekcję matematyki.

– Mam dla was ważną wiadomość – powiedziała. Kilka minut później niewielki głośnik nad tablicą zatrzeszczał i wydobyła się z niego żałobna muzyka. Serca w nas zamarły. Odszedł Przewodniczący Mao.

Jak to możliwe? Dla nas był kimś niemal nieśmiertelnym. Wstaliśmy, wołając:

– Niech żyje Przewodniczący Mao!

On nie był taki jak Babcia, która bała się, że nie zdąży przygotować się na śmierć. Nawet Ojciec mówił, że on był inny, wskazywał portret Mao wiszący na ścianie w dużym pokoju i wyjaśniał, w jaki sposób wyróżnia go jego fizjonomia.

– Popatrzcie na jego wydatne czoło, oznakę wielkości. Jego twarz i oczy promienieją dobrocią. On nie jest zwykłym człowiekiem. Niebiosa nam go zesłały.

Wszystkie dziewczynki w klasie zaczęły płakać, płakała też nasza nauczycielka. My, chłopaki, nie wiedzieliśmy, co mamy robić. Martwiłem się jednak, że ktoś może uznać, iż niewystarczająco kochałem Przewodniczącego Mao, więc udało mi się wycisnąć z oczu kilka łez. Pomyślałem sobie o Babci. Skoro Przewodniczący Mao mógł umrzeć tak ni stąd, ni zowąd, z nią może być tak samo, a kiedy umrze, już nigdy jej nie zobaczę. Zacząłem płakać naprawdę, mój płacz przeszedł w zawodzenie, po czym zemdlałem. Nauczyciele byli pod wrażeniem mojego żalu po śmierci Przewodniczącego Mao. Pielęgniarka szkolna stwierdziła, że to brak witamin, i dała mi witaminy B1 i B6.

Tego dnia byliśmy bardzo cicho. Nikt nie odważył się śmiać czy żartować. Gdy w ten weekend przyjechałem do domu, Ojciec nie powiedział ani słowa na temat czarnej opaski na moim ramieniu i białych kwiatów. Rodzice też takie nosili.

Śmierć premiera Zhou Enlaia, a potem Przewodniczącego Mao to były wydarzenia o charakterze narodowym i miały wpływ na wszystkich. Wszędzie widniały portrety Zhou i Mao, udrapowane czarnym kirem i otoczone białymi papierowymi wieńcami. Każdą wolną przestrzeń zapełniały wypisane wielkimi znakami plakaty i transparenty głoszące: „Duch Przewodniczącego Mao będzie z nami po wsze czasy” albo „Wieczna chwała wielkiemu przywódcy i nauczycielowi Mao Zedongowi”. Kiedy teraz o tym myślę, wydaje mi się paradoksalne, że Mao przez całe życie nauczał, iż jesteśmy śmiertelni i po śmierci nie zostaje po nas żaden duch, a gdy umarł, ludzie tacy jak moi rodzice pragnęli, by jego duch był wieczny. Z wszystkich głośników nieustannie wydobywała się – w kółko ta sama – muzyka żałobna, aż sami zaczęliśmy nucić do wtóru. Z każdej klasy wybrano czwórkę uczniów, którzy mieli pełnić straż przy urządzonym w szkole miejscu pamięci w ramach czterogodzinnych wart. Chociaż przerażała mnie myśl, że na pogrzebie Babci będę musiał iść na czele konduktu, bardzo chciałem pełnić wartę honorową dla Mao, ponieważ wartownicy mieli na sobie zielone kurtki Mao i trzymali imitacje karabinów. Przez całe cztery godziny stania na baczność przy portrecie Mao myślałem o Babci i o tym, co będę robił na jej pogrzebie.

Tydzień później zebrano nas w szkolnej auli, żebyśmy wysłuchali transmisji na żywo z uroczystości pogrzebowych Przewodniczącego Mao w Pekinie. Nauczycielka stała tuż przy mnie, napominając mnie co chwila, żebym nie poddawał się zanadto żałobie, a jeden z kolegów miał na mnie oko na wypadek, gdybym zemdlał. Kiedy znów rozległa się żałobna muzyka, pomyślałem o Babci i zacząłem płakać, ale wszyscy inni też płakali. Ojciec i inni członkowie Partii z jego zakładu oglądali pogrzeb Przewodniczącego Mao w telewizji. W Pekinie padał ulewny deszcz.

– Niebiosa ronią łzy nad Przewodniczącym Mao – powiedział Ojciec, kiedy wrócił tego wieczoru do domu. – Dawniej zawsze tak się działo, kiedy umierał cesarz.

Przez śmierć Przewodniczącego Mao zacząłem się martwić, że Babcia też może niedługo umrzeć. Kiedy przyjeżdżałem na weekendy, zwykle kupowałem jej ze swojego kieszonkowego torebkę cukierków w sklepiku przy szkole. Tymczasem Babcia zaczęła coraz bardziej bać się śmierci, żałowała nawet, że sprawiliśmy jej trumnę, i prosiła Ojca o wywiezienie jej z domu, by nie przypominała co dzień o śmierci. Ojciec nie usunął trumny, tylko przykrył ją ładnie starymi gazetami. Polecił nam także, żebyśmy nie rozmawiali w domu o śmierci Mao ani nikogo innego.

– Nie podsycajmy jej strachu – powiedział.

Kiedy naród odbył żałobę i wrócił do normalnego życia, Partia postanowiła, że zwłoki Mao zostaną zabalsamowane i wystawione na widok publiczny, tak samo jak ciało Lenina w Moskwie. Ojciec zaś wciąż stał przed problemem, co dalej przedsięwziąć w kwestii pogrzebu Babci, mimo jej obecnej awersji do śmierci, którą uważał za znak rychłego końca. Zaczął się dowiadywać, gdzie się znajduje grób Dziadka. Babcia pamiętała tylko, że przy niewielkim zakolu Żółtej Rzeki w pobliżu ich wioski. Biorąc pod uwagę, że przez te lata wioska Babci była wielokrotnie przenoszona w inne miejsce, było to spore wyzwanie. Kilka dni po śmierci Przewodniczącego Mao Ojciec zabrał się zakładową ciężarówką jadącą do Henanu. Powiedział Babci, że jedzie w delegację, ale potajemnie upchnął do torby prezenty i koperty z pieniędzmi dla krewnych.

W wiosce szybko rozeszła się wieść, że Ojciec wrócił, i zaraz zgromadzili się wokół niego jego dawno niewidziani krewni. Najważniejsi dla niego byli dwaj kuzyni Dziadka, z których jeden był sołtysem. Ojciec chciał zobaczyć grób Dziadka, lecz odnalezienie go zajęło im trochę czasu. Po długim

przeczesywaniu wysokiej aż po kolana trawy sołtys znalazł coś, co wyglądało na nieoznaczony nagrobek, i stwierdził, że to właśnie grób Dziadka. Kazał dzieciom narysować szczegółową mapę i jeszcze raz obiecał, że będzie o niego dbał jak należy i osobiście dopilnuje przygotowań do pogrzebu Babci.

Byliśmy sceptyczni. Wszelkie dokumenty zaginęły podczas wojen i powodzi. Skąd ten człowiek miał pewność, że tam właśnie leży Dziadek? Ojciec się niecierpliwił.

– Okażmy trochę wiary – powiedział. Rzadko używał tego słowa i myślę, że w głębi serca także miał wątpliwości, ale postanowiliśmy uwierzyć.

Swoją prośbą o opiekę nad grobem Dziadka Ojciec zaciągnął pewne zobowiązanie. Nie zdawaliśmy sobie jednak sprawy ze skali owego zobowiązania, dopóki następnej wiosny nie przyszedł od sołtysa list, w którym zawiadamiał, że jego zięć dostał pracę w naszym mieście i niedługo dołączy do niego żona. Miała problemy ze znalezieniem mieszkania, sołtys poprosił więc Ojca, żeby pomógł jej znaleźć kwaterę i pracę, by mogła jakoś przeżyć. Zanim Ojciec zdążył odpowiedzieć, córka sołtysa już stała w drzwiach. Była to wiejska dziewczyna, która nieustannie chichotała i mówiła z wyraźnym henańskim akcentem; niektóre słowa wymawiała podobnie nosowo jak Babcia. Moja starsza siostra zaproponowała, że zrobi miejsce dla nowej cioci i zamieszka u jednej z przyjaciółek. Ojciec znalazł jej tymczasowe zajęcie u siebie w magazynie przy załadunku i rozładunku naczyń kuchennych.

Na szczęście jej mężowi udało się znaleźć kwaterę dla nich obojga i po miesiącu dziewczyna wyprowadziła się od nas. Ta ciocia była jedną z wielu moich nowych cioć i wujków. Jak daleko sięgały nasze więzi pokrewieństwa? Niektórzy przyjeżdżali zobaczyć Xi’an i traktowali nasz dom jak darmowy hotel, inni, żeby się domagać pomocy finansowej, jeszcze inni, żeby znaleźć pracę w mieście. Myśleli, że Ojciec jest jakąś ważną figurą. Moje rodzeństwo i ja byliśmy zmęczeni tym, że w domu nie ma ani chwili spokoju, i nawet nie staraliśmy się być uprzejmi. Ojciec ganił mnie, że się wywyższam i jestem niewdzięczny.

– To mili, uczciwi ludzie – pouczał nas. – Nie można patrzeć na nich z góry. Włożyli wiele wysiłku w to, żeby pomóc utrzymać grób Dziadka.

Na początku Matka się starała, witała naszych krewnych serdecznie i gotowała wielki garnek makaronu, ale w końcu i ją zaczęło to męczyć, więc

kiedy któregoś razu późnym wieczorem zjawiło się u nas jakichś trzech mężczyzn twierdzących, że są naszymi krewnymi, uznała, że ma tego dość. Wymówiła się bólem głowy i poszła do przyjaciółek, tak że moja siostra musiała sama ugotować kolację dla gości. Ojciec wziął trochę pościeli i zorganizował im nocleg u siebie w biurze, mając nadzieję, że jak to chłopi, wstaną wcześnie i znikną, zanim jego koledzy przyjdą do pracy. Oczywiście o szóstej rano byli już pod naszym domem, oczekując śniadania. Jedna z sąsiadek, która wiedziała, co się u nas dzieje, zażartowała:

– Ten wasz hotelik ostatnio nieźle prosperuje!

Babcia narzekała zawsze, kiedy zatrzymywali się u nas krewni Matki, i zrzędziła, że Matka wydaje na nich za dużo pieniędzy i daje im za dużo prezentów.

– Większość rodziny Huangów wymarła i nie mamy prawie nikogo – mówiła.

Teraz, kiedy nawiązaliśmy kontakt z krewnymi Ojca, sytuacja się zmieniła i Matka zaatakowała Ojca:

– Czy nie mówiłeś, że wszyscy Huangowie zmarli podczas klęski głodu?

Doszło do ostrej wymiany zdań, w końcu Ojciec wycofał się na podwórko.

Ale Matka jeszcze nie skończyła i wróciła do swoich gróźb.

– Kto by pomyślał, że przewiezienie twojej matki do Henanu ściągnie na nas tyle kłopotów?! – powiedziała i zwróciła się do Babci, która siedziała w swoim wiklinowym fotelu pod gruszą. – A może po prostu znajdziemy cmentarz gdzieś pod Xi’anem. Mieszkasz tu przecież od tylu lat, tutaj są twoje wnuki.

Na co Babcia warknęła:

– Nie będę teraz rozmawiać o śmierci. A kiedy umrę, nie chcę, żebyście mnie tu pochowali, to nie jest mój dom! – Po czym, obrzucając Matkę miażdżącym spojrzeniem, wbiła jej zupełnie nową szpilę:

– Wiem, jaka jesteś. Gdyby to od ciebie zależało, raz-dwa zawinęłabyś mnie w byle słomiankę i wrzuciła do pieca albo do rowu przy drodze.

Matka, hamując gniew, rzekła do Ojca:

– Mnie jest tu dobrze, jestem tu u siebie. Mamy nowe społeczeństwo. Nie możemy trzymać się wszystkich starych zasad.

Ojciec był innego zdania:

– Wszystkie opadłe liście wracają do korzeni swego drzewa – wyrecytował. – Choćby człowiek odjechał daleko od domu, musi wrócić.

– Znakomicie – odrzekła Matka. – Więc proszę bardzo, zawieź matkę do domu. Nie kiwnę przy tym palcem.

Po czym wyszła, żeby szukać pociechy u kumoszek z sąsiedztwa.

Mimo deklaracji Matki wiedzieliśmy, że ani ona, ani Ojciec nigdy nie czuli się w Xi’anie u siebie. Nie starali się zmienić ani swojego akcentu, ani zwyczajów. Ich przyjaciele pochodzili z tego samego regionu Henanu i kiedy tylko Matka spotkała jakąś kobietę mówiącą z rodzimym henańskim akcentem, zaraz ją do nas zapraszała. Ojciec zaś sugerował, że moje rodzeństwo i ja, kiedy dorośniemy, powinniśmy poszukać sobie małżonków wśród ludzi pochodzących z Henanu. Czasem słyszałem też, jak Ojciec zwierza się kolegom, że na emeryturze chętnie wróciliby z Matką w rodzinne strony, chociaż wiedzieli, że już niczego tam nie ma i że właściwie nikogo tam nie znają oprócz dalekich krewnych. Ta rozmowa przypomina mi się za każdym razem, kiedy ktoś z moich amerykańskich przyjaciół chińskiego pochodzenia mówi, że chociaż mieszka w Stanach od lat, nie czuje się u siebie. Niektórzy odkładają pieniądze, żeby po przejściu na emeryturę wrócić do swojej „ojczyzny”.

Kiedy Matka wyszła, Babcia odezwała się płaczliwie do Ojca:

– Jeśli nie chcecie odesłać mnie do domu po mojej śmierci, może powinniście zawieźć mnie do mojej wioski teraz, kiedy jeszcze żyję. Wynajmę sobie jakiś pokój i może pożyję trochę dłużej niż tutaj, z tą złą kobietą. – A potem już zupełnie się rozsypała: – Tak bardzo boję się śmierci.

Część II

Odwilż

Przewodniczący Mao nie żył, a jego następca Hua Guofeng w październiku 1976 roku rozpoczął czystki wśród towarzyszy, poczynając od „kliki kontrrewolucjonistów” pod wodzą żony Mao Jiang Qing oraz trzech innych radykalnych przywódców komunistycznych. „Bandę czworga” oskarżono o knucie przeciwko Partii i aresztowano.

Matka zachowywała się tak, jakby wiedziała od samego początku, że żona Mao to zła kobieta.

– Na pogrzebie Przewodniczącego Mao była w takim czarnym szalu i wyglądała, jakby myślała o czymś innym – powiedziała. – Od razu wiedziałam, że coś jest na rzeczy.

Ojciec odpowiedział:

– Nie bądź taka mądra, teraz ona jest wrogiem, ale kto wie, co będzie jutro? Może wróci jako cesarzowa. W chińskiej polityce pewne jest tylko to, że nic nie jest pewne. Dzisiaj możesz być gościem honorowym, a jutro wylądować w więzieniu jako przestępca.

Ojciec wiedział z doświadczenia, że lepiej być ostrożnym, ale wkrótce winę za wszystkie katastrofy związane z rewolucją kulturalną zrzucono właśnie na żonę Mao i jej bandę, tak jakby Przewodniczący Mao przespał te wszystkie lata i niczego nie był świadomy, a zatem nie był winien radykalnych posunięć, które zrujnowały chińską gospodarkę i przyczyniły się do śmierci milionów niewinnych ludzi. Partia próbowała naprawić te krzywdy; wraz z upadkiem bandy czworga wielu byłych wrogów stało się znów dobrymi towarzyszami i okazało się, że byli kontrrewolucjoniści i kapitaliści przez cały czas byli dobrymi komunistami. W mojej dawnej podstawówce był jeden taki kontrrewolucjonista, który pracował jako woźny. Wyśmiewaliśmy się z niego ile wlezie, aż któregoś dnia został kierownikiem szkoły. Powiedziano nam, że był ofiarą bandy czworga. A najbardziej się zdziwili-

śmy, kiedy zrehabilitowano byłego prezydenta Liu Shaoqi. Przez całe dzieciństwo musiałem krzyczeć: „Precz z Liu Shaoqi” albo „Liu Shaoqi to zdrajca i największy propagator kapitalizmu w Chinach”. Liu został pobity i aresztowany podczas rewolucji kulturalnej. Zmarł w więzieniu w prowincji Henan w 1969 roku. Wykonując nieprawdopodobne salto w tył, Partia w 1980 roku ogłosiła, że Liu był w rzeczywistości wybitnym marksistą i wielkim proletariackim bojownikiem o rewolucję. Urządzono mu wspaniały pogrzeb z udziałem wszystkich przywódców wysokiego szczebla. Chińską politykę zazwyczaj trudno pojąć, tym bardziej kiedy jest się nastolatkiem, ale nawet ja zrozumiałem, że powiał wiatr zmian.

Przeżyłem jeszcze większy wstrząs, kiedy któregoś dnia po przyjeździe do domu zauważyłem, że gigantyczny pomnik Przewodniczącego Mao zniknął z trzymetrowego piedestału przy wschodnim wejściu do zakładu Ojca. Robotnicy zdjęli posąg i odesłali go na złom. Partia postanowiła skończyć z obowiązującym za czasów Przewodniczącego Mao kultem jednostki i zachęcała ludzi do bardziej swobodnego myślenia. Wkrótce potem zobaczyłem, że przed magazynem Ojca stanęło kilkanaście ciężarówek. Były załadowane różnej wielkości i kształtu przypinanymi znaczkami z wizerunkiem Przewodniczącego Mao, które wiernie nosiliśmy co dzień na piersi, które kolekcjonowaliśmy i którymi się wymienialiśmy, jak dziś dzieci kartami z Pokemonami. Zaledwie trzy lata po śmierci Przewodniczącego Mao władze Xi’anu nakazały mieszkańcom oddać te metalowe plakietki do miejscowego skupu złomu, po czym zawieziono je do zakładów Ojca, żeby je tam przetopić i zrobić z nich garnki albo rury kanalizacyjne. Według jednego z niedawnych opracowań w latach 1966–1971 w Chinach wyprodukowano osiem miliardów znaczków z Przewodniczącym Mao w pięćdziesięciu tysiącach wzorów. Zanim wrzucono je do pieca, Ojciec starannie wybrał ze stosu wiele wyjątkowych okazów i w domu schował je na pamiątkę do tej samej szuflady, w której trzymał wszystkie zakazane przez Mao książki.

Dla mnie najbardziej wyraźną oznaką zmiany było rozluźnienie systemu reglamentacji żywności. Czarny rynek, gdzie Ojciec potajemnie kupował słodkie ziemniaki i pszenicę, stał się teraz „wolnym rynkiem” – wszędzie widać było chłopów handlujących warzywami, pszenicą i wieprzowiną. Państwowe gospodarstwa rolne zaczęto likwidować, rolnicy mogli teraz dzierżawić ziemię i uprawiać to, co chcieli. Dopóki dostarczali wyznaczony przez rząd kontyngent, wolno im było sprzedawać nadwyżki na rynku. To

była dobra wiadomość; Ojciec już nie musiał się martwić, że go złapią, kiedy kupuje dla nas jedzenie. Białe bułeczki na parze, symbol szczęśliwego socjalistycznego życia w Chinach, zaczęły regularnie pojawiać się na naszym stole.

Życie także nabrało kolorów. Zniknęły stare filmy propagandowe, pokazujące dzielnych komunistów walczących z tchórzliwymi nacjonalistami albo ze złymi japońskimi okupantami. Melodramaty i hongkońskie filmy kung-fu z lat pięćdziesiątych przyciągały tłumy do pustawych wcześniej sal kinowych. W 1978 roku tajwańska piosenkarka Deng Lijun swym słodkim głosem podbiła cały kraj; można by ją nazwać chińskim Elvisem Presleyem. Moi koledzy i ja, karmieni od dzieciństwa wojowniczymi pieśniami rewolucyjnymi takimi jak *Socjalizm jest dobry* i *Kocham swój kraj*, ulegliśmy ckliwemu czarowi Deng – przebojów takich jak *Księżyc niczym serce me* i *Nie zrywaj przydrożnych kwiatów*. Brat jednego z moich kolegów przemycił z Hongkongu taśmę z jej nagraniem. Dzięki nauczycielowi angielskiego pożyczyłem ze szkolnego laboratorium do nauki języków wielki jak skrzynia magnetofon szpulowy Grundig, tłumacząc, że chcemy poćwiczyć mówiony angielski, i zebraliśmy się w naszym pokoju w internacie. Na początku uciszaliśmy się nawzajem, ale potem zaczęliśmy podkręcać dźwięk coraz bardziej, aż w końcu dotarł do uszu wicedyrektora, który nie zgodził się na używanie szkolnego sprzętu do słuchania „niezdrowej muzyki". Cała wina spadła na mojego nauczyciela. Poza murami szkoły ludzie trafiali do więzienia za potańcówki przy piosenkach Deng Lijun, co tylko zwiększyło jej atrakcyjność, aż w końcu władze odpuściły.

Na Zachodzie lata siedemdziesiąte właśnie dobiegały końca, ale w Chinach dekada koszmarnej mody dopiero się zaczęła, wszyscy zaczęli nosić spodnie dzwony i długie włosy. Dla nas moda ta zjawiła się w osobie córki naszej nauczycielki angielskiego, która była muzykiem i któregoś razu, gdy ćwiczyliśmy na dziedzińcu w ramach wuefu, przyszła odwiedzić matkę. Wszystkie oczy zwróciły się ku jej rozszerzanym na dole dżinsom, podkreślającym jej figurę w sposób przekraczający wyobraźnię większości chińskich chłopców. Po niedługim czasie wielu starszych uczniów w naszej szkole także zaczęło nosić dzwony, wszyscy przestaliśmy się strzyc. Nasz dyrektor wzywał nas do bojkotu burżuazyjnego stylu życia, grożąc, że jeśli nie poprawimy swego zachowania, weźmie nożyczki i poobcina nam te długie włosy i szerokie nogawki. Zanim udało mi się ubłagać Matkę, żeby

uszyła mi modne spodnie, dzwony zrobiły się tak powszechne, że straciły dla mnie cały urok.

Mojemu młodszemu bratu nie zależało na dżinsach, za to co dwa tygodnie zmieniał fryzurę. Ojciec – który, kiedy byliśmy dziećmi, dwa razy w miesiącu zabierał nas do fryzjera, żeby ostrzygł nas maszynką na krótko, i twierdził, że od długich włosów boli głowa – nazywał go chuliganem. Kiedy brat zaproponował, że gdy skończy szkołę, otworzy własny zakład fryzjerski, żeby dołożyć się do rodzinnego budżetu i pogrzebu Babci, Ojciec wpadł w szał.

– Poświęciliśmy tyle pieniędzy i wysiłku, żeby zadbać o dobre feng shui rodziny i żebyś został pobłogosławiony dobrą przyszłością! – powiedział. – Chcesz to zmarnować? Czy nie możesz wymyślić jakiegoś bardziej zaszczytnego i przyzwoitego zajęcia niż prowadzenie własnego interesu?

System konfucjański zalicza kupców do najniższych klas społecznych.

Ojcu nie podobały się trendy kulturalne nowej epoki, ale cieszył się, że po dziesięciu latach cenzury znów można było oglądać tradycyjne chińskie opery. Wydobył ze swej szuflady radyjko domowej roboty, z dużym pudełkiem na baterie zwisającym luźno z tyłu, zrobione dla niego przez przyjaciela w połowie lat sześćdziesiątych. Po pracy przykładał je do ucha i wśród trzasków i szumów słuchał tradycyjnych oper. Trzeszczenie nie przeszkadzało Ojcu, za to coraz bardziej irytowało Matkę, więc żeby uniknąć konfliktów, niechętnie wziął trochę pieniędzy z funduszu pogrzebowego Babci i kupił bardzo poszukiwane radio marki Czerwony Lampion, które kosztowało go dwie miesięczne pensje. Była to spora drewniana skrzynka, której front obciągnięty był kolorowym materiałem przypominającym jedwab. Podobało mi się, że odbiera na falach krótkich. Wkrótce znalazłem serwis informacyjny Głosu Ameryki, którego słuchało potajemnie wielu moich kolegów ze szkoły. Dzięki temu dowiedziałem się o śmierci Johna Lennona i o czuwaniach odbywających się na całym świecie, by uczcić jego pamięć. Nie mogłem pojąć, dlaczego ludzie na Zachodzie opłakują śmierć jakiegoś piosenkarza pop, jakby był głową państwa tak jak Przewodniczący Mao. Słuchanie zagranicznych serwisów informacyjnych wciąż było jednak wątpliwe politycznie. Ojciec pozwalał mi słuchać Głosu Ameryki tylko pod swoim nadzorem. Wezwał stolarza i kazał mu założyć na jedyny kontakt elektryczny w domu zaślepkę zamykaną na kłódkę.

Po niedługim czasie radio zastąpiła telewizja, która w roku 1978 stawała się coraz bardziej dostępna, tak że nawet ludzie biedniejsi od nas mieli własne odbiorniki. Ojciec jednak nie chciał kupować telewizora, chociaż czasem wymykał się do sąsiadów, żeby obejrzeć operę z Pekinu albo Henanu.

– Poczekajmy, aż pojawią się lepsze modele, a ceny spadną – mówił. – Nie możemy wyrzucać pieniędzy na zbytki. Musimy się przygotowywać do pogrzebu Babci.

Pan Yu, dyrektor wydziału handlu w zakładzie Ojca, miał największy telewizor na osiedlu, więc w jego salonie zbierały się całe tłumy ludzi, siadano nawet na parapecie, żeby obejrzeć popularne programy. Kiedy do Chin dotarł amerykański program *Człowiek z Atlantydy*, mój brat stał się jednym z jego zagorzałych fanów. Wieczorem, kiedy telewizja nadawała ten program, wymawiał się od prac domowych, mówiąc, że musi pójść do wychodka, i wracał pół godziny później z kurtką ubrudzoną kurzem z parapetu pana Yu. W końcu Ojciec ustąpił i kupił dziwaczny, przeceniony odbiornik. Wychodząc, zamykał gniazdko na klucz.

W miarę jak blakły wypisane na ścianach wielkimi znakami hasła „Reformujmy stare tradycje i obyczaje”, dawne zwyczaje zakradały się do naszego życia, niektóre w dość spektakularny sposób i z nieoczekiwanej strony. Na naszym osiedlu mieszkał pan Zhou, zamiatacz w zakładzie Ojca, który w śmietnikach i na wysypiskach szukał makulatury i złomu. Miał czworo dzieci, same córki. Kiedy usłyszeliśmy dobiegający z jego domu huk fajerwerków, wszyscy sąsiedzi wyszli popatrzeć. Najstarsza córka Zhou wychodziła za syna sąsiada; plotkowano, że zaszła z nim w ciążę i dlatego ślub jest tak szybko. Szepty ucichły, gdy panna młoda pojawiła się niesiona w czerwonej lektyce przez dwóch krewnych. Coś takiego widywałem dotąd tylko na filmach o złych obszarnikach, którzy porywali piękne dziewczęta z rodzin ubogich wieśniaków. Tłum aż westchnął; starsze panie z podziwu zakryły rękami usta. Panna młoda miała na sobie tradycyjny czerwony płaszcz zapinany pośrodku na plecione guziki. Jej siostry szły obok lektyki, niosąc kołdry z czerwonego jedwabiu, haftowane w feniksy i smoki. Kiedy pojawili się rodzice panny młodej, tłum aż krzyknął z zachwytu. Zhou, z włosami zaczesanymi na boczek, wystrojony w odprasowane szare poliestrowe spodnie i szytą na miarę kurtkę w stylu Mao, promieniał z dumy.

– Nigdy nie lekceważ śmieciarza – stwierdziła Matka. – Musiał odłożyć niezłą sumkę.

Co powie sekretarz Partii na ten powrót tradycyjnych obyczajów weselnych?

– Czasy się zmieniają – rzekł Ojciec. – Partia zdała sobie sprawę, że nie wszystkie zwyczaje są złe.

Miał rację. Zhou nie poniósł żadnych konsekwencji: jak dawniej zamiatał hale fabryczne i grzebał w śmieciach.

Podobnie jak wesela, tradycyjne pogrzeby, niegdyś krytykowane jako rozrzutne obyczaje z pełnej błędów i wypaczeń przeszłości, znów stały się powszechne na wsi. W większych miastach takich jak Xi'an pochówki były wciąż zabronione, ale na przedmieściach nie egzekwowano tego zbyt surowo. Jeśli ktoś miał środki na zakup kawałka gruntu, dawało się też nagiąć przepisy. Kiedy w 1980 roku zmarł stryjeczny dziadek Ojca, ten czuł, że jako członek Partii nie powinien brać udziału w uroczystościach żałobnych, ponieważ na końcu miał nastąpić potajemny pogrzeb. Matka i ja jednak poszliśmy, a kiedy trumnę położono na karawan, kobiety, moja matka także, zaczęły płakać i zawodzić – Matka miała donośny głos, więc cieszyła się wzięciem na pogrzebach krewnych – podczas gdy ponad dwadzieścioro dzieci odzianych w białe płótno, w tym ja, uklękło w trzech rzędach. Odpalono fajerwerki, co było sygnałem startowym dla konduktu złożonego z kilkunastu samochodów i ciężarówek wyładowanych setkami wieńców i papierowych ofiar w postaci imitacji sztabek złota, które miały zostać spalone, tak by zmarły nie przyszedł na tamten świat z pustymi rękami. By uniknąć spotkania z policją, kondukt podążał bocznymi uliczkami, rozrzucano też fałszywe banknoty dla duchów opiekuńczych, żeby zapewniły bezpieczną drogę. Nie zdawałem sobie dotąd sprawy, że tamten świat jest równie przekupny jak ten nasz.

Ponieważ teraz łatwiej było o transport, Ojciec zaczął modyfikować swój plan. Udało mu się nawet uzyskać zgodę na to, żeby jedna z karetek z zakładowej przychodni przewiozła ciało Babci. Doktor Yang, z którym Matka zaprzyjaźniła się wiele lat wcześniej, sugerował nawet, żeby Babcia, kiedy poczuje zbliżający się koniec, przeprowadziła się, tak by mogła umrzeć w rodzinnej wiosce. Zaproponował, że pojedzie z nią i dopilnuje, aby było jej wygodnie podczas podróży, która teraz, kiedy drogi były mniej dziurawe, znacznie się skróciła.

Mojej starszej siostrze także przypadła ważna rola, jakiej nie spodziewałem się na początku, kiedy Ojciec zaczął obmyślać plan. Od dwóch lat spo-

tykała się ze swoim byłym kolegą z klasy. Jego rodzice pochodzili z wioski na obrzeżach Xi'anu. Rodzice byli mu przeciwni, woleli, żeby znalazła sobie męża w mieście, najlepiej kogoś pochodzącego z Henanu. Poza tym takie małżeństwo oznaczałoby dla niej degradację, bo teraz pracowała w państwowym zakładzie, a tam musiałaby zatrudnić się z mężem w małej spółdzielni, z dużo niższymi zarobkami. Moja siostra była obdarzona sporym sprytem, za co ją szczególnie lubiłem, ponieważ kiedy byliśmy dziećmi, nieraz ratowała nam skórę. Przy pomocy rodziny swojego chłopaka przedstawiła Ojcu propozycję, którą – jak zdawała sobie sprawę – trudno by mu było odrzucić: otóż gdyby ona, wnuczka, wyszła za tego chłopca, Babcia, dzięki powiązaniom rodzinnym, mogłaby zostać pochowana na wiejskim cmentarzu, więc w razie gdyby plan zawiezienia jej do Henanu nie wypalił, Ojciec miałby jakieś zabezpieczenie na miejscu. Rodzice pozwolili siostrze na ten związek.

W 1981 roku nadeszła wiadomość, przez którą drobiazgowe plany Ojca mogły wziąć w łeb. Rodzinny cmentarz Huangów znalazł się na terenie przeznaczonym przez władze do rekultywacji i przekształcenia pod uprawy. Chłopom nakazano albo zlikwidować groby, albo przenieść szczątki gdzieś dalej, zanim na teren wjadą buldożery. Ojciec był przeciwny tym przenosinom i napisał stanowczy list do kuzyna Dziadka, sołtysa. Ten przekazał nam odpowiedź przez „Ciotkę Chichotkę", jak nazywaliśmy jego córkę, której pomogliśmy kilka lat wcześniej. Powiedziała, że jej ojciec walczył z miejscowymi urzędnikami o zachowanie grobu Dziadka i nawet położył się przed traktorem, który miał wyrównać teren. Sołtys ocalił grób Dziadka, ale musiał dać w łapę miejscowym urzędnikom. Ojciec, poruszony jego „bohaterskim czynem", wysłał mu przekazem pocztowym zwrot pieniędzy za te łapówki.

W 1985 roku sołtys dostał ataku serca, co bardzo zmartwiło Ojca. Na nim opierał się przecież cały plan. Ojciec porozumiał się więc z innym kuzynem Dziadka, który zapewnił go, że weźmie na siebie opiekę nad grobem. Poznałem go, kiedy przyjechał do nas z wizytą: wydał mi się uczciwy i mniej cwany niż sołtys. W zamian za jego pomoc Ojciec zabrał do miasta jego siedemnastoletniego syna i znalazł mu zatrudnienie.

Tymczasem, gdy Babcia zbliżyła się do osiemdziesiątki, jej strach przed śmiercią się nasilił. Kiedy znajomi i krewni wpadali z wizytą, Babcia przerywała rozmowę:

– Tak bardzo się boję – mówiła z nerwowym chichotem. – Nie chcę opuszczać moich wnucząt.

Potem szeptem oskarżała Matkę, jeśli akurat nie było jej w pobliżu, że chce się jej pozbyć, ponieważ stała się ciężarem dla rodziny. Takie uwagi stawiały naszych gości w niezręcznej sytuacji. Z początku niektórzy próbowali jej wysłuchać i ją pocieszać, ale wkrótce po prostu przestali przychodzić.

Co jakiś czas, przy kolejnym ataku zawrotów głowy, Babcia przypominała nam:

– Mogę umrzeć w każdej chwili.

Spełnialiśmy każdą jej zachciankę. Którejś nocy, a było już bardzo późno, obudziła nas, jęcząc, że zaraz umrze. Było to dwa dni przed księżycowym Nowym Rokiem. Poprosiła Ojca, żeby po jej śmierci zawinął ją w czerwoną tkaninę i tymczasowo złożył w trumnie.

– Nie chcę, żebyście przez moją śmierć mieli zepsute święta – powiedziała. – Poza tym wasza matka przygotowała te wszystkie przysmaki, nie mogą się zmarnować. Możecie zawiadomić krewnych i urządzić pogrzeb po świętach.

Potem kazała Ojcu przyprowadzić mnie, żeby mogła mi przekazać swą ostatnią wolę. Ukląkłem przy jej łóżku, trzymając ją mocno za ręce. Widziałem, jak po skroniach spływają jej łzy. Zacząłem płakać; miałem nadzieję, że Babcia zdradzi mi jakieś ważne tajemnice, które odmienią moje życie, tak jak umierający bojownicy na filmach: „Jesteś sierotą. Twoja prawdziwa matka była męczennicą rewolucji, która zginęła z rąk nacjonalistów. Babcia to twoja jedyna żyjąca krewna!”. To by może wyjaśniało tak częste klapsy od Matki. A może Babcia chce mi zostawić jakieś pieniądze: „Ukryłam sztabki złota w kuchennej ścianie. Wydobądź je po mojej śmierci i wydaj na przyjemności. I nie dziel się ze swoimi okropnymi siostrami”. Wydawało się to całkiem prawdopodobne. Od lat słyszałem od krewnych, że Babcia podobno przyniosła z Henanu do Xi’anu sztabki złota.

Kiedy Babcia wreszcie przemówiła, z przejęcia wstrzymałem oddech.

– Powinieneś nadal wprawiać się w gotowaniu. W ten sposób nie będziesz musiał cierpieć przez swoją żonę, tak jak cierpi twój ojciec.

Przestałem płakać. Rozejrzałem się, żeby sprawdzić, czy Matka jest w pobliżu. Na szczęście poszła sprowadzić doktora Gao. Ojciec, jak zwykle

z niezadowoleniem kręcąc głową, podał Babci szklankę wody. Ale ona odepchnęła jego rękę.

– Jak się umiera, nie można pić. Jeszcze bym się zakrztusiła i odeszła z tego świata, nie zdążywszy przekazać wam wszystkim moich ostatnich słów.

Przyszedł wyrwany z łóżka doktor Gao. Zbadał puls Babci.

– Babciu Huang, nie umiera pani. Pani puls jest tak mocny, że dożyje pani setki.

Babcia uśmiechnęła się. Doktor Gao przed wyjściem polecił Ojcu, żeby poszedł do zakładowej przychodni po pigułki nasenne dla Babci. Zanim zdążył wrócić, już chrapała w najlepsze.

Przyjęcie na studia

W okresie gdy Ojciec był najbardziej zajęty pogrzebem Babci, miał dla nas niewiele czasu. Po pracy zostawał do późna na partyjnych nasiadówkach, a kiedy był w domu, albo był zmęczony, albo dyskutował lub kłócił się z Matką na temat pogrzebu. Nam poświęcał uwagę tylko wtedy, kiedy mieliśmy problemy w szkole i do domu przychodziła nauczycielka. Po jej wyjściu dostawaliśmy lanie. Przez wiele lat Ojciec nie chodził na doroczne wywiadówki, wymawiając się:

– Wiem, że się poprawisz i że nie muszę się o ciebie martwić.

Jednak podczas gdy ja przynosiłem same najlepsze oceny i nie trzeba mnie było pilnować, mój młodszy brat i siostra radzili sobie kiepsko i często dostawali złe stopnie. Ojciec kazał więc mnie i mojej starszej siostrze pomagać im w lekcjach, tylko że my też mieliśmy dużo zajęć pozaszkolnych. Skutek był taki, że moje młodsze rodzeństwo było pozostawione samo sobie. Mój brat jako nastolatek przyłączył się do miejscowego gangu. Często, gdy Ojciec wracał z pracy, czekali już na niego wściekli rodzice dzieci, którym przylał mój braciszek. Udało mu się zdać egzaminy do liceum, ale zabrakło mu dwóch punktów, żeby dostać się do najlepszego w okolicy. Trafił więc do pobliskiej szkoły, której wielu uczniów nie kończyło. A ponieważ nikt się nim nie zajmował, jego wyniki jeszcze się pogorszyły.

W późniejszych latach, kiedy stan Babci wydawał się względnie stabilny, Ojciec próbował nadrobić wcześniejszy brak troski, ale było już za późno. Ani mój młodszy brat, ani siostra nie mieli wystarczająco wysokich ocen, żeby dostać się na studia.

Ja za to miałem więcej szczęścia. Kiedy przyjęto mnie do Szkoły Języków Obcych, podejście rodziców radykalnie się zmieniło. Ponieważ przyjeżdżałem do domu tylko na sobotę i niedzielę, traktowali mnie jak wyjąt-

kowego gościa. Klapsy się skończyły. Matka zawsze gotowała dla mnie coś specjalnego. Moje rodzeństwo zaczęło z zazdrości nazywać mnie „zagrożonym gatunkiem", który wymaga szczególnej troski i opieki.

Dla Ojca wielką ulgą było to, że jego najstarszy syn po maturze nie musi znosić ciężkich warunków gdzieś daleko na wsi. Dyrekcja szkoły dała rodzicom jasno do zrozumienia, że absolwenci będą mieli szansę pracować jako tłumacze przywódców wyższego szczebla w Pekinie. Ta obietnica podsyciła nadzieję Ojca, że może zostanę kimś, kto przyniesie chlubę rodzinie.

Przygotowując mnie do odegrania tej ważnej roli, Ojciec upominał mnie, bym przestrzegał rozmaitych zasad. Powinienem mówić powoli i pewnie, zawsze trzymać się prosto i patrzeć przed siebie.

– Wyglądasz jak staruszek, co szuka groszaków na chodniku – powiedział. – Tak nie chodzi ktoś, komu dane jest robić wielkie rzeczy.

Nadal chodzę nieco przygarbiony, z pochyloną głową, i czasem nawet znajduję jakieś drobniaki. Ojciec by się pewnie uśmiał, gdyby się dowiedział, że w Ameryce znaleziony cent przynosi szczęście.

Od 1977 roku już nie musieliśmy uczyć się przez pół dnia, a drugiej połowy spędzać na pracy fizycznej w szkolnej fabryce albo na wsi. Matematyka, chemia, fizyka stały się popularnymi dziedzinami. Na sprawdzianach znów wymagano wiedzy, a nie znajomości cytatów z Przewodniczącego Mao. Nauczyciele już nie wspominali o tym, że powinniśmy osiedlać się na wsi, i o tym, że jesteśmy spadkobiercami rewolucji. Naszym celem było zdanie egzaminów i dostanie się na studia. Na lekcjach angielskiego nie musieliśmy już uczyć się dziwacznych przekładów nauk Przewodniczącego Mao, jak na przykład: „Amerykańscy imperialiści to papierowe tygrysy". Zamiast tego czytaliśmy o Królewnie Śnieżce ze skopiowanej nielegalnie angielskiej książki.

Te zmiany bardzo mi służyły. W mojej nowej szkole celowałem i w naukach ścisłych, i humanistycznych. Pod koniec każdego semestru, kiedy wręczałem Ojcu świadectwo, odczuwał satysfakcję, że zawsze bardzo pilnował, bym się uczył, podczas gdy inni rodzice za czasów Mao przestali dbać o edukację swoich dzieci.

W 1978 roku pewien artykuł o matematyku Chen Jingrunie podziałał na wyobraźnię uczniów w Chinach. Chen, jeden z najwybitniejszych matematyków XX wieku, miał znaczący wkład w prace nad hipotezą Goldbacha, ale nikt w szkole nie wiedział, o co chodzi. Wiedzieliśmy tylko, że jest to zna-

ny na całym świecie problem z dziedziny teorii liczb i że Chen przyniósł chlubę Chinom. Nagle wszyscy chcieli być matematykami. Miałem obsesję na punkcie matematyki. Któregoś dnia męczyłem się przed pójściem spać nad pewnym szczególnie skomplikowanym problemem matematycznym, a potem rozwiązałem go we śnie. Uznałem, że widocznie jestem geniuszem, i myślałem o tym, żeby zostać światowej sławy matematykiem. Ojciec poczytał coś na temat Chena i dowiedział się, że ten geniusz matematyczny żył jedynie pracą, nie miał żadnych umiejętności towarzyskich i często zapominał o jedzeniu i spaniu. W końcu musiały interweniować władze: znaleziono mu żonę, żeby się nim zajmowała. Ojciec zauważył, że zrobiłem się roztargniony, że gubię kieszonkowe i nie mogę znaleźć kluczy. Postanowił więc, że nie pozwoli mi zostać matematykiem, i kiedy nauczyciel zasugerował przeniesienie mnie do szkoły dla uczniów uzdolnionych matematycznie, Ojciec odmówił.

Kiedy chodziłem do liceum, Ojciec zwykle nie miał czasu, żeby się wtrącać w to, co czytam, twierdził, że i tak nie może mi pomóc. Pewnego dnia sięgnąłem po powieść należącą do klasyki literatury chińskiej, *Sen czerwonego pawilonu*. Wiedziałem, że Ojciec też czytał ją wiele razy. Żeby zrobić na nim wrażenie, próbowałem z nim podyskutować o tej książce. Na jego twarzy odmalowała się zgroza.

– To nie jest lektura odpowiednia dla ciebie – powiedział. Wyjaśnił mi, że główny bohater to rozwiązły fircyk. Gdy skończył roczek, jego ojciec rozłożył przed nim różne przedmioty: między innymi pióro, atrybut uczonego, i miecz, atrybut wojownika, żeby wywróżyć jego przyszłość. Ale chłopczyk zupełnie nie zwrócił na nie uwagi, tylko wziął do rączki puder do twarzy i wsadził go sobie do buzi. Jego ojciec wiedział już, że syn będzie bezużytecznym nicponiem. I tak się stało: główny bohater marnotrawi życie, flirtując z dziewczętami, podczas gdy jego rodzina zmierza ku upadkowi.

– Ta książka mogłaby mieć na ciebie zły wpływ – powiedział mi Ojciec. Przestrzegł mnie, że są dwie rzeczy, które są pewną przeszkodą na drodze do kariery: kobiety i pieniądze. – Przez rozwiązłość i chciwość można popaść w poważne polityczne kłopoty – rzekł.

W przeciwieństwie do rodziców i nauczycieli na Zachodzie, którzy zachęcają dzieci, by się wyróżniały, były pewne siebie, wyjątkowe i śmiało demonstrowały swoją indywidualność, moi rodzice upominali mnie, że trzeba być *tinghua*, czyli żebym był posłuszny i się nie wychylał, ponieważ

„najłatwiej ustrzelić przewodnika stada”. Kierując się własnym doświadczeniem, Ojciec ostrzegał mnie:

– Nie popisuj się i nie podskakuj. Rób to, co wszyscy. Inaczej, jeśli coś pójdzie nie tak, wszystko będzie na ciebie.

Ojciec w kółko mi powtarzał, żebym – bez względu na to, czym będę się zajmował w przyszłości – był skromny i „chodził z podkulonym ogonem”. Przypominał mi historię Zhang Lianga, starożytnego stratega, który spotkał na moście siwowłosego starca – w opowieściach Ojca wzorem był zazwyczaj siwowłosy starzec – a ten rzucił buty na ziemię i kazał Zhang Liangowi je podnieść. Zhang spełnił jego prośbę. Ale starzec znów rzucił buty, tym razem nieco dalej. Zhang chciał przekląć, lecz ponieważ był dobrze wychowany, po raz drugi przyniósł starcowi buty. Starzec dostrzegł jego skromność i cierpliwość i powiedział, żeby następnego ranka przyszedł w to samo miejsce. Zhang się spóźnił. Starzec był zagniewany i odprawił go do domu. Ponownie wyznaczył mu spotkanie i tym razem Zhang zyskał jego zaufanie. Starzec dał mu księgę strategii wojskowych, dzięki której Zhang stał się jednym z wybitnych chińskich strategów. Morał tej historii jest taki, wyjaśnił Ojciec, że należy szanować innych, ponieważ nigdy nie wiadomo, jakie talenty skrywają.

Na Zachodzie obserwuję, jak rodzice obsypują dzieci pochwałami i zachętami i stawiają sobie na biurku ich zdjęcia. Kiedy dzieci spotka jakaś porażka, rodzice je pocieszają i zachęcają do dalszych wysiłków. Ja miałem zupełnie odmienne doświadczenia. Moi rodzice, tak jak wielu innych rodziców w ówczesnych Chinach, uważali, że od pochwał dziecko tylko hardzieje, a krytyka zachęca do większego wysiłku. Przez całą szkołę byłem jednym z najlepszych uczniów. Nigdy jednak nie usłyszałem od rodziców ani słowa pochwały. Co roku, kiedy przynosiłem do domu świadectwo, z którego wynikało, że jestem najlepszy w klasie, mówili:

– Twoja klasa jest bardzo mała. Nic w tym nadzwyczajnego. Na świecie jest mnóstwo zdolnych dzieci. Nie masz powodów, żeby zadzierać nosa.

Kiedy zacząłem grać w szkolnej drużynie koszykówki, Ojciec powiedział:

– Musisz trenować ile sił, bo jesteś za niski.

Gdy byłem nastolatkiem, Matka porównywała mnie z synem sąsiadów:

– On jest wysoki i przystojny. Jego matka nie musi się martwić, czy znajdzie sobie żonę. Ty jesteś niski i brzydki. Lepiej, żebyś był zdolny, inaczej

żadna cię nie zechce.

Te słowa zapadły mi w pamięć; nawet teraz nie mogę patrzeć na siebie w lustrze. Jako nastolatek dzięki znajomości języka obcego stanowiłem pewnego rodzaju ciekawostkę. Przychodziło do nas wielu kolegów Ojca, żeby mnie poznać. Nienawidziłem tych spotkań, bałem się, że nie będę tak dobry, jak tego oczekują, i że ich rozczaruję. Przed sprawdzianami dostawałem nerwicy, bo byłem pewien, że jestem za głupi, by zdać.

Moje pokolenie dorastało w dużych rodzinach, które miały ograniczone środki na utrzymanie. Wielu z nas nie wiedziało nawet, że istnieje coś takiego jak prezenty urodzinowe dla dzieci. Jeśli rodzice akurat pamiętali, że są moje urodziny, bywało, że dostawałem gotowane jajko. Nie zaznaliśmy takich luksusów jak prywatne lekcje gry na fortepianie czy skrzypcach. W liceum dobrze śpiewałem i byłem znakomitym biegaczem. Ale moi rodzice ani razu nie zwolnili się z pracy, żeby zobaczyć mój występ czy kibicować mi podczas wyścigu. Polityka jednego dziecka, wprowadzona w 1979 roku, sprawiła, że teraz dzieci traktuje się inaczej. Rodzice starają się zapewnić im z naddatkiem to wszystko, czego im samym brakowało w dzieciństwie. Kiedy moja siostrzenica była w ostatnich klasach liceum, moja młodsza siostra, a jej mama, która jako nastolatka czuła się zaniedbywana przez rodziców, zrezygnowała z wielu własnych rozrywek i co wieczór zostawała w domu, żeby pomagać córce w nauce. Jeden z moich przyjaciół specjalnie wrócił wcześniej z delegacji, żeby zdążyć na koncert swego syna, który gra na wiolonczeli. Chłopak gra przyzwoicie, a ojciec nazywa go geniuszem. W moich czasach usłyszałby: „To nic nadzwyczajnego, musisz więcej ćwiczyć”.

Większość moich przyjaciół Chińczyków zarzeka się, że nigdy nie będą traktować swoich dzieci tak, jak sami byli traktowani w dzieciństwie. Niemniej jednak nie uważają własnych krytycznych uwag wobec nich za problem. Jeden z moich chińskich znajomych, prawnik, powiedział mi, że jego zdaniem lekcje pokory, które odebraliśmy, zahartowały nas psychicznie, wpoiły nam przekonanie, że nie ma w nas niczego nadzwyczajnego i że zawsze powinniśmy starać się jeszcze bardziej. Otwarcie krytykuje przesadną troskę, jaką przejawiają współcześni chińscy rodzice.

– Stajemy się narodem rozwydrzonych bachorów i mięczaków – powiedział. Gdyby żył mój ojciec, byłby pewnie podobnego zdania.

W wielu historiach z bardzo dawnych czasów, które opowiadał mi Ojciec, ważną miarą sukcesu był egzamin cesarski. Zdanie go otwierało drzwi do wysokich stanowisk dworskich. Obecnie cesarskie egzaminy przybrały formę ogólnokrajowego egzaminu wstępnego. Był to system skuteczny i oparty na współzawodnictwie i wiedzy, dzięki czemu uczniowie niezależnie od swojego statusu ekonomicznego mieli szansę dostać się na wyższą uczelnię. Niecierpliwie czekałem, aż przyjdzie moja kolej, co stało się w roku 1982.

W dawnych czasach, żeby zdać surowe egzaminy, czego wymagano od przyszłych urzędników na dworze cesarskim, trzeba było nauczyć się na pamięć klasycznych dzieł Konfucjusza. Za sprawą antykonfucjańskiej kampanii Przewodniczącego Mao moi koledzy i ja nie studiowaliśmy już dzieł wszystkich filozofa. Zamiast tego musieliśmy przeczytać dziesiątki państwowych podręczników do literatury chińskiej, historii, geografii, marksizmu oraz matematyki. Kładziono nacisk na naukę pamięciową, co miało zniechęcić studentów do nadmiernej kreatywności i krytycyzmu. Jak zwykł mawiać mój Ojciec, „Partii potrzeba ludzi karnych i pracowitych, a nie jakichś mącicieli”.

Ponieważ tylko niewielka część absolwentów liceów mogła się dostać na studia, nasza nauczycielka powtarzała nam mantrę o „poświęceniu jednego czerwonego serca i byciu gotowym na dwie drogi”, co miało znaczyć, że nawet jeśli nie zdamy, to i tak możemy się przyczynić do społecznej modernizacji kraju. Ale wszyscy wiedzieli, że to kłamstwo. Tym, którzy nie zdali, ciężko było znaleźć państwową posadę.

Z początku nie czułem presji, bo nigdy nie miałem problemów z uczeniem się podręczników na pamięć, więc byłem na tyle pewny siebie, że wagarowałem. W styczniu, na pół roku przed egzaminem, zaoferowałem, że co drugi wieczór będę pomagać leżącej w szpitalu matce jednej z moich koleżanek. Wychowawczyni dowiedziała się o tym, kiedy po próbnym egzaminie okazało się, że spadłem na trzecie miejsce w klasie. Zaniepokojona, że nie przyniosę chluby naszej szkole, poszła do Ojca z pretensjami, że nie poświęca mi wystarczająco dużo uwagi. Ojciec zaczął mnie więc staranniej pilnować. W weekendy kazał mi się uczyć w swoim biurze, gdzie nie będą mnie rozpraszać telewizor ani głośne rozmowy Matki. Zamykał mnie od zewnątrz i dopiero po północy przychodził, żeby mnie wypuścić. W końcu potrafiłem recytować z pamięci marksistowską definicję „nadwyżki siły ro-

boczej” oraz teorie wyjaśniające, dlaczego komunizm jest grabarzem kapitalizmu, chociaż ledwo je rozumiałem. Wciąż potrafię wyrecytować kalendarium rewolucji amerykańskiej – od „herbatki bostońskiej” i bitew pod Lexington i Concord aż do Deklaracji Niepodległości oraz uchwalenia konstytucji. Nie wiedziałem, w jaki sposób ta wiedza miałaby ze mnie uczynić lepszego komunistę, a teraz przydaje mi się tylko wtedy, kiedy oglądam programy typu *Milionerzy*.

Na początku parnego lipca 1982 roku podszedłem do egzaminu – wszystkie pytania wymagały odpowiedzi z podręcznika, a ja wszystkie podręczniki miałem wykute na blachę. Kiedy podano wyniki, okazało się, że mam jedną z najlepszych lokat w prowincji. Złożyłem podanie na filologię angielską na Uniwersytecie Fudan w Szanghaju, jednej z najlepszych chińskich uczelni. Jednak wielu krewnych przekonywało rodziców, że nie powinienem wyjeżdżać, ponieważ, jako najstarszy syn, mam obowiązki wobec rodziców i rodzeństwa. Ale Ojciec nie słuchał tych rad.

– Mężczyzna powinien być gotów wybrać się w daleką drogę, żeby osiągnąć w życiu wielkie rzeczy, a potem wrócić, by swymi osiągnięciami wynagrodzić rodzicom ich trudy.

Ojciec uważał, że idzie mi tak dobrze dlatego, że mam błogosławieństwo Dziadka i moich przodków – coś, co traktował bardzo poważnie. Kiedy przyszło zawiadomienie, że zostałem przyjęty, Ojciec z wdzięczności chciał pomalować trumnę kolejną warstwą farby, Matka powiedziała jednak:

– Daj spokój tym zabobonom.

Kiedy byłem nastolatkiem, zawsze marzyłem, żeby uciec jak najdalej od swojej rodziny i od Xi’anu, ale kiedy we wrześniu nadszedł czas wyjazdu do Szanghaju, trudno mi było się pożegnać. Z naszej rodziny tylko Matka była kiedyś w tym mieście, zapamiętała ruchliwe ulice handlowe i jasne światła neonów.

– Dużo młodzieży w Szanghaju tęskni za burżuazyjnym stylem życia, myślą tylko o tym, czy ładnie wyglądają. Ale nie daj się zepsuć. Żyj prosto i skup się na nauce – powiedziała.

Dzięki jednemu ze znajomych ze spisku pogrzebowego Ojciec zarezerwował dla mnie bilet kolejowy, z którym mogłem też siedzieć w mniej zatłoczonym wagonie sypialnym.

– Widzisz, ty też masz jakąś korzyść z tego noworocznego chodzenia po ludziach, nie tylko Babcia – powiedział Ojciec i mrugnął do mnie.

Kiedy pociąg z turkotem zaczął oddalać się od peronu, na którym stali moi rodzice, machając mi na pożegnanie, płakałem jak dziecko. Nigdy w życiu nie czułem się tak bezbronny. W listach do domu pisałem głównie o tym, jak bardzo tęsknię za Xi'anem i za Babcią, aż w końcu Ojciec odpisał mi, żebym lepiej skupił się na nauce. „Przez twoje listy Babcia i Matka tylko płaczą. Nie bądź przesadnie uczuciowy i nie zasmucaj ich. Dla prawdziwego mężczyzny kariera jest ważniejsza niż rodzina. Kup sobie miskę klusek. Kluski dają krzepę".

Posłuchałem jego rad, przestałem pisać listy, i gdy jesień przeszła w zimę, Babcia nie była już tak obecna w mojej pamięci, a wielkie miasto Szanghaj zaczęło pochłaniać mnie coraz bardziej – przywykłem nawet do smaku tamtejszej wody, w której wyraźnie czuć było chlor, co z początku wydawało mi się obrzydliwe.

Na pierwszym roku studiów starałem się spełnić oczekiwania Ojca i mieć najlepsze oceny ze wszystkich zajęć. Działałem też w Lidze Młodzieży Komunistycznej. Po niedługim czasie sekretarz komórki partyjnej na moim wydziale odbył ze mną długą rozmowę, zachęcając, bym złożył podanie o przyjęcie do Partii. Powiedział, że Partia zabiega o młodych ludzi, którzy są zarazem czerwoni (aktywni politycznie) i mądrzy (solidnie wykształceni). Ojca ucieszyła ta wiadomość, przestrzegał mnie jednak, żebym nie poświęcał zbyt dużo czasu polityce, bo, jak zaznaczył, łaska pańska na pstrym koniu jeździ. Radził mi w liście: „Kiedyś w kampaniach politycznych z intelektualistów zawsze robiono kozły ofiarne. Lepiej uważaj". Ale moje zainteresowanie Partią nie trwało długo. Kiedy zaczął się drugi semestr, pochłonął mnie zupełnie inny zestaw nowych idei, które wydały mi się wyzwalające.

Na początku lat osiemdziesiątych dzięki rządowej polityce otwartych drzwi Uniwersytet Fudan stał się ogniskiem dyskusji na temat zakazanych przez lata zachodnich idei politycznych i filozoficznych; nastał chiński odpowiednik *głasnosti*. Wielu ośmielonych tym intelektualistów krytykowało brutalność rewolucji kulturalnej, domagało się od rządu weryfikacji adekwatności marksizmu do chińskich realiów i wzywało do szacunku dla człowieka i jego godności w socjalizmie. Na uniwersytecie komunizm zaczął tracić popularność, a studenci zwrócili się ku zachodnim filozofom, takim jak Nietzsche i Sartre. Po śmierci Sartre'a w 1980 roku w środowiskach akademickich przełożono na chiński wiele jego esejów i sztuk. Kiedy

przyjechałem studiować do Szanghaju, Sartre zyskał status gwiazdy pop. Jeśli jakiś student nie czytał o egzystencjalizmie albo nie miał egzemplarza wydanego po chińsku zbioru dzieł Sartre'a, był uważany za niedouczonego frajera. Kiedy się tylko dało, wtrącaliśmy do rozmowy cytaty z Nietzschego („Bóg umarł") albo z Dostojewskiego („Jeśli Boga nie ma, wszystko jest dozwolone"), na tej samej zasadzie, jak podczas rewolucji kulturalnej czerwonogwardziści cytowali Mao. W salach wypełnionych po brzegi studentami słuchałem wykładów na temat Sartre'a i Nietzschego, organizowanych przez wydział filozofii, który powinien był raczej skupiać się na marksizmie. By uniknąć cenzury, wykłady odbywały się pod hasłem „Krytyczne spojrzenie na zachodnie filozofie drogą do głębszego rozumienia marksizmu", chociaż profesorowie również byli gorącymi zwolennikami Sartre'a. Z początku uciekałem ze swoich zwykłych zajęć i przychodziłem na wykłady z egzystencjalizmu tylko po to, żeby koledzy traktowali mnie poważnie. Ale bliżej końca semestru wiele z egzystencjalistycznych poglądów i pojęć, takich jak „wola mocy" Nietzschego i Sartre'owska „egzystencja autentyczna", zaczęło przemawiać do mnie coraz bardziej, chociaż tak naprawdę wciąż nie do końca je rozumiałem. Nagle wszystko to, czego uczyli mnie Ojciec i nauczyciele w liceum – synowskie oddanie, posłuszeństwo, lojalność wobec Partii, staranie się o jak najlepsze stopnie – zaczęło mi się wydawać przestarzałe i bez znaczenia dla mojej przyszłości. Pragnąłem wolności od wojskowych rygorów życia. Czułem, że już jestem gotów, by dokonywać własnych wyborów, działać samodzielnie, a nie tylko zgodnie z tym, czego żądają ode mnie rodzina czy państwo.

Upojony tymi egzystencjalistycznymi ideami, znielubiłem listy od Ojca, w których wciąż udzielał mi staroświeckich rad – skup się na studiach, nie mów przy ludziach, co myślisz, i nie umawiaj się z dziewczynami, dopóki nie zrobisz dyplomu. W jednym ze swoich listów Ojciec wspomniał o trumnie, którą planował usunąć z mieszkania, ponieważ napawała Babcię coraz większym lękiem przed śmiercią. Przypadkiem akurat obejrzałem nową adaptację znanej chińskiej sztuki *Człowiek z Pekinu*, przedstawiającej historię podupadłej rodziny arystokratycznej w Pekinie na początku XX wieku. Na scenie przez cały czas stała trumna, podobna do trumny Babci, przygotowana dla nestora rodu. Człowiek ten, uczony były urzędnik, ostatnie dni swego życia spędzał, wspominając pełną luksusów przeszłość, chociaż jego rodzina pogrążała się w chaosie i groziło jej bankructwo. Jedyną jego pocie-

chą była trumna, którą co roku pokrywał nową warstwą farby, wierząc, że im więcej razy ją pomaluje, tym lepsze życie czeka go na drugim świecie. Sztuka dała mi doskonały pretekst, żeby porozmawiać z Ojcem o trumnie Babci i oświecić go w kwestii moich świeżo nabytych poglądów filozoficznych. W liście do domu napisałem o *Człowieku z Pekinu*, nazywając trumnę z przedstawienia symbolem dławiących i zabójczych „feudalnych wartości moralnych i kulturowych". Porównałem obsesję Ojca do obsesji tamtego nestora rodu, nieświadomego zmian zachodzących na świecie. Następnie oświadczyłem, że nie interesują mnie już ani trumna Babci, ani jej znaczenie symboliczne. Chciałem żyć własnym życiem. Potem uraczyłem go hojnie tym, czego dowiedziałem się o Nietzschem – o trzech etapach rozwoju ducha. Powiedziałem, że chcę być wielbłądem, wchłaniać wiedzę, pytania i cierpienia życia. Chciałem mieć siłę jak lew, by pokonać strach, niewiarę w siebie i przeciwności, a potem zacząć wszystko od początku, jak nowo narodzone dziecko, wolne od ograniczeń i trosk.

Czekałem niespokojnie na odpowiedź Ojca. Minęły cztery miesiące, ale nie nadeszła. Tydzień przed wakacjami letnimi Ojciec wreszcie przysłał mi krótki list oraz pieniądze na bilet. Ton listu odebrałem jako sarkastyczny:

> *Widzę, że robi się z ciebie wyrafinowany intelektualista. Tego, co piszesz na temat sensu życia, nie jestem w stanie pojąć. Jak mówił Przewodniczący Mao: im więcej ktoś czyta książek, tym większym staje się reakcjonistą. Być może miał rację. Rozumiem, że chcesz być wolny, ale gdy w Chinach ktoś domaga się zbyt dużej wolności, może skończyć w więzieniu. Proszę cię, skup się na swoich studiach i nie marnuj czasu na czytanie tych bezużytecznych książek. To nieważne, czy chcesz być wielbłądem, czy lwem, i tak musisz być posłuszny regułom panującym w społeczeństwie. Jeśli nie będziesz ostrożny, władza rozdepcze cię jak robaka. Przyjeżdżaj do domu. Babcia za tobą tęskni.*

Miałem ochotę odpisać mu w ostrych słowach, ale ponieważ zdałem sobie sprawę, że potrzebuję pieniędzy na podróż, w którą się wybierałem tego lata, dałem spokój. Podczas moich wakacji w domu Ojciec nie wspomniał słowem ani o Sartrze, ani o trumnie. Pewnego dnia przyszli do mnie znajomi i wśród śmiechów i żartów rozmawialiśmy o polityce, zwłaszcza o najnowszej plotce, jakoby Przewodniczący Mao prowadził rozwiązłe życie. Jeden z moich kolegów, student uniwersytetu w Pekinie, rzucił:

– Stary Mao był zepsutym dyktatorem i wiejskim bandytą. On i Partia zrobili swoje, żeby zrujnować Chiny.

Ojciec usłyszał to zdanie. Zobaczyłem strach na jego twarzy. Kiedy przyjaciele sobie poszli, zamknął okno, jak zawsze, kiedy rozmawiał ze mną na jakieś drażliwe politycznie tematy. (Ściany mają uszy, mawiał). Potem powiedział, żebym nikomu na uczelni nie powtarzał tych słów o Mao.

– A co w tym ryzykownego? – zapytałem. – Komitet Centralny Partii podważył prawie wszystko, co robił Mao.

– Myślisz sobie, że jak jesteś na studiach, to już wiesz wszystko o życiu – powiedział Ojciec. – Nie masz pojęcia, jak poważne konsekwencje polityczne może mieć takie głupie gadanie. Partia wciąż nazywa Mao wielkim przywódcą. Kto ci dał prawo nazywać go dyktatorem? Przewodniczący Mao może i popełnił sporo błędów, ale wciąż wielu ludzi go szanuje. W naszym kraju, jeśli chcesz coś osiągnąć, lepiej naucz się trzymać język za zębami.

Gardziłem tym jego brakiem kręgosłupa.

– Czasy się zmieniają. Tylko tacy uparci starzy ludzie jak ty wciąż się boją i pozostają wierni Partii.

Ugryzłem się w język, by nie rzec „starzy durnie”.

Po tych słowach wyszedłem. Kiedy tego wieczoru wróciłem do domu, Matka wzięła mnie na stronę i wyszeptała, że po moim wyjściu Ojciec płakał.

– Jesteś jak pisklak, co myśli, że już obrósł w piórka – pouczała mnie. – To smutne, że tak nami gardzisz.

Zachowałem się bezdusznie: nigdy nie przeprosiłem Ojca za to, co wtedy powiedziałem.

Wydarzenia z jesieni 1983 roku dowiodły, że Ojciec miał rację. Władza przykręciła śrubę i rozpoczęła „kampanię przeciwko skażeniu dusz”, by powstrzymać rozpowszechnianie się zgniłych zachodnich idei liberalnych, które jej zdaniem podważały zwierzchnictwo Partii i zwodziły młodzież na manowce. Przywódcy partyjni winą za rosnące wskaźniki przestępczości obarczyli wpływ radykalnego burżuazyjnego indywidualizmu oraz zachodnie naleciałości, takie jak pornografia, zachodnie fryzury i stroje. W efekcie zakazano czytania Sartre’a i Nietzschego. Wielu autorów i uczonych o wolnomyślicielskich poglądach zostało potępionych. Dowiedziałem się, że w Xi’anie młodych ludzi, którzy urządzali prywatki i pożyczali sobie filmy pornograficzne, wysyłano do obozów pracy.

Wielką ulgą dla Ojca było to, że kampania ta nie odcisnęła się zanadto na środowisku studenckim Fudanu. Żałowałem swoich wcześniejszych wybuchów w domu, ale byłem zbyt dumny, żeby przyznać Ojcu rację. Na szczęście kampania nie potrwała długo. Wielu członków Partii o umiarkowanych poglądach, którzy dużo wycierpieli w czasach Mao i obawiali się kolejnej rewolucji kulturalnej, apelowało do Deng Xiaopinga, by ograniczył zasięg tej kampanii. Latem 1984 roku działania Partii mające na celu wyeliminowanie skażenia duchowego stopniowo wyhamowały. Tymczasem we mnie także opadło zainteresowanie egzystencjalizmem. Jednak idee wolności i wyboru pozostały w moim umyśle. Czułem, że znalazłem sposób, by iść własną drogą.

Wiatr z Zachodu

Ściskając plastikową torebkę, kuliłem się na jednym z tylnych foteli boeinga 797, gdy samolot z charkotem silnika leciał przez mgłę nad Londynem. Zamknąłem oczy, próbując uspokoić żołądek i głowę, pełną zarazem podniecenia i strachu. Po drugim roku studiów wysłano mnie do Wielkiej Brytanii, żebym tam studiował i uczył się od byłych kolonialistów, którzy, po trzydziestoletniej izolacji Chin, byli teraz naszymi przyjaciółmi i wzorami modernizacji. Mieliśmy doskonalić angielski, a potem wykorzystać zdobyte tam umiejętności, by budować dostatnie Chiny. Jeszcze w latach siedemdziesiątych dyrektor mojego liceum mówił, że znajomość języków obcych to broń przeciwko wrogom; za czasów Deng Xiaopinga, naszego postępowego przywódcy, język stał się narzędziem, które miało nam pomóc ich naśladować.

Kiedy w roku 1980 po raz pierwszy czytałem Szekspira, myślałem, że fraza „Być albo nie być” pochodzi z wypisów z Konfucjusza. Moje wcześniejsze próby poznania dzieł angielskiego dramaturga udaremnił kwiecisty, archaiczny styl pochodzącego z lat trzydziestych przekładu na chiński, który znalazłem w szkolnej bibliotece. Na szczęście w kinie w Xi’anie leciał akurat *Hamlet* Laurence’a Oliviera – dialogi podkładał słynny chiński aktor Sun Diaolin – i wtedy udało mi się tę historię do czegoś dopasować: przypominała mi jedną z opowieści Ojca o krwawych walkach o władzę na chińskim dworze cesarskim. Nie miałem pojęcia, że cudzoziemcy też wierzą w duchy. Szekspir to była poezja. Kiedy stary Poloniusz radzi: „Niestosownej / myśli nie zmieniaj w słowo ani w czyn. […] / Wysłuchaj każdego, mów do niewielu. / Wobec innych bądź / krytyczny, lecz ich głośno nie krytykuj”, czułem się, jakbym słyszał mego Ojca. Teraz już łatwiej mi było to zrozumieć, jeszcze raz wypożyczyłem więc *Hamleta* i czytałem go tak często, że mogłem dziewczynom z mojej grupy recytować z pamięci: „Kocha-

łem / Ofelię. Niechaj czterdzieści tysięcy / braci połączy serca – suma uczuć wciąż będzie mniejsza od mojej miłości”[6].

Ojciec nie bardzo mógł pojąć, w jaki sposób miałbym przyczynić się do modernizacji Chin, studiując Szekspira.

– Jeśli inżynier studiuje za granicą, to gdy wraca, może wymyślać nowe maszyny, żeby rolnikom łatwiej było zbierać plony, ale na co ci ten cały Szekspir?

Rozumiałem jego nieufność – w Chinach słowa, jakkolwiek byłyby piękne, stanowiły domenę propagandy. Ale w 1984 roku, kiedy bardzo niewielu młodych ludzi miało szansę gdzieś wyjechać, *liuxuesheng*, czyli „student za granicą”, stanowił niesłychany zaszczyt dla rodziny. Ojciec był szczęśliwy. Jego zakład dał mu delegację do Szanghaju, żeby mógł spędzić ze mną tydzień, zanim wyjadę.

Władze próbowały uchronić nas przed czekającym nas szokiem kulturowym poprzez intensywne studia polityczne i kulturowe, tak byśmy nie zdradzili naszej ojczyzny, uciekając na Zachód, i nie przynieśli Chinom wstydu. Trudno było jednak przygotować kogokolwiek na pierwsze spotkanie z papierową serwetką, plastikowymi sztućcami, nieograniczonymi zasobami coca-coli, czy też prostym zachwytem, jaki budzi lot samolotem. Miałem dwadzieścia lat i robiłem rzeczy, o jakich moim rodzicom nawet się nie śniło.

Moje pierwsze wrażenie z Wielkiej Brytanii było takie, że jest tam bardzo zielono; nigdy nie widziałem tyle bujnej trawy i nie mogłem zrozumieć, że rośnie ona tylko po to, żeby mogła zostać skoszona i znów wyrosnąć, by cieszyć oko. Dorastałem w pustynnym północno-zachodnim rejonie Chin, a potem mieszkałem w zanieczyszczonym, zatłoczonym Szanghaju. W Chinach teren niezabudowany i niezajęty pod uprawę był po prostu gołą ziemią. Cała moja wiedza o Londynie opierała się na powieściach rewolucyjnego pisarza z nurtu realizmu Karola Dickensa. Spodziewałem się, że zobaczę Olivera Twista, uganiającego się z grupą uliczników po ulicach okolonych dymiącymi kominami.

Przypomniałem sobie pierwszą podróż Ojca do Szanghaju: wysokie budynki i neony zrobiły na nim wielkie wrażenie i w żartach nazwał go zgniłym kapitalistycznym miastem. W zestawieniu z Londynem Szanghaj był jak brzydkie kaczątko.

Mój umysł był zdolny przywyknąć do konfliktu między postrzeganiem a rzeczywistością, był jednak zupełnie nieprzygotowany na pierwszą wizytę w supermarkecie, sklepie sieci Morrisons w Leeds. Kiedy byłem dzieckiem, wciąż kładziono nam do głowy, że Chiny to bogaty kraj i że powinniśmy współczuć biednym, uciśnionym masom na Zachodzie. Ale tutaj, gdy przebiegałem wzrokiem kolejne alejki wypełnione towarami w opakowaniach we wszystkich kolorach tęczy, zobaczyłem tyle jedzenia, że niemal mnie to obezwładniło. Paczki z surowym kurczakiem, już pokrojonym na kawałki, wołowina, jagnięcina i baranina, wieprzowina, warzywa wszelkiego rodzaju, napoje w puszkach, butelkach i kartonach. W dziale z ciastkami stanąłem jak wryty: tyle miały kształtów, rozmiarów i kolorów. Przypomniałem sobie, jak w dzieciństwie ktoś mi opowiadał o turystach z Zachodu, których zabrano do restauracji w Pekinie, gdzie podano im kaczkę po pekińsku i białe pszenne bułeczki. Żeby się odwdzięczyć, goście wyciągnęli trochę suchego ciemnego chleba i wręczyli go gospodarzom w podarunku. Nasi przywódcy grzecznie przyjęli prezent, po czym wyrzucili go do śmieci. W nowych Chinach ludzie nie jedli już ciemnego chleba, strawy biedaków. Stać nas było na duże białe bułki, ale musieliśmy oszczędzać pieniądze, żeby pomagać biednym na Zachodzie. W liście do Ojca napisałem, że ludzie tutaj płacą więcej za ciemny chleb niż za biały, bo jest lepszy i zdrowszy.

Początek lat osiemdziesiątych nie był łatwy dla Wielkiej Brytanii. Brytyjscy górnicy pod wodzą Arthura Scargilla strajkowali z powodu zamykania kopalni. Trwający cały rok strajk bardzo podzielił studentów na uniwersytecie, który mnie przyjął. Niektórzy rozwieszali plakaty antyrządowe i organizowali wiece poparcia dla górników. Inni z kolei zrywali plakaty i urządzali demonstracje przeciwko władzy związków zawodowych. Na ścianie w kuchni w moim mieszkaniu wisiał wycięty z gazety portret Margaret Thatcher w otoczeniu roznegliżowanych dziewczyn z trzeciej strony „The Sun”, tabloidu należącego do Ruperta Murdocha. Zafascynowany, oglądałem nowy program telewizyjny *Spitting Image*. Był to rodzaj kukiełkowej szopki politycznej, w której wyśmiewano się z brytyjskiego rządu, w tym królowej i premiera, a także wytykano hipokryzję wielu światowych przywódców. Jako obywatel Chin nie zetknąłem się dotychczas z jawnym brakiem szacunku dla przywództwa, ale jako że język zna się naprawdę biegle, dopiero gdy się rozumie dowcipy, delektowałem się tą wolnością. Koledzy

namawiali mnie, żebym przyłączył się do wieców na znak poparcia dla górników, ja jednak bałem się brać udział w tych – antyrządowych w końcu – demonstracjach i wolałem trzymać się z boku. Ale gdy zobaczyłem, że studenci nie ponoszą żadnych konsekwencji, jednak się zaangażowałem. I tym razem poczucie wolności było wręcz rozkoszne.

Ciężko mi szły zajęcia z literatury; w Chinach nie zachęcano nas, byśmy rozwijali umiejętność krytycznego myślenia, mieliśmy za to robić notatki i uczyć się wszystkiego na pamięć. Tymczasem w Wielkiej Brytanii spotykaliśmy się z naszym opiekunem naukowym raz w tygodniu, by rozmawiać o Szekspirze albo o książkach jakiegoś współczesnego pisarza. Potem musieliśmy poczytać coś samodzielnie, zgromadzić materiały i wrócić z esejem na temat tego pisarza albo konkretnej książki. Pisanie szło mi jak po grudzie i zostawiałem je sobie na ostatnią chwilę. Pisałem w nocy, pochłaniając kolejne kubki kawy rozpuszczalnej i męcząc się nad każdym słowem. Pod koniec semestru z literatury angielskiej miałem tylko B+. Tak jakby mało było tego upokorzenia, poległem sromotnie na końcowym egzaminie z języka. Kazano nam napisać wypracowanie o wpływie telewizji na młodzież. Zrobiłem tak, jak uczono mnie w Chinach – spisałem z pamięci artykuł, który nauczyciel omawiał z nami na zajęciach. Dumny ze swojej niezwykłej zdolności zapamiętywania, spodziewałem się dobrej oceny. Ale kiedy podano wyniki, odkryłem ze zdumieniem, że dostałem tylko F, po raz pierwszy w życiu. Było mi tak wstyd, że nie chciałem się do tego przyznać Ojcu. Na szczęście nigdy nie pytał mnie o wyniki na studiach. Ojciec słyszał historie o chińskich artystach i naukowcach, którzy wykorzystali wizyty za granicą, by uciec na Zachód. Bał się więc, że jego najstarszego syna pochłonie to, co władze nazywały „zgniłym światem kapitalizmu”, zwłaszcza kiedy zacząłem słać entuzjastyczne opisy tego, co zobaczyłem w Wielkiej Brytanii. Tak naprawdę myśl o ucieczce nigdy nie przeszła mi przez głowę. Napisałem Ojcu, że trudno byłoby chińskiemu studentowi znaleźć pracę i przetrwać w pogrążonej w recesji Wielkiej Brytanii. Ale jego to nie przekonało. Cytując popularne chińskie przysłowie, przekonywał mnie, bym nie zdradzał ojczyzny: „Syn nigdy nie wyrzeka się matki tylko dlatego, że jest brzydka i biedna – pisał. – Poza tym Babcia bardzo za tobą tęskni”.

Kiedy przyszła zima, ja też zacząłem tęsknić za Babcią. Przed Bożym Narodzeniem nasz wykładowca kazał nam przeczytać Biblię jako wielkie

dzieło literatury, ponieważ wiele z naszych lektur zawierało odniesienia biblijne. Opowieści biblijne były dla mnie fascynujące. Byłem na wielu niedzielnych nabożeństwach w kościele anglikańskim; chrześcijańska koncepcja nieba, do którego trafia się po śmierci, wydawała mi się kojąca. Myślałem, że gdyby Babcia przeszła na chrześcijaństwo, przestałaby tak bardzo bać się śmierci.

Święta spędziłem u pewnego małżeństwa w Oksfordzie; oboje pracowali jako wykładowcy. Byli w wieku moich rodziców i mieli dwoje dzieci. Przy stole toczyły się ożywione dyskusje o polityce, a rodzice pozwalali dzieciom wyrażać swoje zdanie, co u nas w domu byłoby nie do pomyślenia. Sądzę, że mój ojciec bałby się odezwać w prowadzonej tak swobodnie rozmowie. Moi gospodarze lubili spacery, chodziłem więc razem z nimi. Trzymali się wtedy za ręce, co jakiś czas całowali czule albo przytulali do siebie, gdy zmarzli. Myślałem wtedy o swoich rodzicach, którzy nigdy w żaden sposób nie okazywali sobie bliskości. W Chinach małżeństwo było tylko komórką społeczną służącą opiece nad starszymi i wychowywaniu dzieci.

Chociaż jeszcze w domu często wyrażałem sceptycyzm wobec ideologii komunistycznej, a tutaj w uniwersyteckiej bibliotece gorliwie czytałem wiele zakazanych przez władze książek i czasopism napisanych przez dysydentów za granicą, przy moich brytyjskich kolegach i znajomych zrobił się ze mnie nacjonalista. Lata partyjnej indoktrynacji nie dały się tak łatwo wymazać. Przy kolacji, na imprezach czy podczas jakichkolwiek spotkań towarzyskich żarliwie broniłem Chin i komunizmu w konfrontacji z czymś, co wydawało mi się aroganckimi i pełnymi uprzedzeń poglądami brytyjskich kolonialistów. Kiedy córka bogatego brytyjskiego biznesmena z Hongkongu wzięła udział w demonstracjach przeciwko podjętej w 1984 roku przez rząd brytyjski decyzji, że w 1997 roku Hongkong wróci do Chin, zapomniałem o radach Ojca i zacząłem się z nią głośno spierać. Powiedziała, że zwykli mieszkańcy Hongkongu, ostatniej kolonii brytyjskiej, są zadowoleni ze *status quo*.

– A skąd ty wiesz, czego chcą zwykli ludzie? – zapytałem. Musiałem być po kieliszku wina, albo i dwóch, bo rzadko bywałem taki odważny. – Wy, bogaci kapitaliści, żyjecie w bogatych zamkniętych dzielnicach, ponad masami. Jakie masz prawo, żeby mówić w imieniu zwykłych ludzi z Hongkongu?

Niektórzy z moich kolegów przyklasnęli, inni się nie odzywali. Kiedy w czerwcu 1989 roku na plac Tiananmen władze wysłały wojsko, moje wcześniejsze nacjonalistyczne stanowisko w kwestii przekazania Hongkongu zmieniło się; zacząłem się martwić, czy powrót pod kuratelę Chin nie zagrozi swobodom obywatelskim na wyspie.

Podczas pobytu w Wielkiej Brytanii moje poglądy często stawiały mnie w niezręcznej sytuacji. Jako komendant Ligi Młodzieży Komunistycznej zostałem szefem naszej małej grupki, co sprowadzało się do tego, że musiałem w imieniu wszystkich moich kolegów dziękować za każdy przejaw hojności czy uprzejmości. Wszyscy myśleliśmy o sobie jako o reprezentantach Chin, nie jako jednostkach. Kiedy jeden z członków grupy chciał zwrócić do sklepu aparat, który kupił dwa tygodnie wcześniej, tak bardzo się martwił, że kierownik jeszcze źle sobie pomyśli o Chińczykach, iż udawał Japończyka, chociaż z paragonu wynikało jasno, że jak najbardziej ma prawo do zwrotu towaru. Kiedy z kolei jeden z naszych studentów upił się i zrobił z siebie durnia na imprezie, pozostali obudzili mnie, przekonując, bym go stamtąd wyciągnął, żeby „nie przynosił Chińczykom wstydu”. Poszedłem więc i przeprosiłem w jego imieniu, ale ludzie tylko popatrzyli na mnie zdziwieni, a kilka osób powiedziało:

– No coś ty, przecież on się świetnie bawi.

Zastanawiam się czasem nad tym, jak bardzo byłem niewinny i jak musieli postrzegać mnie inni – być może jako komunistycznego szpiega.

Znajomi Anglicy zabrali mnie do kina na film *1984* z Johnem Hurtem i Richardem Burtonem. Uznałem go za kolejny przykład zachodniej propagandy antykomunistycznej – bardzo mi się nie podobał. Kiedy dwadzieścia lat później przeczytałem klasyczną powieść George’a Orwella, uderzyło mnie, jak bardzo jest aktualna i ważna oraz – jako że ukazała się w roku 1949, akurat kiedy partia komunistyczna przejęła władzę w Chinach – jak bardzo proroczy obraz rządów totalitarnych stanowi.

Kiedy w 1985 roku wróciłem do Szanghaju, napisałem raport do władz wydziału, a przede wszystkim do Partii, wychwalając wybitną kulturę kraju, który mnie gościł, obfitość wszelkich dóbr i nowoczesne technologie. Zarazem jednak krytykowałem dysproporcje między bogatymi i biednymi; uznałem, że duża liczba punków – których wpływ jest wciąż wyraźny – to skutek zgniłego burżuazyjnego stylu życia; wykorzystałem też konflikty w Irlandii Północnej, by uzasadnić kontrolę Chin nad Tybetem. Nie wspo-

mniałem ani słowem o swobodzie politycznej, społecznej i kulturalnej, przemilczałem też to, jak bardzo tęsknię za dniem, kiedy w chińskiej telewizji będzie można pokazywać programy, w których strojono by sobie żarty z naszych przywódców, bez ryzyka, że ktoś trafi do więzienia albo zostanie rozstrzelany.

Ojciec bardzo się cieszył, że nie uciekłem na Zachód, z ulgą też przekonał się, że wystawienie na zachodnie wpływy nie skaziło mojego umysłu. A jeszcze bardziej dumny był z tego, że udało mi się zaoszczędzić trochę pieniędzy ze stypendium i kupiłem mu japoński kolorowy telewizor, niedostępny dla zwykłych rodzin w Chinach. Babci podarowałem pudełko czekoladek Twix, które przechowywała miesiącami, aż się wszystkie roztopiły. Matce kupiłem sweter, ale kiedy go włożyła, zauważyła niewielką dziurę – kupiłem go na świątecznej wyprzedaży – więc, zawstydzony, powiedziałem, żeby go wyrzuciła. Jednak następnego dnia miała go na sobie i popisywała się przed przyjaciółkami, dyskretnie zasłaniając dziurę.

Kiedy ja studiowałem w Wielkiej Brytanii, moja starsza siostra wyszła za mąż. Teraz, kiedy zgrzebna era Mao była już za nami, rodzice upierali się przy weselu zgodnym z tradycjami kultywowanymi w Henanie, przypominającym swoim przepychem uroczystości pogrzebowe, jakie planowaliśmy dla Babci. Ale ponieważ siostra nie chciała się na to zgodzić, tłumacząc, że należy do Partii, a poza tym wychowała się w Xi’anie, ustaliły z Matką pewien kompromis. Ślub mojej siostry był, jak sama opisała mi w liście, mieszanką prostoty z czasów Mao i „dziwacznych” starych obyczajów.

Ślub miał odbyć się w niedzielę, więc można się było spodziewać, że wszyscy nasi sąsiedzi przyjdą podziwiać orszak weselny. Matka doradziła memu szwagrowi, żeby nie skąpił na prezenty dla rodziny, zażądała też, żeby – co stanowiło rzadki luksus w tamtych czasach – wynajął samochód, którym panna młoda i inni krewni pojechaliby na uroczystość. Nie chciała stracić twarzy wobec sąsiadów.

Tradycja nakazywała, by ślub odbył się przed południem (po południu zawiera się powtórne małżeństwa). Pan młody pojawił się ubrany w granatowy garnitur. Udało mu się wynająć starego, zniszczonego dżipa oraz autobus i – zgodnie ze wskazówkami Matki – demonstracyjnie przyniósł cztery rodzaje prezentów, tak żeby widzieli to sąsiedzi: dwie butelki drogiego alkoholu i dwa kartony dobrych papierosów dla naszej rodziny, chociaż Ojciec nie pił ani nie palił. Oprócz tego kupił także kilogram wołowiny (gdyż

zabrać córkę z domu to jak wyrwać jej matce kawałek ciała) oraz kilogram korzeni lotosu (co jest aluzją do chińskiego powiedzenia związanego z tradycjami weselnymi: „osobne, lecz nadal złączone”). Moje młodsze rodzeństwo zastawiło bramę i schowało siostrze buty. Pan młody musiał dać wykupne w postaci pieniędzy w czerwonych kopertach. W domu pan młody ukląkł przed Babcią i rodzicami, żeby podziękować im za wychowanie córki. Matka zaś, zgodnie z tradycją obowiązującą w Xi’anie, podała mu w miscе cztery jajka ugotowane w koszulkach, doprawione ostrą papryką, cukrem, octem oraz gorzkimi ziołami, co miało symbolizować wszystkie smaki życia: słodki, kwaśny, gorzki i pikantny. Pan młody krzywił się, ale zjadł to wszystko na znak, że jest gotów spróbować wszystkich smaków życia z moją siostrą. Potem Matka dyskretnie wsunęła siostrze do ręki czerwoną kopertę, w której były wszystkie pieniądze, jakie rodzina dostała od narzeczonego, mówiąc, żeby zachowała je na czarną godzinę.

Pan młody „porwał” oblubienicę, ubraną w czerwoną poliestrową suknię, i odjechał z nią dżipem. Przyjaciele i krewni pojechali autobusem na uroczystość, którą miał poprowadzić sekretarz Partii z zakładu szwagra. Para złożyła ukłon przed rodzicami i urzędnikami partyjnymi, po czym ślubowała być „zgodnym rewolucyjnym małżeństwem”. Potem było wesele, za które zapłaciła rodzina pana młodego.

Pod koniec wieczoru nowożeńcy mogli odetchnąć z ulgą: wszystko poszło gładko, ani Matka, ani Babcia nie miały o nic pretensji. W łóżku znaleźli orzeszki ziemne i daktyle, symbolizujące rychłe narodziny synów i córek. Ponieważ już wtedy obowiązywała polityka jednego dziecka, były to pobożne życzenia, ale siostra nie zawiodła rodziców. Niedługo po moim powrocie z Anglii urodziła synka.

Świat szybko się zmieniał. W nowej epoce znajomość angielskiego stała się cenną umiejętnością, również w Xi’anie, który pod koniec lat siedemdziesiątych zaczął się otwierać na turystów. Z początku przybysze z Zachodu musieli się zatrzymywać w kilku wyznaczonych przez władze hotelach, takich jak Hotel Ludowy, budynek z kopułą w stylu radzieckim, wzniesiony w latach pięćdziesiątych. Turystom wolno było zwiedzać tylko określone miejsca: armię terakotową, szkołę pełną „radosnych” dzieci, tańczących i śpiewających rewolucyjne pieśni, oraz „sklepy przyjaźni”, gdzie mogli kupić jedwab, kilimy oraz tradycyjną ceramikę, z potężną marżą i ceną podaną w „bonach wymiany zagranicznej”. Każde dziecko, które zobaczyłoby

cudzoziemca chodzącego bocznymi uliczkami i robiącego zdjęcia, miało donosić władzom. Tłumaczono nam, że ludzie z Zachodu chcą opowiadać kłamstwa o Chinach. Ale mimo to potajemnie kręciłem się w pobliżu Hotelu Ludowego i próbowałem zaczepiać turystów, żeby ćwiczyć angielski. Za każdym razem, kiedy udawało mi się nawiązać z kimś rozmowę, otaczał nas tłumek gapiów, z których większość nigdy jeszcze nie słyszała tego dziwnego języka. Wkrótce ktoś doniósł do szkoły, że jeden z moich kolegów przyjmuje od obcych prezenty i że poprosił jakiegoś Japończyka, aby kupił mu dla ojca zagraniczne papierosy w sklepie przyjaźni. Zakazano nam więc zbliżać się do Hotelu Ludowego, bo przynieśliśmy wstyd władzom, prosząc cudzoziemców o papierosy.

Na początku lat osiemdziesiątych ludzie zdążyli się już oswoić z obecnością zagranicznych turystów. Zadawanie się z nimi przestano uważać za niebezpieczne, więc osoby przedsiębiorcze mogły to na różne sposoby wykorzystać. Ojciec pozostał ostrożny, jak zwykle, kiedy w Chinach następowało jakieś odprężenie.

– Jeśli wiatr zmieni kierunek, twoje powiązania z cudzoziemcami zrujnują karierę polityczną twojemu rodzeństwu – przestrzegał.

Latem 1985 roku pewna Angielka, która uczyła na moim uniwersytecie, chciała pojechać ze mną do Xi’anu, żeby zobaczyć, „jak żyją zwykli ludzie”. Ojciec, po długich namowach, porozmawiał z sekretarzem Partii, który zaczął się martwić, że dość marne warunki panujące na naszym osiedlu mogą nadszarpnąć świetlany wizerunek nowych socjalistycznych Chin. Poradził mi, żebym zabrał swoją wykładowczynię do eleganckiej restauracji w centrum, więc okłamałem go i powiedziałem, że Angielka tak naprawdę chciałaby zobaczyć fabrykę, ponieważ interesują ją socjalistyczne metody produkcji. Sekretarz kupił to i kazał posprzątać we wszystkich warsztatach, pomalować ściany, a przy wejściu powiesić wielki transparent głoszący: „Powitajmy i ugośćmy zagranicznych przyjaciół w naszym zakładzie pracy”. Moją rodzinę przeniesiono tymczasowo do dużego mieszkania w nowo wybudowanym budynku, a jeden z naszych nowych sąsiadów, który był kucharzem, przyszedł do nas, żeby ugotować wystawny posiłek. Sekretarz Partii i jacyś ludzie, których ledwo znałem, oprowadzili moją wykładowczynię po zakładzie. Z grzeczności udawała zainteresowanie i zadawała wiele pytań; gospodarze byli zachwyceni.

Matce spodobało się nowe lokum i nie chciała się wyprowadzić, dopóki zakład pracy nie znajdzie dla nas czegoś większego niż nasze dotychczasowe mieszkanie. Zakładowa komisja mieszkaniowa odrzuciła jej podanie, ale ona się nie poddawała. Zauważyła, że wielu naszych sąsiadów dostało nowe mieszkania dzięki temu, że gościli u siebie, obficie karmiąc i pojąc, głównych członków komisji mieszkaniowej, uznała więc, że też moglibyśmy tak zrobić. Ojciec jednak nie chciał brać w tym udziału, tłumacząc, że przecież nie pije i nie umiałby zabawiać tych oficjeli, w większości niezłych pijaków. Matka zaproponowała, żebym towarzyszył Ojcu przy stole. Tak długo się upierała, aż w końcu ustąpił i obiecał zaprosić swego kierownika i ludzi z komisji tydzień po księżycowym Nowym Roku. Matka wydała majątek na alkohole i mięso. Zastawiła stół, a Ojciec przyprowadził sześciu gości – wszyscy byli jego kolegami, lecz żaden z nich nie miał żadnego związku z mieszkalnictwem. Matka zbladła jak ściana.

– Próbowałem zaprosić kierownika i innych urzędników z zakładu, ale żaden nie mógł. Nie chciałem, żeby twoje wysiłki poszły na marne – wyjaśnił jej Ojciec, kiedy zaciągnęła go do kuchni. – Poza tym to znajomi, którzy obiecali nam pomóc z pogrzebem.

Matka prawie zaczęła na niego krzyczeć:

– Jedyne, o czym pamiętasz, to pogrzeb twojej matki! Wygląda na to, że do końca życia będziemy mieszkać w tym chlewie!

Widząc, że nie może liczyć na Ojca, wzięła sprawy w swoje ręce i zaczęła nachodzić kolejnych członków komisji mieszkaniowej, aż zaczęli unikać jej niczym zarazy. Jednak jej uparte zabiegi odniosły skutek: wiosną 1985 roku przydzielono nam dwupokojowe mieszkanie na pierwszym piętrze, w budynku z kanalizacją. Nocnik Babci, niegdyś co wieczór wynoszony z honorami do wspólnego wychodka, trafił na śmietnik. W nowym mieszkaniu nie było za to gdzie wstawić trumny. Ojciec, który nie kiwnął palcem podczas kampanii mieszkaniowej Matki, zrehabilitował się teraz, przenosząc trumnę w jakiś zapomniany zakamarek magazynu w swoim zakładzie, gdzie ukrył ją za stosami cegieł. Babcia przyklasnęła temu pomysłowi, mówiąc, że nie musi się jej codziennie przypominać o pogrzebie.

W 1986 roku skończyłem studia i zostałem zatrudniony przez państwo, które uważało, że skoro zapłaciło za naszą edukację, ma prawo przydzielać absolwentów do pracy, żeby zapewnić sobie zwrot tej inwestycji. Zanim zrobiłem dyplom, zaproponowano mi pracę w charakterze asystenta do

spraw zagranicznych pewnego ważnego przywódcy komunistycznego. Gdyby się okazało, że dobrze sobie radzę, otworzyłoby to przede mną drogę do szybkiej kariery politycznej. Zadzwoniłem po poradę do Ojca, który odpowiedział bez namysłu:

– Nie. Jeśli ten przywódca spadnie ze stołka, ty przepadniesz razem z nim.

Kazał mi odrzucić tę propozycję, co pozostawiało mi tylko jedno wyjście: wrócić do Xi'anu i wykładać na tutejszym uniwersytecie.

Taka postawa miała swoją cenę: dzieci wielu jego kolegów dostały bardziej prestiżowe stanowiska w Pekinie, nie miał więc już czym się chwalić, cieszył się za to, że jestem w domu.

Xi'an był bastionem konserwatyzmu – rządziło tu wielu weteranów rewolucji z czasów Mao – zaskoczyło mnie więc, kiedy w 1986 roku okazało się jednym z pierwszych regionów w głębi kraju, które poddały się nurtowi ogarniających Chiny przemian gospodarczych i politycznych. Ludzie mieli obsesję na punkcie *zuo shengyi*, „robienia interesów", albo, jak tłumaczył to mój Ojciec, „spekulacji i machlojek". Dla niego był to nadal dawny czarny rynek, tylko przemalowany na szaro. Matka zasypywała mnie opowieściami o sąsiadach, którzy zrobili majątek, angażując się w nowe kapitalistyczne przedsięwzięcia: młodszy syn pana Hou pojechał do Kantonu na południu i przywiózł stamtąd kilkaset telewizorów kolorowych oraz lodówek, które następnie sprzedał sklepom detalicznym w Xi'anie. Jego matka nosiła teraz biżuterię z dwudziestoczterokaratowego złota i bez przerwy przechwalała się synem. Ojciec się wtrącił:

– Jeśli ludzie tylko handlują, kto to wszystko produkuje?

Ale Matka go zignorowała. Krewna Ojca sprzedawała pierożki i makaron w dzielnicy czerwonych latarni – było to tętniące życiem centrum nocnych rozrywek i handlu, gdzie można było dostać wszelkiego rodzaju lokalne przysmaki.

– Twój ojciec jest głupi i uparty jak osioł – skarżyła się Matka. – Do niczego się nie weźmie.

Podobnie jak podczas pieriestrojki Michaiła Gorbaczowa w Rosji, Chiny w połowie lat osiemdziesiątych przeprowadziły reformy rynku, rozluźniając kontrolę cen żywności i produktów rolnych. Spowodowało to wiele problemów.

– Idziesz rano i pomidory kosztują dwadzieścia fenów za kilogram – opowiadała Matka. – Wracasz po południu i kosztują już trzydzieści. Co to ma być za porządek?

Przypomniała Ojcu, że komuniści potępiali inflację szalejącą za czasów nacjonalistycznych rządów w latach czterdziestych. A kto teraz napędza inflację? Ojciec powiedział, żeby nie narzekała, ale wiem, że podzielał jej opinię.

Nagle wszyscy zajmowali się biznesem, ponieważ Deng Xiaoping powiedział: „Bogacenie się przynosi chwałę” – to znaczy wszyscy oprócz mego brata. Jeden z moich dawnych kolegów ze szkoły rzucił pracę w fabryce Ojca i teraz jeździł do miast na wybrzeżu, żeby kupować tam modne ubrania, które potem sprzedawał na rynku w centrum Xi’anu. Wyraźnie miał do tego smykałkę. Zaproponował mojemu bratu spółkę, ale wtedy zainterweniował Ojciec, grożąc, że go wydziedziczy.

– Nie waż się przynosić wstydu rodzinie. Sam nie wiesz, jakie masz szczęście, że masz tę żelazną miskę ryżu[7]. Tych oszustów złapią prędzej czy później.

Mój brat pod koniec lat dziewięćdziesiątych został menedżerem w fabryce Ojca, ale żelazna miska ryżu pękła: kiedy skończyły się dopłaty rządowe, zakład zbankrutował. Teraz brat prowadzi niewielką firmę, ułamek dawnych zakładów, ale wciąż ma pretensje do Ojca, że odebrał mu szansę kierowania własnym życiem.

Dla Ojca był to okres zadowolenia z życia; teraz, kiedy cała czwórka jego dzieci była już samodzielna, mógł nieco odetchnąć. Moja młodsza siostra skończyła szkołę wieczorową i pracowała jako archiwistka, starsza świetnie radziła sobie w pracy, ja byłem wykładowcą i zgarniałem mnóstwo kasy, dorabiając korepetycjami z angielskiego, nawet mój brat, który najczęściej ściągał na siebie niezadowolenie Ojca, przynajmniej miał pracę.

Pogodziłem się z losem i przywykłem do swojej nowej pracy na uczelni pedagogicznej. Większość moich studentów wychowywała się na wsi w północno-zachodniej części kraju i rzadko wyjeżdżała poza swoją prowincję. Patrzyli więc na mnie z podziwem – byłem przecież kimś, kto studiował w Szanghaju i w Anglii – jak na swoje okno na świat. Na zajęciach z wprowadzenia do literatury angielskiej opowiadałem grupie ponad siedemdziesięciorga studentów o Szekspirze, Virginii Woolf, a nawet o George’u Orwellu. Na zajęciach z kultury zachodniej pokazywałem im hollywo-

odzkie filmy, na przykład *Ojca chrzestnego*, i puszczałem symfonie Beethovena. Ale wydziałowy sekretarz komórki partyjnej powiedział, że zanadto odchodzę od programu kursu, i przesunięto mnie do nauczania podstaw angielskiego. Wtedy jednak moi studenci urządzili mały strajk i przywrócono mi zajęcia.

Były to bardzo dobre czasy dla anglistów w całych Chinach, a w X'ianie w szczególności. Wyjątkowa atrakcja turystyczna, jaką stanowiła terakotowa armia, przyciągała do nas tłumy zagranicznych turystów. Miejscowi szybko się zorientowali, że znajomość angielskiego jest niezbędna, żeby wykorzystać tę koniunkturę. Absolwenci liceów, którzy chcieli dostać pracę w jednym z wyrastających jak grzyby po deszczu hoteli, musieli wykazać się co najmniej dwiema cechami: wzrostem minimum metr siedemdziesiąt pięć, co uważano za ważny element dobrego wyglądu, oraz podstawową znajomością angielskiego. Z tym pierwszym nie mogli nic zrobić, ale byli gotowi zapłacić każdą cenę za to drugie. Nawet sprzedawcy w budkach z pamiątkami chcieli lekcji angielskiego, żeby móc mówić: „Tanio, tanio, tylko dziesięć juanów" – za figurkę terakotowego żołnierza. Tysiące studentów przyglądało się uczelniom w Stanach i Europie i rywalizowało o wizy wyjazdowe wydzielane skąpo przez władze. Wielu urzędników rządowych i ludzi na kierowniczych stanowiskach stwierdziło, że angielski stał się koniecznym warunkiem awansu. Szkoły językowe powstawały więc jedna za drugą. Nawet profesorowie i nauczyciele akademiccy, którzy od dawna uważali się za elitę uniwersyteckiej wieży z kości słoniowej, nie mogli się oprzeć pokusie większych zarobków – po niedługim czasie wszyscy, którzy mieli jakiekolwiek kwalifikacje, chałturzyli na boku. Ja, jako absolwent Fudanu, ceniłem się wysoko, ale miałem tylu chętnych, że ciągle opuszczałem środowe zebrania partyjne. Kilka razy zdarzyło mi się spóźnić na swoje zajęcia i dopiero po godzinie zorientować się, że to nie moja grupa.

Lata edukacji komunistycznej stały się podobne do starożytnych przedmiotów w grobowcach chińskich cesarzy w Xi'anie – wystawione zbyt długo na powietrze, rozpadały się na proch. „Twoja wiedza i wysiłek wkładem w modernizacyjne dążenia kraju" zmieniło się w zgarnianie kasy dla siebie. Wpływ Partii osłabł. Tak jak wszyscy w Chinach sumiennie wypełniałem nowy ekonomiczny imperatyw: zarabiaj i bogać się.

Po każdej wypłacie wręczałem Ojcu plik banknotów, żeby dołożył je do pogrzebowego funduszu Babci, wciąż gromadzonego w szufladzie starego biurka.

– Nie mówiłem ci, że masz się uczyć i pójść na studia? – wymawiał Ojciec mojemu bratu. – Bez wykształcenia do niczego nie dojdziesz.

Na co ten za którymś razem odpyskował:

– Przecież ty sam jesteś przodownikiem pracy. Czy Przewodniczący Mao nie mówił, że klasa robotnicza to awangarda rewolucji?

Ojca zatkało. Wiedziałem, że męczy się ze swoją wiarą w Partię. Ja przez dwa miesiące zarabiałem więcej niż on przez rok. Ta dysproporcja była dla niego wstrząsem. Ale nie tylko on czuł się zdradzony przez system. Schował czerwone dyplomy, które dostawał przez lata. Zdjął nawet ze ścian stare portrety Przewodniczącego Mao i premiera Zhou Enlaia.

Coraz bardziej przejmował się za to zdrowiem Babci, która skończyła osiemdziesiąt cztery lata. Jesienią 1986 roku, kiedy zobaczył krew w jej moczu, posadził ją na bagażniku roweru i zawiózł do szpitala. Stwierdzono u niej nowotwór jajników, ale lekarz powiedział, że biorąc pod uwagę jej wiek, guz nie zagraża życiu, a operacja albo chemioterapia uprzykrzy jej tylko ostatnie tygodnie. Doradził więc:

– Zostawmy wszystko w rękach natury.

Przygotowaliśmy się na najgorsze. Po trzech miesiącach nie było widać żadnych zmian fizycznych, ale widzieliśmy, że Babcia traci jasność umysłu. Z bólem patrzyłem, jak ta twarda, ale troskliwa i wrażliwa kobieta na przemian traci i odzyskuje świadomość. Nikt wtedy nie słyszał o chorobie Alzheimera. Ojciec określał jej stan po swojemu:

– Życie to cykl – powiedział. – Babcia opiekowała się wami, kiedy byliście małymi dziećmi. Teraz ona sama jest takim starym dzieckiem i trzeba się nią zająć.

Babcia miała przebłyski świadomości, które wykorzystywała głównie po to, żeby albo zadręczać Ojca swoim lękiem przed śmiercią, albo zamartwiać się, że jeszcze nie mam żony; kiedy wreszcie dam jej prawnuki? Kiedy pewnego popołudnia przyszła do nas w odwiedziny moja koleżanka z dzieciństwa, Babcia znalazła pretekst, żeby usiąść obok niej na kanapie i zlustrować ją od stóp do głów. Kiedy dziewczyna wyszła, Babcia wzięła mnie za rękę i powiedziała:

– Ma dużą, okrągłą twarz i duże oczy. Nadaje się na żonę. Wygląda na to, że mogłaby urodzić dużo dzieci.

Roześmiałem się i skłamałem, że ta dziewczyna jest już mężatką. Kiedy koleżanka przyszła następnego dnia, Babcia nie chciała jej wpuścić.

– Mojego wnuka nie ma w domu – powiedziała i zatrzasnęła jej drzwi przed nosem.

– Dlaczego to zrobiłaś? – zapytałem.

– Skoro nie możesz się z nią ożenić, po co zawracać sobie nią głowę? – odrzekła.

W miarę jak stan umysłu Babci się pogarszał, znikały też ostatnie ślady uprzejmości wobec Matki. Wylewał się z niej strumień skarg, uzasadnionych i nie: że każą jej spać na twardej podłodze (chociaż przespała jak niemowlę całą noc na nowym materacu, który jej kupiłem) albo że Matka zapłaciła stolarzowi, żeby zrobił trumnę zawczasu, bo nie mogła się doczekać, aż Babcia umrze. W jej oczach Matka była „bezduszna” i „podła”, o czym rozpowiadała wszystkim, i krewnym, i obcym, czy chcieli słuchać, czy nie. Bardziej denerwujące było jej przekonanie, że Matka próbuje ukraść mnie, jej najstarszego wnuka, ostatniego z rodu Huangów. Budziła się w środku nocy, pytając o mnie. Jeśli akurat nocowałem w hotelu dla wykładowców, krzyczała i płakała, przeklinając Matkę, że gdzieś mnie ukryła. Hałas budził sąsiadów, Matka czuła się upokorzona, a Babcia wracała do łóżka jak gdyby nigdy nic i znów zasypiała.

– Łatwo ci mówić – odpowiadała Matka, kiedy prosiłem, żeby zachowała spokój. – Wszyscy sąsiedzi myślą, że jestem złą synową.

W kulturze, w której nigdy nie prało się brudów publicznie, Babcia skarżyła się każdemu, kto tylko przechodził. Wybierała monety ze słoika na drobne i prosiła sąsiadów, żeby kupili jej coś do jedzenia, bo Matka ją głodzi. Córka sąsiadów, nie wiedząc o tym, że umysł Babci jest coraz bardziej zaćmiony, uznała, że znęcamy się nad tą czcigodną starszą panią, i doniosła na Matkę do komitetu sąsiedzkiego, którego Matka była niegdyś przewodniczącą.

Żeby dać Matce odetchnąć, moja siostra zabrała Babcię do siebie. Wszystko było dobrze może przez jeden dzień, ale potem okazało się, że Babcia boi się balkonu, więc siostra wezwała nas, żebyśmy ją zabrali. Kiedy Matka weszła do kuchni, żeby razem z siostrą zrobić obiad, Babcia, krążąca w pobliżu, szepnęła do mnie:

– Tylko przypilnuj, żeby twoja matka nie ukradła niczego twojej siostrze.

Westchnąłem.

W końcu przestała wstawać z łóżka, więc zajmowaliśmy się jej pielęgnacją i praliśmy jej ubrania. Kiedy wywieszałem pranie, sąsiedzi mówili:

– Jaki troskliwy wnuk!

Nigdy nie słyszałem, żeby ktokolwiek pochwalił Matkę.

Ojciec, zasmucony pogarszającym się stanem psychicznym Babci, zaczął dopinać plan pogrzebowy. Przed księżycowym Nowym Rokiem 1988 chciał, żebym razem z nim odwiedził krewnych i znajomych, którzy mieli wziąć udział w całej operacji.

– Skoro Babcia jest w takim stanie, trzeba pójść razem, aby pokazać, że doceniamy ich pomoc – tłumaczył.

Ja jednak zaplanowałem już wcześniej wyjazd ze studentami i powiedziałem mu wprost, że już nie chcę brać udziału w tych wizytach.

Zanim wpadł we wściekłość, zdążyłem wyjść. Kiedy tydzień później wróciłem, Ojciec się do mnie nie odzywał. W głębi duszy cieszyłem się, że nareszcie udało mi się wymigać. Nie wiedziałem tylko, że to jego ostatni Nowy Rok.

Strata

W Nowy Rok 1988 Matka wydziergała dla mnie i dla Ojca czerwone pasy, które miały nas chronić od nieszczęścia. Był to rok Smoka, a my obaj urodziliśmy się w takim właśnie roku. Ponieważ poprzedni rok Smoka, 1976, przyniósł śmierć Mao i straszliwe trzęsienie ziemi, wszyscy byli wyjątkowo niespokojni.

W lutym Ojciec skończył sześćdziesiąt lat. Moja starsza siostra planowała ugotować wymyślny obiad i zaprosić najbliższych krewnych, ale Matka sprzeciwiła się temu pomysłowi, bo jej zdaniem świętowanie jego długowieczności, podczas gdy z Babcią jest coraz gorzej, ściągnęłoby na nas nieszczęście. Zamiast tego po Nowym Roku zabrałem Ojca do Szanghaju. Powiedział mi, że zanim się ożenił, lubił podróżować, ale po ślubie chyba nie zdarzyło mu się wybrać się dokądkolwiek dla przyjemności.

– Wszystkie pieniądze szły na wasze wychowanie i na przygotowania do pogrzebu Babci – powiedział.

Wiosną Ojciec przeżył w pracy ogromny zawód. Od dwóch lat pracował nad systemem ponownego wykorzystania złomu z warsztatów, dzięki czemu fabryka zaoszczędziła dziesiątki tysięcy juanów. Dyrekcja obsypywała go pochwałami za inicjatywę, Ojciec miał dostać awans i podwyżkę. Zamiast tego jednak awansowano pewną kobietę, bliską przyjaciółkę sekretarza Partii, a kierownictwo podzieliło oszczędności między siebie. Ojciec poczuł się dotknięty nie tyle tą „kradzieżą”, ile upokorzeniem.

– Za często się zdarza, że ludzie u władzy wykorzystują swoją pozycję, aby się wzbogacić kosztem tych, którym mają służyć – powiedział.

Aż trudno było uwierzyć, że z jego ust padły tak ostre słowa. Zaczął się też dziwnie zachowywać, chodził po domu, mamrocząc do siebie i prześcigając się z Matką w porównywaniu komunistów do pokonanych nacjonalistów:

– Partia komunistyczna zwyciężyła w Chinach, bo nacjonaliści byli zbyt skorumpowani i stracili poparcie zwykłych ludzi. Ale im dalej idą reformy, tym bardziej upodabniamy się do nacjonalistów.

Próbowałem pomóc mu otrząsnąć się z tego przygnębienia.

– Z powodu tego awansu podnieśliby ci pensję o sześć i pół juana na miesiąc. Nie ma co się przejmować takim ochłapem. Mogę ci dawać co miesiąc trochę więcej pieniędzy, żeby wynagrodzić ci tę stratę.

Ojciec uznał to za arogancję i bardzo się obraził:

– Nic nie rozumiesz. To kwestia zasad.

Czując, że moje dobre chęci spotkały się z zupełnym niezrozumieniem, mruknąłem chiński odpowiednik „nieważne” i na tym skończyliśmy rozmowę.

Ale ja także nie czułem się szczęśliwy w swojej pracy. Bardzo potrzebowałem zmiany i zastanawiałem się, w jakim pójść kierunku. Latem, kiedy pracowałem jako przewodnik wycieczek w hotelu Sheraton w Xi’anie, jakiś Amerykanin dał mi do poczytania książkę w miękkiej okładce i wtedy zrozumiałem, co chciałbym robić. Ta książka to byli *Wszyscy ludzie prezydenta* Boba Woodwarda i Carla Bernsteina. Uczono nas, że Richard Nixon był najwybitniejszym prezydentem Stanów Zjednoczonych. Teraz zaś dowiedziałem się, że wcale tak nie było, że był skorumpowany i że stracił stanowisko za sprawą gazety – wszystko to było bardzo niepokojące i intrygujące. Wbrew temu, czego nas uczono, istniał na świecie system polityczny, w którym dwójka reporterów mogła obalić prezydenta. Zapragnąłem spróbować swoich sił w dziennikarstwie. Na Uniwersytecie Fudan funkcjonowały międzynarodowe studia magisterskie z dziennikarstwa. Podszedłem do egzaminów, a w kwietniu 1988 dostałem wiadomość, że zostałem przyjęty. Podziękowałem Matce za jej czerwony pas.

Z Ojcem za to było coraz gorzej. Jakoś w maju zaczął go męczyć uporczywy kaszel. Nigdy nie palił, co pewnie miało związek z tym, że jeden z jego krewnych był uzależniony od opium i na jego oczach swoim nałogiem doprowadził rodzinę do nędzy. Matka sądziła, że to może być gruźlica, na którą umarł Dziadek i która być może czekała uśpiona w płucach Ojca przez wszystkie te lata. On sam uważał, że to przez gęsty ołowiany pył, który wdychał w pracy. W zakładzie dawano pracownikom maski i rękawice, ale, podobnie jak większość kolegów, rzadko je nosił i sprzedawał je wiejskim szpitalom, żeby trochę dorobić. Kiedy kaszel nie dawał mu

spać, Ojciec potrząsał butelką syropu ziołowego, wypijał łyk i mówił, że nie ma się czym martwić. Przy każdym kolejnym napadzie kaszlu na jego czole perlił się pot. Ale Ojciec nie chciał iść do lekarza, bo bał się, że to rak. Matka powiedziała, że zaczął mieć fobię na punkcie raka, ponieważ kilku jego kolegów poszło do szpitala i już nigdy z niego nie wyszli. Ojciec miał takie podejście: jeśli to rak, to on nie chce o tym wiedzieć. Nawet słowa „rak" nie można było wymawiać u nas w domu, zamiast tego mówiliśmy „ta choroba".

– Czego się boisz? – zapytałem któregoś razu, kiedy atak kaszlu dopadł go przy obiedzie. – Jeśli nawet masz raka, to co? Chyba lepiej dowiedzieć się wcześniej niż później, żeby mogli zacząć cię leczyć?

Ojciec poczerwieniał na twarzy, zaczął się trząść i kazał mi milczeć. To było podłe z mojej strony, żałowałem swoich słów. Odstawił miskę i wyszedł z domu, może żeby przemyśleć sprawę, bo później poprosił, żebym znalazł mu godnego zaufania lekarza. Załatwiłem zastępstwo dla moich uczniów i zabrałem go do szpitala.

Z początku lekarze uznali, że to zapalenie płuc, więc Ojcu ulżyło. Zapisali mu antybiotyki. Mnie też ulżyło i wróciłem do szkoły. Ale tydzień później nie było z nim ani trochę lepiej, więc znów pojechaliśmy do szpitala. Po dalszych badaniach okazało się, że ma w płucach komórki nowotworowe. Zawiozłem go do trzech kolejnych szpitali, z rozpaczliwą nadzieją, że pierwsza diagnoza była błędna. Wyniki jednak się potwierdziły, prognoza także: zaawansowane stadium, operacja nie ma sensu. Lokalna chemioterapia mogła odsunąć w czasie nieuchronne, ale nie byłaby przyjemna. Próbowaliśmy ukryć przed Ojcem tę diagnozę, lecz dowiedział się prawdy, bo podsłuchał, jak lekarz rozmawia o jego przypadku ze stażystą. Cały jego świat legł w gruzach. Na skutek chemioterapii w ciągu kilku tygodni jego twarz przybrała szarawy odcień, straszliwie schudł. Nie mogłem patrzeć, jak cierpi, zwróciłem się więc ku medycynie tradycyjnej w nadziei, że uda się znaleźć jakiś lek. Jeździłem nocnymi pociągami tu i tam, by konsultować się ze specjalistami od leków roślinnych, a potem gotowaliśmy zioła i mieszaliśmy proszki. Przenieśliśmy Ojca do szpitala cieszącego się lepszą opinią, licząc na to, że będzie tam pod troskliwą opieką. Próbowaliśmy wszystkiego, co sugerowali znajomi albo o czym słyszeliśmy, że działa. Matka przyniosła nawet ropuchę zawiniętą w białe płótno i położyła mu ją na piersi – ropucha miała wyssać truciznę z jego płuc. Śmiertelnie bałem się

ropuch i w innych okolicznościach uznałbym ten pomysł za idiotyczny. Ojcu nic to nie pomogło. Na zdjęciach z tamtego okresu wyglądam jak kościotrup. Zapominałem o jedzeniu i prawie nie spałem. W pewnym momencie moja uczelnia przyznała mi nagrodę dla „wzorowego nauczyciela", ale ja nie słyszałem, jak wyczytują moje nazwisko, bo zasnąłem.

Nieobecność Ojca niepokoiła Babcię. Kiedy wracałem ze szpitala, chwytała mnie kurczowo za ręce, pytając, czy Ojciec żyje. Pięć minut później znów łapała mnie za ręce i powtarzała pytanie, tak jakbym chwilę wcześniej nie wrócił do domu i nie powiedział jej ostrożnie tego, co uważałem, że powinna wiedzieć.

We wrześniu powinienem był zacząć studia magisterskie w Szanghaju. Myślałem, że nie pojadę, ponieważ rokowania były niepewne, lecz Ojciec kazał mi jechać.

– Twoja przyszłość jest ważniejsza – powiedział. – Twój sukces przyniesie powodzenie naszej rodzinie.

Wieczorem, kiedy miałem wyjechać, wymknął się z domu, żeby mnie odprowadzić. Tego samego wieczoru dał też Matce klucz do szuflady biurka, gdzie trzymał wszystkie swoje oszczędności i dokumenty.

To były ciekawe czasy dla dziennikarzy. Media próbowały odejść od tradycyjnej roli partyjnej tuby propagandowej i zająć pozycję patrzącego na ręce. Moja uczelnia zaprosiła australijskiego dziennikarza, który miał uczyć moją grupę, przychodzili też do nas na wykłady ludzie ze znanych gazet kierowanych przez zwolenników reform. Ale nie mogłem się skupić na tym wszystkim. Choroba Ojca ciążyła mi na sercu jak kamień. Starałem się być na bieżąco i nadzorować przebieg kolejnych terapii, lecz prognozy się nie zmieniały.

Pewnej nocy obudziłem się, bo miałem okropny sen: przyśniło mi się, że wypadł mi ząb. Mój kolega z pokoju uznał, że to zapowiedź śmierci w rodzinie. Nie udało mi się już zasnąć. Następnego ranka zadzwoniłem do Ojca i wydawało się, że czuje się nieźle. Próbował kolejnych terapii alternatywnych. Naszą rozmowę przerwało przybycie grupy chrześcijan, którzy chcieli pomodlić się za jego wyzdrowienie. Powiedział, że to Matka poprosiła, by przyszli. Kiedy Partia złagodziła zakazy dotyczące religii, wiele starszych pań z sąsiedztwa zaczęło uczęszczać na nabożeństwa.

– Ale przecież jesteś komunistą – przekomarzałem się z nim. – Czy Karol Marks nie mówił, że religia to opium ludu?

– Jeśli tylko pomogłoby mi wyzdrowieć, może być i opium – odparł.

Trzy dni później w trakcie międzynarodowej konferencji dostarczono mi telegram: „Przyjeżdżaj natychmiast. Ojciec umiera”. Złapałem nocny pociąg, na dworzec przyjechał po mnie przyjaciel Ojca dżipem pożyczonym z pracy. Powiedział, że serce Ojca od wczoraj pracuje bardzo słabo i że błagał lekarzy, aby nie pozwolili mu umrzeć, dopóki nie przyjadę, co kilka minut spoglądając na zegar i pytając: „Przyjechał już?”.

Jechaliśmy szybko, wymijając samochody. Zdyszany wpadłem na oddział intensywnej terapii. Ojciec był pod tlenem. Jego wychudzone ciało oplatało mnóstwo rurek. Włosy miał rozczochrane, zmatowiałe i długie. Poznał mnie i kiedy usiadłem obok niego, wykrztusił spod maski tlenowej:

– To leczenie nie działa. Zobacz, może twoi przyjaciele znaleźliby mi jakiś lepszy szpital.

Były to jego ostatnie słowa. Trzy godziny później zapadł w śpiączkę. Lekarz powiedział, że organizm może jeszcze walczyć przez dobę czy dwie, ale jest mało prawdopodobne, że Ojciec odzyska świadomość. Zapytał, czy wyrażam zgodę na wstrzymanie leczenia, by nie przedłużać mu cierpień. Myśląc o tym, jak bardzo Ojciec chciał dożyć chwili, kiedy mnie zobaczy, odczekałem jeszcze jeden dzień, licząc na cud. Ale kiedy tak siedziałem obok niego, patrząc, jak ciężko oddycha, postanowiłem zrobić, jak radził lekarz. Nie powiedziałem Matce o swojej decyzji, uprzedziłem ją tylko, że Ojciec pewnie niedługo umrze, być może następnego ranka.

– Musimy wezwać rodzinę, żeby go pożegnali – powiedziała. – Nikt nie powinien odchodzić w samotności, to sprowadza nieszczęście.

Mówiła tak, jakby Ojciec wybierał się na wycieczkę do Pekinu, rozzłościło mnie jej gadanie o zwyczajach i tradycjach. A przede wszystkim nie chciałem gromady krewnych zawodzących i płaczących przy jego łóżku. Poprosiłem, żeby poszła do domu wszystko przygotować. Mój szwagier został i razem ze mną czuwał przy łóżku Ojca. Kiedy odłączono wszystkie rurki, ogarnęło mnie poczucie winy, aż w końcu poszedłem do lekarza i błagałem go, żeby jeszcze spróbować. Ale było już za późno; oddech Ojca przyspieszył, jego ciałem targnął gwałtowny spazm. Potem znieruchomiał, a jego twarz rozluźniła się, jakby wreszcie spokojnie zasnął.

Ojciec zmarł 31 października 1988 roku; dopiero później się dowiedziałem, że tego dnia w Stanach obchodzi się Halloween. Płacząc, obmywałem

jego zimne, nagie ciało. Szwagier odciągnął mnie na bok i przypomniał mi, że nie można płakać nad zwłokami ukochanej osoby, bo „jeśli zabierze twoje łzy na tamten świat, podąży za nim smutek”. Nie znałem wiejskich zwyczajów, więc go posłuchałem. Wziąłem się w garść i razem ubraliśmy Ojca w nowe ubranie, które kupiła Matka: szare spodnie i prostą granatową kurtkę w stylu Mao, stosowną dla członków Partii. Żebyśmy przypadkiem nie zabrali ciała do domu, zawiadomiono natychmiast dwóch pielęgniarzy, którzy przenieśli zwłoki do szpitalnej kostnicy, skąd mieliśmy je odebrać, kiedy zostanie załatwiona sprawa kremacji. Stałem ogłupiały, patrząc, jak pchają wózek w kierunku windy. Pisk kółek odbijał się echem w długim, pustym korytarzu.

– On nie chce iść, wolałby zostać – mruknął mój szwagier.

Kiedy następnego dnia rano wróciłem do domu, Babcia siedziała na kanapie, czekając na mnie. Moje rodzeństwo poszło zawiadomić rodzinę. Matkę pocieszały sąsiadki. Nie powiedzieliśmy Babci, że Ojciec nie żyje, ale akurat miała jeden z przebłysków świadomości i wiedziała, że coś jest bardzo nie w porządku. Nie chciałem być tym, który poinformuje ją, co się stało, poprosiłem więc kogoś z krewnych, żeby zabrał ją do siebie, byśmy mogli zorganizować czuwanie przy zwłokach. Jęczała i marudziła, kiedy zapakowaliśmy ją do rikszy i pojechaliśmy przez ruchliwe ulice. Na miejscu złapała moje ręce jak przestraszone dziecko i błagała, żebym nie odchodził. Jest takie chińskie powiedzenie, zrozumiałe chyba na całym świecie: „To tragedia, kiedy siwowłosy odprowadza do grobu ciemnowłosego”. Łączyłem się z nią w bólu, ale miałem też żal, że to przez nią spory kawał życia poświęcił na planowanie jej pogrzebu, co wyssało z niego siły życiowe, aż do ostatka.

Kiedy o tym myślę po latach, jestem przerażony, jak okropnie zachowywałem się po śmierci Ojca. Teraz to ja byłem głową rodziny i – jakby chcąc ukarać Ojca za jego obsesję na punkcie tradycji – postanowiłem pozbawić jego pogrzeb wszelkiego obrządku.

– Przez całe życie był wzorowym członkiem Partii – stwierdziłem – więc zgodnie z partyjnymi wytycznymi powinniśmy wybrać się do krematorium w Sanzhao i załatwić sprawę.

Wiedziałem, że zachowuję się głupio, ale byłem zły. Matka mnie zignorowała.

– Partia pozwala na tradycyjne czuwanie i pogrzeb, pod warunkiem że ciało zostanie spopielone – powiedziała Matka, patrząc na mnie groźnie. – Twój ojciec chciałby tego. Wiem to.

Nasi krewni i sąsiedzi spierali się, czy czuwanie ma się odbyć wedle zwyczajów kultywowanych w Xi'anie, czy w Henanie, więc znów jako głowa rodziny podjąłem decyzję i oświadczyłem, że ponieważ ja pochodzę z Xi'anu, będziemy się trzymać miejscowych obyczajów. W mieszkaniu zdjęliśmy wszelkie dekoracje, oprócz zabytkowego lustra Babci i plakatu gwiazdy filmowej, który moja siostra powiesiła w dużym pokoju, wszystkie meble przykryliśmy czarnym kirem. Na stole umieściliśmy powiększoną, ziarnistą fotografię Ojca, obok kadzidło, a dookoła pięć talerzyków z owocami i ciastkami. Na zdjęciu, zrobionym, kiedy wybierał się na emeryturę, Ojciec był nieuczesany, o smutnym spojrzeniu, tak jakby już przewidział swój los. Ktoś przyniósł mnie i mojemu rodzeństwu białe płócienne koszule. Odmówiłem ubrania się w ten strój, ale zgodziłem się włożyć na głowę białą opaskę[8]. Przyszli krewni i przyjaciele, niektórzy płakali i zawodzili, kłaniając się przed portretem Ojca, i palili w urnie paski szorstkiego żółtego papieru, składając symboliczną ofiarę dla tamtego świata.

Przyszedł sekretarz Partii z zakładu Ojca, a za nim przewodniczący związków zawodowych. Przynieśli wielki wieniec i ściskali wszystkim dłonie, powtarzając, że zmarły był dobrym człowiekiem i wzorowym towarzyszem. Mimo swego cynizmu kiwałem głową. Miałem porozmawiać z sekretarzem Partii, żeby pozamykać wszelkie sprawy Ojca, między innymi załatwić przeniesienie mojego brata z małej spółdzielni włókienniczej do zakładów państwowych, w których pracował Ojciec.

– Jesteś najstarszym synem – powiedziała Matka, kiedy chciałem się od tego wykręcić. – Teraz, kiedy Ojca już nie ma, ty musisz się troszczyć o swoje rodzeństwo.

To było dla mnie trudne: miałem dwadzieścia cztery lata i nie byłem gotowy wziąć na siebie takiej odpowiedzialności. Kiedy miałem rozmówić się z sekretarzem, wszystkie wcześniejsze przygotowania na nic się zdały. Jąkałem się tylko, jak wtedy, kiedy byłem dzieckiem. Pałeczkę przejęła Matka i udało jej się załatwić wszystko na naszą korzyść. Zanim delegacja z zakładu sobie poszła, przewodniczący związków zawodowych poprosił, żebym powiedział kilka słów po mowie pogrzebowej wygłoszonej przez se-

kretarza Partii. Matka przytaknęła z zapałem, a ja poczułem pustkę w głowie.

Na czuwanie przy zwłokach przyszło ponad dwieście osób, wieńce zapełniały korytarz na pierwszym piętrze i wylewały się na zewnątrz.

– Twój ojciec był dobrym człowiekiem, *laoshi*, troskliwym synem – mówili wszyscy. *Laoshi* można przetłumaczyć jako „szczery i uczciwy”. Matka często nazywała Ojca *laoshi*, ale ponieważ chińskie słowa często mają wiele znaczeń, w jej ustach brzmiało to raczej jak „frajer”.

Nie wiedziałem, co mam myśleć o Ojcu. Miałem coś powiedzieć, lecz żadne słowa nie przychodziły mi do głowy. Pisywałem już samokrytyki dla kolegów, podania o przyjęcie do Partii, ważne przemówienia dla innych. Znałem cały polityczny żargon, właściwe połączenia słów dla wyrażenia głębokiego żalu tak, by zdawał się szczery, albo obietnic, które nie wydawałyby się puste. Umiałem sprawić, by słowa towarzyszy brzmiały tak, jakby komunizm wyrastał z głębi ich dusz. Ale dla swojego Ojca nie mogłem znaleźć żadnych słów. Mógłbym winić za to lata komunistycznej indoktrynacji, która dławiła swobodne wyrażanie prywatnych uczuć. Myślę jednak, że przyczyną była raczej młodzieńcza arogancja. Nie mogłem wygłosić przemowy, nie odczuwając pogardy dla szarego życia Ojca i nie obrażając Partii, której przez całe to życie służył.

Przez większość życia Ojciec pracował bez słowa skargi jako kierownik magazynu, dumny, że zakład uważa go za wzorowego komunistę, a sąsiedzi za troskliwego syna. W wieku dwudziestu ośmiu lat poślubił moją matkę, potem wychował czworo dzieci, przedłużając w ten sposób ród Huangów, prawie całkiem wygubiony przez choroby, powodzie i wojny. Jako jedyne ocalałe dziecko przez całe życie opiekował się swoją matką. Przez lata był wdzięczny za spokój, za to, że omijały go najgorsze polityczne zawieruchy tamtych czasów. Ale mimo całej jego wierności Partii, kiedy Chiny wyzwoliły się spod radykalnej kontroli ideologicznej Przewodniczącego Mao, jego i miliony robotników, awangardę proletariatu, na której barkach opierały się komunistyczne Chiny, zostawiono samym sobie, zdezorientowanych i rozczarowanych. Ojciec zmarł, bo jego płuca były przez lata narażone na skażenie przemysłowe, a odmowa podwyżki w wysokości sześciu i pół juana, a także skala korupcji wypaczającej ideały Partii, którą zawsze wspierał, złamały mu serce.

Głowiłem się więc nad przemową, mając nadzieję, że gorycz uleci i że w ostatniej chwili doznam natchnienia.

Wieczorem przed kremacją miałem wraz z rodzeństwem obejść całą dzielnicę, obnosząc portret Ojca, modląc się i lamentując, żeby przywołać jego duszę na ostatnie spotkanie, zanim wyruszy w zaświaty. Zrobiłem to, ale nie bez oporów. Na głównym skrzyżowaniu jeden z krewnych narysował kredą koło na ścieżce, w środku położył stosik fałszywych banknotów, który podpalił, wzywając imię Ojca.

– Wróć, Zhiyou, twoje dzieci czekają, aby cię powitać. Jutro rano cię pożegnamy. Spokojnej drogi. Nie martw się o swoją matkę ani o dzieci. Będą pod dobrą opieką.

Kiedy płomienie zatańczyły w powietrzu, a jesienny wiatr rozrzucił popioły, krewny odwrócił się ku mnie i powiedział z przejęciem:

– Spójrz na ogień. Twój ojciec przyszedł, żeby przyjąć dary.

Skinąłem głową, ale gdy tłum na nowo podjął lament, miałem ochotę zacząć się śmiać z tych absurdalnych obrządków. Na szczęście nie musiałem podczas procesji nieść bambusowego drąga z długą, białą papierową wstęgą, czego obawiałem się jako dziecko. Przed kremacją wręczono mi urnę z popiołem z tych wszystkich skrawków żółtego papieru spalonych podczas czuwania. Miałem ją stłuc, gdy procesja dotrze do skrzyżowania. Symbolizowała ona ciało, w którym przez całe życie przebywał duch Ojca. Kiedy się ją rozbije, duch zostanie uwolniony, tak by mógł przejść reinkarnację. Urna potłukła się na drobne kawałeczki.

Zdziwiłem się na widok tłumu w krematorium; przyszło bardzo wielu kolegów i przyjaciół Ojca. Ciało umieszczono w szklanej skrzyni na podwyższeniu. Za życia jego twarz nigdy nie była tak spokojna. Jeden z moich wujów ogolił go poprzedniego ranka, zanim przenieśliśmy go z kostnicy, ale przez nieuwagę zostawił odrobinę zarostu na lewym policzku. Kiedy ucichła płynąca z głośników komunistyczna muzyka żałobna, przewodniczący związków zawodowych poprosił wszystkich, by skłonili się trzykrotnie przed ciałem, a sekretarz Partii przeczytał z kartki:

– Podczas gdy wielu ludzi rozprasza się przy pracy i skupia energię na szukaniu gdzie indziej sposobności, by się wzbogacić, towarzysz Huang pozostał oddany swemu zakładowi i znalazł sposoby, dzięki którym fabryka mogła zaoszczędzić… – i tak dalej. Sekretarz przemawiał długo, ale mnie wydawało się, że minęła tylko chwila, kiedy przyszła moja kolej. Spaniko-

wałem, miałem pustkę w głowie. Jeden z przyjaciół szturchnął mnie i szepnął:

– Po prostu się ukłoń i podziękuj.

Tak więc zrobiłem i zszedłem z podium, patrząc w ziemię, bo nie byłem w stanie spojrzeć w oczy pozostałym żałobnikom. Zapadła chwila ciszy, po czym przewodniczący związków zawodowych powiedział:

– Zróbmy szpaler, by oddać ostatni hołd towarzyszowi Huangowi.

Matka nigdy nie pozwoliła mi zapomnieć o mojej kompromitacji. Opowiadała mi o wszystkich pogrzebach, na których była: o tym, jak czyjś najstarszy syn – podkreślała przy tym, że nie miał studiów – opowiadał o swoim zmarłym ojcu takie historie, że wszyscy płakali; albo jak pewna młoda kobieta zaśpiewała ulubioną arię operową zmarłego i wszyscy mieli łzy w oczach. Doprowadzenie ludzi do płaczu było dla niej najwyższym celem porządnej mowy pogrzebowej. Ja tylko przewracałem lekceważąco oczami, ale głęboko w sercu czułem ostrze poczucia winy.

Jeden z kuzynów Matki przyniósł dwie butelki alkoholu i dwa kartony papierosów dla pracowników krematorium, żeby starannie wymietli piec przed kremacją i zadbali o to, by popioły Ojca nie wymieszały się z innymi popiołami, co w Xi’anie często się zdarzało. Popioły włożyliśmy do drewnianej urny w kształcie starożytnego pałacu. Młoda strażniczka kolumbarium pokazała nam przypominające wnętrze ula rzędy drewnianych półek i wybrała niszę na dolnej półce, mówiąc:

– Lepiej postawić niżej. Pana ojcu łatwiej będzie zejść, żeby was odwiedzić.

Mówiła to tak serio, że miałem ochotę się roześmiać, ale zarazem jej słowa były dla mnie kojące.

Kiedy w domu otworzyłem szufladę Ojca i zacząłem przeglądać jego papiery, uzbierałem cały stos korespondencji związanej z pogrzebem Babci, szukając czegoś, co pozwoliłoby mi pojąć, dlaczego tak obsesyjnie skupił się na uroczystości, której jego matka i tak miała nie zobaczyć. Jakże daremne były jego wysiłki, ta zabobonna wiara, że zdoła doprowadzić do zjednoczenia Babci z Dziadkiem i wykorzystać błogosławieństwo przodków – gdzie było błogosławieństwo w jego przedwczesnej śmierci?

Zapytałem Matkę, czy Ojciec zostawił jej jakieś wskazówki co do pogrzebu Babci. Pokręciła głową. W ostatnich tygodniach życia ani razu o tym nie mówił.

– Tak samo jak ona, Ojciec nie chciał rozmawiać o śmierci – powiedziała. – Nawet nie wspomniał o Babci.

Matka pamiętała, że kiedy Ojciec po raz pierwszy trafił do szpitala, bardzo tęsknił za domem i martwił się o Babcię. Jak mały chłopiec szedł z Matką do wyjścia i żałował, że nie może razem z nią wrócić do domu. Wbrew zaleceniom lekarzy moja siostra załatwiła więc przewiezienie Ojca zakładowym samochodem do domu na weekend. Kiedy odpoczywał, zobaczył, jak Babcia, już wtedy z zaćmionym umysłem, drepcze po domu i je to, co przynosiły jej przyjaciółki, tak jakby nie było komu się nią zająć. Ojciec rozpłakał się, przygnębiony jej demencją i własną bezsilnością. Następnego ranka poprosił, żeby odwieźć go z powrotem do szpitala, i nigdy już nie mówił o tym, że chciałby przyjechać do domu. Przed śmiercią tylko raz wspomniał o Babci, mówiąc, że karma jego matki jest za silna.

– Myślę, że twój ojciec nie mógł zrozumieć, dlaczego rak dopadł go tak wcześnie. Chyba miał żal, że Babcia rządziła całym jego życiem, a teraz, po tym wszystkim, co zrobił, jeszcze go przeżyje – powiedziała Matka.

Kiedy ktoś z zakładu Ojca przyszedł do nas po pogrzebie, żeby zapytać, czy czegoś nam nie trzeba, Matka powiedziała mu o życzeniu Ojca, żeby Babcię po śmierci zawieziono do Henanu, by mógł się tam odbyć tradycyjny pogrzeb. Czy zakład mógłby pomóc przewieźć trumnę? Urzędnik zastanowił się chwilę, po czym, pewnie zadowolony, że pogrzeb odbędzie się w innej prowincji i fabryka nie będzie miała nic do tego, powiedział:

– Nie powinno być z tym problemu.

Pewnie ulżyło mu, że fabryka wykręci się tanim kosztem.

Kiedy przyszedłem po Babcię po pogrzebie, nie poznała mnie. Zresztą nikogo już nie poznawała, otoczenia też nie. Jedna ze starszych sąsiadek powiedziała, że Ojciec pewnie zabrał jej duszę ze sobą. Opieka nad Babcią spadła teraz na Matkę i moje siostry. Po śmierci Ojca Matka złagodniała wobec Babci; siostra słyszała, jak podczas pogrzebu szepcze zmarłemu Ojcu, że zatroszczy się o jego matkę i zadba, by miała przyzwoity pogrzeb.

Jako najstarszy syn czułem, że powinienem zadbać o to, by życzenia Ojca zostały spełnione. Odpowiedzialność ta ciążyła nawet nad moimi snami: Ojciec regularnie się w nich pojawiał. W jednym z tych realistycznych snów przyszedł do domu i próbował zabrać Babcię. Złapałem ją za nogi, błagając, żeby ją puścił.

– Pozwól mi się nią zająć! – wołałem.

Ojciec milczał przez kilka sekund, po czym rzekł:
– Dobrze, zostawię ją wam na rok.
Dla Matki sens tego snu był jasny:
– Ojciec za rok po nią przyjdzie.

Rewolucja

Aż do roku 1989 kwietniowe święto Qingming niewiele dla nas znaczyło. To dzień, kiedy porządkuje się groby zmarłych, czcigodny i głęboko przeżywany obyczaj, którego nawet Partia nie próbowała zwalczać. Odejście Ojca sprawiło, że ten dzień nabrał dla nas nowego sensu. Matka zaplanowała niewielką uroczystość w parku pamięci przy krematorium. Ponieważ moja rodzina po raz pierwszy odprawiała ten obrządek, to – choć miałem daleko – wsiadłem w pociąg i przyjechałem do domu, bardziej dlatego, że chciałem zobaczyć Babcię, niż ze względu na jakąś wielką wierność pamięci Ojca.

Kiedy 15 kwietnia wróciłem do Szanghaju, myślałem wciąż o śmierci i jej sensie, i może dlatego tak uważnie słuchałem, gdy w radiu podano wiadomość, że były sekretarz generalny Partii Hu Yaobang zmarł na atak serca. Nie byłem wielbicielem frenetycznego stylu Hu, rozumiałem też zdenerwowanie Ojca, kiedy sekretarz znienacka zaprosił do Chin trzy tysiące młodych Japończyków, na znak dobrej woli i przyjaźni. Obecność tak wielu Japończyków wyzwoliła gorzkie wspomnienia cierpień, jakich doznali Chińczycy z rąk japońskich najeźdźców podczas II wojny światowej. Może i Pekin dążył do zbliżenia z Tokio, ale partyjna machina propagandowa wciąż miała wiele do zrobienia, jeśli chodzi o przekonanie społeczeństwa, żeby zapomniało o skutkach japońskiego imperializmu.

Na kampusie Uniwersytetu Fudan Hu był postrzegany jako zwolennik reform, który, w przeciwieństwie do wielu swoich konserwatywnych rywali, głosił potrzebę większej otwartości rządu, z niezależnym sądownictwem oraz niezależną prasą. To mnie zainteresowało; w tamtym czasie zmagałem się z sensem i znaczeniem niezależnej prasy w kraju tak wielkim i złożonym jak Chiny, gdzie nie istniała wolność jednostki. Co więcej, jak twierdzili moi koledzy, Hu nie był skażony korupcją i dążył do wspólnych dzia-

łań na rzecz zahamowania inflacji, którą wielu przypisywało spekulacjom i wykorzystywaniu władzy przez dzieci urzędników partyjnych. Ta informacja zmieniła moją opinię na temat Hu. Osobiście bardzo niepokoiłem się o kierunek reform gospodarczych.

W tym czasie Chiny przechodziły coraz głębszą transformację gospodarczą, ale niekontrolowana inflacja budziła panikę w całym kraju. Trudno było dostać ryż, mąkę, a nawet duże urządzenia elektryczne, ponieważ ludzie starali się wymienić wciąż tracące na wartości papierowe pieniądze na konkretne towary. Kiedy już nie było co kupić, a ceny dalej rosły niebotycznie, zaczęto oskarżać dzieci i krewnych przywódców partyjnych wyższego szczebla o nadużywanie władzy i manipulowanie rynkiem.

– Wszystkie pieniądze, które przez dwadzieścia lat odkładaliśmy na pogrzeb Babci, teraz starczyłyby może na kolorowy telewizor – powiedział Ojciec, kiedy był w szpitalu, i westchnął ciężko, przygnębiony daremnością swoich starań i własną bezsiłą. To westchnienie zapadło mi w pamięć i sprawiło, że postanowiłem przyłączyć się do demonstracji.

Po śmierci Hu w powietrzu czuło się rewolucję. Władze były zupełnie nieprzygotowane na ruch opozycyjny, który zaczął się krystalizować w miastach całego kraju. Na Uniwersytecie Fudan studenci przestali przychodzić na zajęcia, a przez demonstracje i wiece, często – jak się wydawało – spontaniczne, zwykłe życie zupełnie zamarło. Kiedy patrzyło się z wysokiego okna na tłumy w centrum Szanghaju, wyglądało to na ni mniej, ni więcej, tylko rewolucję. Ogarnęło mnie pragnienie, by dołączyć do tych, co stanęli na jej czele, ale w uszach wciąż brzmiały mi słowa Ojca: „Nie wychylaj się, najłatwiej ustrzelić przewodnika stada”. Powstrzymałem się więc, trochę jednak rozczarowany własnym tchórzostwem. W maju przyszedł do mnie pewien student z wydziału prawa z białą opaską na głowę i poprosił, żebym dołączył do strajku głodowego. Dorastał na dalekiej wsi w prowincji Xi’an i nigdy wcześniej nie zauważyłem, żeby się w cokolwiek angażował. Odmówiłem więc. Kiedy, martwiąc się o niego, zaniosłem mu wodę i koc, nie znalazłem go wśród strajkujących. Tego wieczoru spotkałem go za to w stołówce.

– Byłem strasznie głodny. Nie mam zamiaru tracić zdrowia z powodu tych drani w rządzie.

Następnego ranka wrócił do strajkujących. Chociaż z pewnością było wiele problemów, którymi rząd powinien się zająć, zwykli ludzie stopniowo

tracili zainteresowanie protestami, kiedy władze Szanghaju postraszyły ich, że jeśli zapanuje chaos, mogą nastąpić przerwy w dostawach żywności. Studenci tacy jak ja nadal czerpali inspiracje z doświadczeń byłych czerwonogwardzistów, którzy opowiadali, jak to wędrowali po całym kraju, głosząc rewolucję. Dałem się ponieść panującemu podnieceniu i pojechałem do Pekinu, gdzie wszystko skupiało się na ogromnym placu Tiananmen. Zapełniali go ludzie spoza miasta, ponieważ większość miejscowych studentów dopadło „zmęczenie protestacyjne" i po prawie miesięcznym obozowaniu na placu wrócili na kampus. Znajomi, u których się zatrzymałem, powiedzieli mi o tarciach wśród przywódców ruchu studenckiego. Najwyraźniej nikt nie miał jasnej wizji dalszego działania. Rozczarowany tym wszystkim, 1 czerwca wróciłem do Szanghaju, z myślą, że może udałoby się nadać ruchowi nowy impet, śladem Przewodniczącego Mao wzywając do strajku robotników.

Kiedy byliśmy dziećmi, karmiono nas opowieściami o tym, jak bardzo wojsko kocha lud i jak bardzo Partia się o nas troszczy. Chociaż spodziewaliśmy się odwetu władz, i nawet dziwiliśmy się, dlaczego dotąd nic się nie dzieje, nikt z nas nie przewidział wydarzeń z 4 czerwca 1989 roku, kiedy to Armia Ludowo-Wyzwoleńcza otworzyła ogień do ludzi, których rzekomo miała chronić. Wiadomość o zdławieniu protestów dotarła do Szanghaju. To był szok. Ojciec mówił o mnie zwykle, że jestem „szczeniakiem, który nie posmakował jeszcze strachu przed śmiercią", i miał rację. Wyszliśmy na ulice z lampionami w ręku, co miało symbolizować ciemności, w jakich pogrążyły się Chiny. Włożyłem na głowę białą opaskę, nieśliśmy też transparenty potępiające brutalność Partii. Kierowcy autobusów porzucali swoje pojazdy i tarasowali nimi ulice, żeby powstrzymać wojsko, które mogłoby zostać wysłane także do Szanghaju. Ponieważ Partia przez następne trzy dni blokowała wszelkie informacje, zwykli obywatele nie mieli pojęcia, że w Pekinie wielu studentów i mieszkańców zginęło z rąk sił rządowych. Moi koledzy i ja włączyliśmy radia działające na falach krótkich i z BBC oraz Głosu Ameryki dowiedzieliśmy się, co naprawdę wydarzyło się w Pekinie. Jeden z moich nauczycieli, Australijczyk, dał mi egzemplarz ukazującej się w Hongkongu anglojęzycznej gazety, w której zamieszczono zdjęcia zalanych krwią demonstrantów na ulicach Pekinu. Zrobiliśmy kopie i oblepiliśmy nimi ulice wokół uniwersytetu, żeby unaocznić ludziom brutalność władz. Potem wspiąłem się na dach jednego z autobusów i wezwałem ro-

botników do strajku. Zdawałem sobie sprawę, że mogę zostać ukarany za to, co robię, ale nic się nie stało. Może po prostu nikt mnie nie usłyszał, a może nikt nie uznał, że warto na mnie donieść. Nie należałem do „kontrrewolucjonistów", na których w połowie czerwca, kiedy władze zaczęły tłumić bunt w całym kraju, urządzono obławę. Aresztowano dwóch organizatorów z mojego wydziału. W obawie, że jeśli zostanę na miejscu, też mnie dopadną, ukryłem skład zdjęć i ulotek i wyjechałem z miasta do znajomego w górzystym rejonie Shaanxi, podróżując statkiem i autobusem, żeby uniknąć kontroli w pociągach. Już myślałem, że nic mi nie grozi, kiedy na dworcu, gdzie miałem się spotkać z tym znajomym, podszedł do mnie funkcjonariusz ze służby ochrony kolei, zabrał mi bagaż i kazał mi iść do biura obok. Nogi się pode mną ugięły, nie mogłem oddychać, bałem się, że zsikam się w spodnie. Wtedy usłyszałem głośny śmiech – to był mój znajomy; sokiści byli jego studentami i wszystkich bardzo bawiło, że udał im się żarcik.

– Myślałem, że z ciebie twardy rewolucjonista – powiedział znajomy. – Chyba się myliłem.

W lipcu wróciłem do Xi'anu i lato minęło mi w ogromnym przygnębieniu. Spotkałem się ze znajomym, który był jednym z demonstrantów w Pekinie w czasie, gdy doszło do masakry. Razem z innymi studentami rzucał kamieniami i butelkami, na próżno próbując powstrzymać dudniące czołgi niedaleko Xidanu, ruchliwej dzielnicy handlowej. Nagle z uliczki po lewej stronie wyszli żołnierze i zaczęli do nich strzelać. Znajomy natychmiast rzucił się w bok w zaułek i schował za wielkim pojemnikiem na śmieci, ale pocisk trafił w chłopaka, który biegł za nim; z brzucha lała mu się krew. Na szczęście z pomocą przechodniów znajomy znalazł rower i zdołał przewieźć tego chłopaka do pobliskiego szpitala, gdzie lekarze zajmowali się już dziesiątkami innych rannych. Mój kolega nie wiedział, czy tamtemu udało się przeżyć. Przez wiele dni nie mógł spać. Kiedy zapytałem o masakrę na placu Tiananmen, przyznał, że władze rzeczywiście nie kłamały, twierdząc, że żaden student nie zginął, kiedy na plac wkroczyło wojsko. Oceniał, że około pięciuset do sześciuset osób zginęło gdzie indziej w mieście, i nie zgadzał się z przesadzonymi relacjami mediów zachodnich i niektórych przywódców studenckich, którym udało się uciec na Zachód, że „na placu Tiananmen i w innych rejonach Pekinu zginęły dziesiątki tysięcy ludzi".

Tymczasem władze, próbując zatuszować krwawe stłumienie demonstracji, rozpoczęły w całym kraju kampanię propagandową w mediach. Telewizja w kółko pokazywała kadry ze spalonymi zwłokami żołnierzy i szczątkami zniszczonych ciężarówek i czołgów jako dowody przeciwko „chuliganom i kontrrewolucjonistom". Po ulicach Xi'anu jeździły ciężarówki z głośnikami, z których przywódcy partyjni po raz kolejny potępiali przywódców ruchu studenckiego jako chcących jedynie wzbudzić niepokoje w Chinach. Propaganda odniosła skutek. Sąsiedzi i przyjaciele, którzy przedtem entuzjastycznie popierali studentów, teraz zaczęli nas oskarżać, że destabilizujemy kraj. Nawet mój wujek, który przeżył brutalne pobicie podczas rewolucji kulturalnej, zgadzał się z decyzją Partii.

– Byliście nie lepsi od czerwonogwardzistów – perorował. – Nie było innego wyjścia, tylko stłumić ten ruch. Inaczej przez was cały kraj pogrążyłby się w chaosie!

Było tak, jakby wróciła epoka Mao. Poczułem złość i zawód. Napisałem do pewnego amerykańskiego profesora, którego poznałem w Szanghaju rok wcześniej, że chcę wyjechać z kraju i uciec przed uciskiem politycznym. Od czasu do czasu ćwiczyłem medytację, snując fantazje o tym, by spędzić resztę życia w klasztorze, z dala od ziemskich trosk. Ale Babcia i pamięć o Ojcu kazały mi wrócić na ziemię. W miarę jak z Babcią było coraz gorzej, miałem mniej czasu, żeby myśleć o swojej przyszłości.

Kiedy któregoś razu Babcia, w nagłym przypływie energii, obudziła cały dom, spodziewaliśmy się najgorszego. Wydawało się, że odzyskała świadomość. Poznała mnie, zapytała, gdzie jest Ojciec, i oświadczyła:

– Będę ci gotować. Twoja matka zawsze była taka niedobra dla Ojca. Teraz jej pokażę, jak się robi makaron.

Zanim zdążyliśmy ją powstrzymać, chwyciła deskę do krojenia i nóż, ale udało nam się z bratem odprowadzić ją z powrotem do pokoju, chociaż szamotała się i miotała na łóżku jeszcze przez pół godziny, zanim opadła z sił i zasnęła głęboko. Kiedy zajrzałem do niej następnego ranka, nie miała pojęcia, kim jestem, i ledwo zdołała usiąść na nocniku. Doktor Gao powiedział, że takie nagłe przypływy energii oznaczają, iż niedługo umrze. Ale Babcia przeżyła całe lato. Co rano, kiedy się budziłem, siedziała na swoim łóżku, mamrocząc niezrozumiale sama do siebie. Zajmowałem się nią, ubierałem ją i kąpałem, prałem jej ubrania i sprzątałem, kiedy nabrudziła. Nie chciałem się poddać, nawet kiedy dostała gorączki i znajomy ze szpita-

la podłączył jej kroplówkę, nacierałem jej spirytusem czoło i plecy, żeby poczuła się lepiej.

Matka uważała, że te starania nie mają sensu.

– Tylko przedłużasz jej cierpienie – przekonywała. – Pozwólmy jej odejść.

Ale ja jej nie słuchałem.

Kiedy zaczął się semestr jesienny i powinienem był wracać do Szanghaju, Matka nalegała, żebym jechał.

– Musisz wrócić i wyjaśnić sprawę swojej roli w ruchu studenckim – powiedziała, sięgając do swoich doświadczeń z czasów rewolucji kulturalnej. – Jeśli cię tam nie będzie, inni zwalą na ciebie winę za różne przestępstwa, a ty nie będziesz miał się jak bronić.

Niechętnie powierzyłem więc Babcię opiece Matki i wyjechałem do Szanghaju.

We wstępniakach „Dziennika Ludowego” władze nadal potępiały „kontrrewolucyjne zamieszki”, aresztowano kolejnych ludzi. Nasza grupa zwarła szyki, chroniąc się nawzajem. Byliśmy tylko szeregowymi uczestnikami, nie angażowaliśmy się w żadne radykalne działania. Poręczył za nas nasz wykładowca. Napisaliśmy samokrytyki i wydawało się, że na tym się skończy. Nie byliśmy, jak nas często nazywano na Zachodzie, „bojownikami o demokrację”. Jasne, byliśmy młodzi i pełni zapału, ale przyłączyliśmy się do protestów tylko dla zgrywy. Nie mieliśmy żadnych głębszych przekonań filozoficznych. Dla mojego pokolenia to brutalne stłumienie oporu stanowiło rytuał przejścia. Nasz światopogląd, budowany przez lata prania mózgu, załamał się. Otrząsnęliśmy się z iluzji, że zdołamy zmienić Chiny w ramach systemu komunistycznego. Trudno się dziwić, że niektórzy z nas zostali potem nieustraszonymi działaczami demokratycznymi. To, że zachodnie media tak obszernie relacjonowały masakrę, podziałało też dobrze na chińskie władze, ponieważ zdały sobie sprawę, że nie da się odciąć od świata i działać w poczuciu zupełnej bezkarności.

Chociaż miałem dużo zajęć na uczelni, nie zapominałem o Babci. Dzień 30 listopada 1989 roku to była środa. Nie mogłem się skupić na wykładach. Wciąż nachodziły mnie myśli o Babci, radosne myśli. Nie poszedłem na popołudniowe zebranie partyjne, zamiast tego wybrałem się do miasta, żeby zadzwonić do biura mojej siostry. Odebrał ktoś nieznajomy.

– Pańskiej siostry nie ma dziś w pracy. Wasza babcia umarła.

Matka, zaskoczona moim telefonem, przekonywała mnie, żebym nie przyjeżdżał na pogrzeb. Postąpiłbym niemądrze, wyjeżdżając z Szanghaju w takim ważnym politycznie czasie. Przywołała do telefonu dwóch znajomych Ojca, którzy powiedzieli to samo. Matka powiedziała, że Babcia umarła spokojnie i że byli przy niej mój brat i siostra. Miała osiemdziesiąt siedem lat, piękny wiek.

Moja rodzina przez ponad dziesięć lat szykowała się na tę ciężką chwilę. Ojciec większość czasu poświęcał na przygotowania do pogrzebu, starannie planując każdy etap, w tym potajemne czuwanie przy otwartej trumnie dla najbliższych krewnych, przewiezienie ciała Babci do Henanu i organizację tradycyjnej procesji żałobnej w pobliżu jej rodzinnej wioski. Osobiście wybrał ludzi do niesienia trumny, kierowców, grabarzy oraz mistrza ceremonii, którego zadaniem było przekazanie podarunków wioskowym władzom, tak żeby cała operacja poszła gładko. Matka jeszcze na początku lat osiemdziesiątych postarała się o kupon białego płótna na nasze stroje żałobne. Ojciec angażował mnie we wszystkie etapy przygotowań i często powtarzał, że to syn i najstarszy wnuk przewodniczą całej ceremonii. Smutne, ale teraz żadnego z nas nie było na miejscu.

Paradoksalnym zrządzeniem losu to Matka, którą Babcia niegdyś nieustannie oskarżała o sabotowanie przygotowań do pogrzebu, musiała się wszystkim zająć. Zdecydowała, że skoro Ojca już nie ma, a ja jestem daleko, zbyt trudno będzie przewieźć Babcię aż do Henanu. Możemy poczekać i zrobić to innym razem, powiedziała mi przez telefon. Umilkłem. Zrobiło mi się żal Babci. Przez lata Matka twierdziła, że gdyby to ona mogła decydować, pochowałaby albo skremowała Babcię w Xi’anie. Teraz oczywiście zatriumfowała nad Babcią. Ponieważ byłem wtedy setki kilometrów od domu, czułem, że nie mam wpływu na tę decyzję. Jednak ulżyło mi, kiedy Matka uszanowała część obietnicy Ojca, urządzając Babci przyzwoity pogrzeb na działce, którą mój szwagier kupił w swojej rodzinnej wsi pod miastem.

By zapobiec plotkom, że ze względu na dawną wzajemną niechęć skąpi na pogrzeb Babci, Matka przekazała swoje obowiązki w ręce jednego z wujów z rodziny Ojca. Przed naszym domem stanął namiot. Wydobyto z magazynu trumnę. Przyszły znajome Matki, żeby pomóc jej ubrać Babcię w strój uszyty dla niej piętnaście lat wcześniej. Przez cały dzień tłumnie schodzili się ludzie, którzy chcieli oddać zmarłej ostatni hołd. Prosili Matkę

o symboliczne pamiątki – skrawek kołdry albo babciną szpilkę do włosów – bo chcieli, żeby część jej szczęścia i długowieczności spłynęła na ich dzieci. Dwa kawałki niebieskiego materiału z jednej ze starych koszul Babci Matka odłożyła dla brata i dla mnie.

Procesja celowo była skromna; zdarzało się, że duże kondukty zatrzymywała policja i odsyłała trumnę prosto do krematorium.

O czwartej nad ranem w ulewnym deszczu przyjechały trzy busy i ciężarówka. Trumnę załadowano na ciężarówkę. Żałobnicy w ciszy, bez zwyczajowych lamentów i roztrzaskiwania urny, wsiedli do busów. Niewielki konwój przejechał szybko pustymi ulicami, wujek policjant poprosił kierowców, żeby objechali dookoła dzwonnicę w centrum miasta – jego punkt charakterystyczny – tak by Babcia po raz ostatni mogła spojrzeć na Xi'an, który przez pół wieku był jej domem. Podróż zajęła mniej niż dwie godziny; deszcz już nie padał, kiedy Babcię złożono na ostatni spoczynek na małym cmentarzu niedaleko porzuconej cegielni, pięć kilometrów na południe od miasta. Moja siostra wspominała potem, że kiedy jeden z krewnych chciał zabić wieko gwoździami, musiał próbować wiele razy, zanim mu się udało.

– Babcia nie chce od nas odejść, bo ani jej syn, ani ukochany wnuk nie mogli jej pożegnać – powiedział do zebranych.

Ojciec dołączył do Babci. Urnę z jego prochami, zabraną wcześniej z kolumbarium, pochowano osobno w pobliżu dolnego lewego rogu trumny Babci. To miejsce, u stóp matki, oznaczało, że syn zawsze będzie gotów jej służyć.

Przez wiele miesięcy było mi trudno skupić się na wykładach. Byłem otępiały, ledwo rozumiałem, co się wokół mnie dzieje. Kiedy byłem w liceum, matka jednej z moich koleżanek zmarła na raka, a pół roku później zmarła też jej starsza siostra. Gdy chorowały, odwiedzałem je co tydzień w szpitalu, ale nie z powodu altruizmu. Byłem wtedy dość pokręconym nastolatkiem i chciałem się pławić w szekspirowskim splendorze tragedii koleżanki. Frapowały mnie też ekscytujące możliwości, jakie daje nowe życie bez zrzędzących nad głową rodziców. Użalałem się nad własnym życiem, nudnym i wypranym z dramatyzmu – wydawało mi się wtedy, że Babcia nigdy nie umrze, a rodzice byli wciąż w kwiecie wieku. Nie wiedziałem, jak bardzo los potrafi być okrutny. Kiedy śmierć spadła na moją rodzinę, przeklinałem młodzieńczą pychę. Poczucie straty i pustki było dojmujące

i gwałtowne, jak odcięcie sznurka latawca, jakby moja więź z domem nagle przestała istnieć.

Nie rozmawiałem z Matką. Ani z rodzeństwem. Podczas ferii zimowych pojechałem do Xi'anu i siedziałem w pokoju Babci. Widać było, że Matka już się do niego wprowadziła. Ubrania Babci, bambusowy koszyk, w którym trzymała kiedyś przysmaki dla mnie, jej laska i nocnik zniknęły. Materac, który kiedyś dla niej kupiłem, był przykryty nowym prześcieradłem. Matka właściwie wysprzątała pokój tak dokładnie, że nie mogłem znaleźć niczego, co na pewno należało do Babci. Miałem wielką ochotę powiedzieć jej, co o tym myślę, ale ponieważ to był mój pierwszy dzień w domu, powstrzymałem się.

Ojciec tłumaczył mi kiedyś, że umarli nigdy nie opuszczają żywych; duchy przekazują swoje życzenia w snach. Byłem ateistycznym i solidnie wykształconym dzieckiem komunizmu, odruchowo odrzucałem więc te wierzenia jako zabobonne, wręcz głupie. Teraz jednak znalazłem w nich ukojenie. Tej nocy spałem na łóżku Babci, mając nadzieję, że może przyjdzie do mnie we śnie i będziemy mogli porozmawiać. Ale nie przyszła.

Następnego dnia Matka poszła ze mną na grób Babci. Były to moje pierwsze odwiedziny. Grób przypominał kształtem piramidkę. Spaliliśmy kilka plików fałszywych banknotów.

– Twój wnuczek przyszedł – wyszeptała Matka. – Kup sobie za to coś ładnego.

Dym uniósł się w szare zimowe niebo. Matka, zgarniając popiół, starała się uzasadnić swoją decyzję.

– Babci chyba nie będzie przeszkadzało, że jest blisko swoich wnuków. Teraz możemy wskoczyć w autobus i przyjechać tu w wolny dzień, żeby złożyć jej hołd. – Milczałem, dodała więc: – Cóż, skoro nadal ci się to nie podoba, po trzech latach żałoby możesz przenieść Babcię do jej rodzinnej wsi.

Sam nie wiedziałem, czy tak byłoby lepiej. Może Matka miała rację, może Babci było tu dobrze, z Ojcem u boku.

W styczniu 1990 roku po raz pierwszy obchodziłem księżycowy Nowy Rok bez Babci i Ojca. W pierwszy dzień nowego roku nagle poczułem, że nie wiem, co mam ze sobą zrobić. Kiedyś nienawidziłem jeździć z Ojcem po tych wszystkich wujkach i ciociach, którzy obiecali pomóc przy pogrzebie Babci. Teraz zaś żałowałem, że go tu nie ma i nie zabierze mnie ze sobą,

nawet gdybyśmy przez to mieli wrócić późno i przegapić noworoczny koncert w telewizji.

Niezależność

Matka została sama. Moje siostry powychodziły za mąż. Brat był zajęty narzeczoną, a ja swoimi studiami w Szanghaju. Jako że byłem najstarszym synem, moim najważniejszym konfucjańskim obowiązkiem było dbać o matkę, ale musiałem myśleć o swojej karierze i nie zamierzałem wracać do Xi'anu, gdzie postanowiła spędzić resztę życia. Na dodatek od czasu śmierci Babci wciąż żywiłem do Matki urazę. Nic chyba nie przerażało mnie bardziej niż myśl, że mógłbym pójść w ślady Ojca i tkwić przy swojej matce do końca jej życia, a nawet po śmierci.

– Nie martw się, ja to nie Babcia – uspokajała mnie. – Mam emeryturę i przyjaciółki. Nie będę ciężarem dla żadnego z was.

Matka była uparcie niezależną kobietą, ale ja i tak miałem wyrzuty sumienia, może dlatego, że wyobrażałem sobie, jak bardzo rozczarowany byłby Ojciec po tych wszystkich latach, kiedy próbował mi wpoić poczucie synowskiego obowiązku.

Pod koniec 1989 roku dzięki mojemu znajomemu profesorowi ze Stanów przyjęto mnie na studia magisterskie na uniwersytecie w Illinois. Sterczałem przez całą noc pod amerykańskim konsulatem w Szanghaju, żeby w końcu dostać wizę od konsula, byłego dziennikarza, zachwyconego, że chcę się zajmować dziennikarstwem w wolnym kraju. Kiedy w lutym 1990 miałem powiedzieć Matce o planowanym wyjeździe, nie wiedziałem, czy pozwoli mi jechać. Ale pozwoliła.

Byłem w Stanach od roku, kiedy zadzwoniła do mnie przejęta młodsza siostra.

– Matka ma faceta – zakomunikowała mi. Prawie słyszałem, jak kalkuluje w myślach astronomiczny koszt każdej sekundy tej rozmowy; były to czasy przedinternetowe. – To Wujek Ma – powiedziała. – Napiszę ci więcej w liście. – Po czym się rozłączyła.

Wujek Ma był praktykantem w zakładzie Ojca na początku lat pięćdziesiątych, a ponieważ dorastali w tej samej prowincji, byli „braćmi krwi”, z czasem jednak ich przyjaźń wygasła. Wujek został później prominentem we władzach miasta, a Ojciec nazywał go snobem i oportunistą. Słyszeliśmy, że Wujek Ma się rozwiódł i znów ożenił, ale jego żona zmarła na raka. Był na pogrzebie Ojca, a potem co jakiś czas zaglądał, pytając o zdrowie Babci. Nie wiedziałem, że interesuje się Matką, bo unikała go podczas tych wizyt – wybiegała niby to po coś do sklepu, a ja w tym czasie miałem go zabawiać rozmową.

– Wdowa może łatwo paść ofiarą złośliwych plotek – mówiła. Uważałem, że zachowuje się jak za czasów feudalizmu.

Moja siostra odkryła prawdę, kiedy poszła odwiedzić Matkę leżącą w szpitalu po drobnym zabiegu chirurgicznym i okazało się, że jej łóżko jest puste. Pielęgniarka powiedziała, że jakiś pan zabrał ją do domu. Siostra zadzwoniła do naszego brata, ale okazało się, że Matki nie ma u niego. Dzwoniła więc do innych krewnych; ktoś zasugerował, żeby zapytała Wujka Ma.

– Zajmę się nią przez kilka dni – powiedział, jak to określiła moja siostra, „z wyważoną swobodą”. Wśród dzieci w obu rodzinach podniósł się rwetes.

– Ojciec przewraca się w grobie – oświadczyła Matce moja starsza siostra. – W twoim wieku, jak ci nie wstyd!

Tego już Matka nie zniosła i choć była twardą kobietą, rozpłakała się. Siostra żałowała swoich słów, ale nie tego, że sprzeciwiała się temu związkowi zawartemu tak niedługo po śmierci Ojca. Dzieci Wujka Ma uważały, że Matka czyha tylko na jego pieniądze, i nie chciały nawet z nią rozmawiać, a co dopiero jej zaakceptować.

Obecnie władze jawnie popierają ponowne małżeństwa wdowców jako praktyczne, a przeprowadzka Matki do Wujka Ma nie wzbudziłaby wielkiego szumu w coraz bardziej tolerancyjnych Chinach. Lecz jeszcze w roku 1990 był to skandal: może nie aż taki, żeby Matkę publicznie szkalowano na wiecu, jak za czasów Mao, za bycie „dziurawym butem” – kobietą niemoralną – ale stanowił smakowity kąsek dla plotkarek z sąsiedztwa.

Sytuacja kobiet w Chinach jest paradoksalna. Przewodniczący Mao powiedział: „Kobiety podtrzymują pół nieba”. Pracowały ramię w ramię z mężczyznami w fabrykach i na polach, a Mao wzywał do zwalczania tradycyjnych wartości moralnych, przyczyniających się do nierówności. Kon-

fucjanizm jest jednak w Chinach głęboko zakorzeniony, a jego zasady często przestrzegane wręcz rygorystycznie. Pamiętam, jak pod koniec lat siedemdziesiątych pewne młode małżeństwo przyłapano na całowaniu się w ustronnym zakątku parku w Xi'anie. Funkcjonariusze służby porządkowej aresztowali ich, oskarżyli o niemoralne prowadzenie się, a zanim ich zwolnili, zawiadomili ich zakłady pracy. Zmiany dokonywały się, ale powoli. W 1983 roku, kiedy Chiny otworzyły się na Zachód, pewien znany aktor został skazany na cztery lata więzienia, ponieważ na potańcówce u znajomego uprawiał seks z jakąś młodą kobietą. Na moim wydziale na Uniwersytecie Fudan ktoś doniósł naszemu komisarzowi politycznemu, że jeden ze studentów drugiego roku przemyca do akademika swoją dziewczynę, kiedy jego koledzy wychodzą do kina. Komisarz przyłapał ich i oboje zostali potępieni podczas comiesięcznego zebrania wydziału, a po dyplomie wysłano ich do pracy jedno daleko od drugiego.

Teraz jednak czasy szybko się zmieniały. Kiedy w 1990 roku wyjechałem do Stanów, dziewczyna mojego brata często zostawała na noc u nas w domu, a sąsiedzi nie uważali tego za temat do plotek. Młodzi ludzie już nie mogli ich niczym zaskoczyć, ale dla pokolenia mojej matki czas jakby stanął w miejscu. Na naszym osiedlu było wiele wdów i wdowców, lecz nikt z nich nie ożenił się ponownie, nikt też się nie rozwiódł.

Wyglądało na to, że Matka zaczęła spotykać się z Wujkiem Ma niedługo po śmierci Ojca. Założyła w naszym bloku niewielki sklepik spożywczy i bardzo brakowało jej towarzystwa. Chociaż wciąż była wierną członkinią miejscowego kółka krawieckiego, które szyło kołdry dla panien młodych, Matce, jako wdowie, nie wolno było dotykać podarunków ślubnych, ponieważ mogło to przynieść nieszczęście młodej parze.

Wujek Ma był dla Matki pociechą. Moja młodsza siostra relacjonowała mi, że zaczęła dbać o swój wygląd i nosić ładne ubrania, które jej kupował. W przeciwieństwie do Ojca Wujek był dobrym kucharzem. Pomagał jej też w sklepie i w pracach domowych.

– Oboje uznaliśmy, że zrobiliśmy już dość dla naszych dzieci – powiedziała mi Matka. – Zasłużyliśmy, żeby pożyć trochę dla siebie.

Zaczęli pokazywać się razem, a po niedługim czasie wzięli cichy ślub, i czasem mieszkali u niej, a czasem u niego. Gdy przychodziły święta, Matka szła do Wujka Ma i przygotowywała ucztę dla czwórki jego dzieci w nadziei, że po trochu się do niej przekonają. Potem, gnana wyrzutami sumie-

nia, że nie zrobiła nic dla własnych dzieci, biegła do domu, aby ugotować coś dla mojego rodzeństwa.

– Nikt nie był dla mnie taki czuły i troskliwy – wyznała mi. – On przynosi mi śniadanie do łóżka i kupuje mi ubrania.

Jej słowa nie były dla mnie zaskoczeniem. Czy kiedykolwiek kochała Ojca albo czy on ją kochał?

– W moim pokoleniu nie zachowywaliśmy się jak ludzie z Zachodu i nie mówiliśmy co chwilę „kocham cię”. Po prostu dbaliśmy o siebie nawzajem i o swoją rodzinę.

To była prawda i myślę, że według tych kryteriów moi rodzice byli kochającym się chińskim małżeństwem. Jednak kiedy próbowałem dalej ją wypytywać o relacje między nimi, powiedziała:

– Twój ojciec był troskliwym synem i rodzicem, ale okropnym mężem, chociaż pod koniec życia zrobił się trochę lepszy.

Jak mi wyznała, dawno zdała sobie sprawę, że nigdy nie uda jej się oderwać Ojca od Babci, i w ostatnich latach stwierdziła, że łatwiej będzie przestać walczyć; co nie znaczy, że się nie kłócili, gdy chodziło o Babcię i o jego wtrącanie się w sprawy finansowe. Czy wtedy, gdy pogrzeb Babci wydawał się pochłaniać całą uwagę Ojca, pomyślała kiedykolwiek, żeby od niego odejść? Czy była mu wierna? Pamiętam pewnego pana, którego nazywaliśmy Wujkiem Wangiem. Kiedy miałem pięć lat, przychodziłem do Matki do pracy i zauważyłem, że co wieczór spotyka się z Wujkiem Wangiem. Czy byli kochankami? Skąd. Zarumieniła się na samą myśl.

– To był tylko mój dobry przyjaciel.

Nawet podczas najgorszych kłótni z Ojcem myśl o rozwodzie nigdy nie przeszła jej przez głowę.

Kiedy przemyślałem sobie to wszystko, cieszyłem się, że Matce tak poukładało się życie. Wujek Ma był chyba pierwszym człowiekiem, którego naprawdę kochała. Uważałem, że powinni się pobrać. Ale moje rodzeństwo było temu przeciwne, ich zdaniem zanadto przesiąkłem zachodnimi zwyczajami i zapomniałem, jak wygląda życie w Chinach. Pierwszy okres po ich ślubie był niewątpliwie trudny. To, że w naszym domu pojawił się nowy mężczyzna, budziło zdumienie i oburzenie wielu ludzi. Krewni i sąsiedzi, a nawet starsza siostra Matki, porównywali ją z Babcią, która w ich oczach była czcigodną, wierną tradycjom kobietą, ponieważ została wdową do końca życia. Córka kuzynostwa Ojca oraz jego ciotka przestały nas odwie-

dzać. Matka wiedziała, że ludzie gadają za jej plecami, ale chodziła z podniesioną głową.

– Ona poświęciła życie twojemu Ojcu. A ja chcę trochę pożyć.

Matka najbardziej cierpiała z powodu sprzeciwu mojego młodszego brata. Po śmierci Ojca dostał pracę w jego zakładzie, więc docierały do niego wszystkie plotki o Matce i Wujku Ma. Czuł się upokorzony. Wciąż kłócił się z Matką, oskarżając ją, że hańbi rodzinę – a przecież sam żył bez ślubu ze swoją dziewczyną. Zaczął ostro pić i co najmniej raz zrobił awanturę w pracy. Wezwano młodszą siostrę, żeby po niego przyszła, a wtedy, bełkocząc, przyrzekł:

– Wykopię ją z mojego życia.

Matka znosiła to wszystko w milczeniu.

Stopniowo jednak rodzina zaakceptowała jej decyzję, mój brat i siostry, z początku oburzeni, też się z nią pogodzili. Plotkarki znalazły sobie inny temat. Matka nigdy nie dostała czerwonego dyplomu, ale jej skromny akt sprzeciwu wobec konwenansów stał się początkiem małej rewolucji: inni wdowcy i wdowy też zapragnęli coś zmienić w swoim życiu i dyskretnie zasięgali jej porad w sprawie randek.

W 1992 roku do Matki zadzwonił jej przyrodni brat mieszkający w Henanie. Okazało się, że *Gonggong* zginął w wypadku drogowym. Razem z Ciocią Xiuying pojechały więc czym prędzej do domu, żeby zaplanować pogrzeb swego ojca. Nalegały też, żeby *Popo*, ich biologiczna matka, została pochowana u jego boku. Matka, która przez całe życie nie wspominała o tej sprawie, teraz zagroziła krewnym, że jeśli nie spełnią jej prośby, nie odda im ciała dziadka. Jej przyrodni bracia i siostry ustąpili. Matka i ciotka kupiły małą trumnę, w której umieszczono drewniany znak z wypisanym imieniem *Popo* i trzy zestawy *shouyi*. Zapaliły kadzidło, płakały i zawodziły, przywołując ducha swojej matki, którą ledwo pamiętały, tak by mogła połączyć się z ich ojcem. Gdy obie trumny złożono do grobu, Ciocia Xiuying i Matka odniosły zwycięstwo. Ciocia promieniała. Powiedziała, że teraz czuje spokój, choć już nigdy się nie dowie, kto zamordował *Popo*. Ten pogrzeb i symboliczne połączenie rodziców Cioci Xiuying stanowiły kres jej pięćdziesięcioletnich poszukiwań.

Los bywa złośliwy we wszystkich kulturach – tydzień po powrocie Matki z pogrzebu jej ojca u Wujka Ma stwierdzono raka wątroby. Matka była przy nim aż do końca, tak samo jak przy naszym ojcu.

Znów została sama. Sąsiedzi przezywali ją *kefu*, „mężobójczynią”. Chociaż rodzina była przy niej, na skutek tych ciężkich przejść podupadła na zdrowiu. Mimo to zaskoczył mnie telefon od szwagra, który prosił, żebym przyjechał do domu. Mieszkałem wtedy w Chicago, właśnie zacząłem pierwszą pracę. Było to na tydzień przed księżycowym Nowym Rokiem. Szwagier powiedział, że Matka dostała reakcji alergicznej na jakiś lek na grypę i że miała silny krwotok wewnętrzny. Przeklinając pecha, znalazłem połączenie lotnicze i wlokąc za sobą walizkę, zjawiłem się w szpitalu. Matka zdziwiła się na mój widok. Mimo całej sytuacji wydawała się zupełnie przytomna i pogodna. Policzki miała jednak zapadnięte, nie promieniała już jak dawniej. Usiadła i przytuliła mnie. Porozmawiałem z lekarzem, który powiedział mi, że choć udało się powstrzymać krwawienie, rokowania nie są dobre; zdiagnozowano u niej zaawansowany nowotwór wątroby, tego samego typu co ten, który zabił jej drugiego męża. Ona jednak nie wyglądała na umierającą. Zawiozłem ją więc do większej kliniki na drugą konsultację.

– Mogę jechać. Chcę walczyć z tym rakiem – powiedziała. – Jak wyjdę ze szpitala, zacznę wszystko od nowa.

Przekomarzałem się z nią:

– Jeśli znajdziesz sobie kolejnego męża, każ mu się najpierw zbadać, żeby ci za szybko nie kipnął.

Matka nie wiedziała, że krewni zaczęli już szykować dla niej *shouyi*. Okazało się jednak, że się z tym pospieszyli, bo guz udało się usunąć i Matka wróciła do zdrowia.

Rok później, gdy zadzwoniłem do siostry, usłyszałem:

– Matki nie ma.

– Co? Co takiego? – Myślałem, że zemdleję, palce mi zlodowaciały.

– No, przecież nie umarła! Znów wyszła za mąż i przeprowadziła się do męża na ulicę Zachodnią – powiedziała siostra i roześmialiśmy się, jakkolwiek nieco nerwowo, z tego nieporozumienia. Siostra opowiedziała mi, że Matka i wiele wdów z sąsiedztwa zapisały się do nowego biura matrymonialnego dla seniorów, uruchomionego przez władze zaniepokojone tym, że ponieważ w Chinach zanikają duże rodziny, wielu wdowców i wdów żyje samotnie, bez należytej opieki. Zorganizowano ogólnokrajową kampanię, która miała zachęcić starszych ludzi do zakładania nowych rodzin, więc jako członkini komitetu sąsiedzkiego i doświadczona mężatka Matka

pierwsza skorzystała z usług biura. Tak właśnie poznała Wujka Shena, emerytowanego księgowego z Szanghaju, starszego od niej o dziesięć lat.

W dniu święta Qingming Matka i moje rodzeństwo troskliwie opiekowali się grobem Babci i Ojca. Gdy nadeszła dziesiąta rocznica śmierci Babci, Matka spaliła zestaw ubrań z kolorowego papieru, papierowe telewizory, samochód i lodówkę – hojne ofiary. Często się teraz potykała, kiedy przychodziła na cmentarz, i obijała sobie kolana albo łokcie.

– To przez Babcię – mówiła. – Nienawidziła mnie za życia i nawet z zaświatów mi nie odpuści.

Moja młodsza siostra powiedziała mi na ucho:

– Babcia pewnie przeklina ją za to, że tak szybko znów wyszła za mąż.

Matka dwa razy odwiedziła mnie w Stanach; zwierzała się mojemu rodzeństwu, że chciałaby, byśmy znów byli sobie bliscy. Kiedy dorastałem, nigdy nie mówiła, że za mną tęskni czy że mnie kocha. Ale na starość złagodniała. Pewnego dnia, gdy wróciłem z trzydniowej podróży, zobaczyłem, że czeka na mnie w drzwiach, tak samo jak Babcia, kiedy byłem mały. Zapytałem, jak się czuje, a ona odparła:

– Jedzenie jest bez smaku, kiedy ciebie tu nie ma.

Z początku byłem zażenowany tymi wyrazami czułości, ale stopniowo zacząłem przyjmować jej miłość. Czas zatarł też nieco moje uczucia do Babci, mogłem więc zdobyć się wobec Matki na większy obiektywizm i zrozumienie. Zbliżyliśmy się do siebie; wyrazem jej miłości było na przykład to, że gotowała dla mnie pyszne pierożki, którymi podbiła serca moich amerykańskich przyjaciół. Kiedy wróciła do Chin, dzwoniłem do niej co tydzień, opowiadałem, co u mnie słychać, i wysłuchiwałem najnowszych plotek z sąsiedztwa, a czasem także narzekań na moje rodzeństwo.

W 2005 roku Matka po raz trzeci została sama. Wujek Shen trafił do szpitala z powodu parkinsona, a kiedy wreszcie zjawiły się jego dzieci, okazało się, że przyszły tylko po to, by wydostać od niego pieniądze i obrażać Matkę w obecności innych pacjentów. Matka, rozczarowana ich chciwością i tym, że mąż jej nie broni, wniosła o rozwód, chociaż wciąż swego męża kochała.

Zastanawiałem się, czy nie złożyć podania o zieloną kartę, żeby mogła zamieszkać ze mną w Chicago. Czy Ojciec nie mówił, że synowska troska przynosi szczęście? Matka odmówiła jednak – słyszała, że w Stanach wizyty u lekarza dużo kosztują.

– Nie chcę być dla ciebie ciężarem – powiedziała. Zaproponowałem, żeby zamieszkała u mojego brata, który właśnie się rozwiódł, ale też odmówiła. – Chcę, żeby twój brat szybko znalazł sobie drugą żonę.

Kiedy we wrześniu spotkaliśmy się w Szanghaju, powiedziała mi, że widuje w snach Ojca i Babcię; przenosili się do nowego budynku bez schodów, na wzgórzu. Miesiąc później zapytała z niepokojem:

– Pamiętasz mój sen? Dostaliśmy pismo ze wsi, że przenoszą cmentarz.

Okazało się, że uniwersytet w Xi'anie kupił ten teren, miał tam powstać nowy kampus. Miasto rozrastało się szybko, umarli musieli ustąpić miejsca żywym. Ojciec mówił, że zakłócanie spokoju zmarłym może ściągnąć na żyjących nieopisane katastrofy. Nawet czerwonogwardziści nie odważali się niszczyć grobów przodków. Ale wsi zaoferowano duże pieniądze, a w nowych Chinach tradycja nie stanowiła żadnej przeszkody dla postępu.

– To była tylko kwestia czasu – stwierdziła Matka. Powiedziała też, że już znaleziono nowe miejsce, na wzgórzu, dalej przy drodze. W listopadzie kazała mojemu rodzeństwu odnowić nagrobek, zanim spadnie śnieg, i dała wszystkim, którzy brali w tym udział, własnoręcznie zrobione pierożki.

– Teraz już jestem spokojna – powiedziała.

Niedługo później zadzwoniła do mnie moja siostra:

– Matka miała udar.

Spadła z łóżka i nie mogąc się ruszyć, leżała dwa dni na zimnej podłodze, aż znalazła ją sąsiadka. Kiedy do niej zadzwoniłem, była przytomna, powiedziała, że straciła władzę w prawej połowie ciała, ale poza tym nic jej nie jest. Poprosiła, żebym przyjechał wcześniej, niż planowałem.

Kiedy dotarłem na miejsce, okazało się, że jest na oddziale intensywnej terapii. Nie widziała już i nie mówiła. Nerki pracowały coraz gorzej i lekarz powiedział, że bez dializy Matka niedługo umrze. Szepcząc jej do ucha, zapytałem, czy chce dializy. Pokręciła głową i zacisnęła palce na mojej dłoni, z oczu płynęły jej łzy. Widząc, że się poddaje, powiedziałem:

– Mamo, już nie walcz. Nie martw się o moje rodzeństwo. Zaopiekuję się nimi. Odpuść.

W ciągu następnych dwóch tygodni nieoczekiwanie nerki Matki znów zaczęły pracować.

– Pańska matka cieszy się, że pan przyjechał, i jej organizm na to reaguje – powiedział lekarz. Ta poprawa nie trwała jednak długo. Matka zapadła w śpiączkę, a mnie zaczęło prześladować to, co wcześniej wyszeptałem jej

do ucha. Czy powinienem był tak mówić? A może poprawa byłaby bardziej długotrwała, gdybym namawiał ją do walki o życie?

Przez kolejne wieczory siedziałem przy jej łóżku, mając nadzieję, że zdołam odkręcić to, co powiedziałem, i przywrócić ją życiu. Moja siostra poszła nawet na grób Ojca, i modliła się, żeby przekonał ją, by jeszcze nie opuszczała tego świata. Minął miesiąc, a jej stan się nie zmieniał.

Kiedy wróciłem do Stanów, żal z powodu tego, co powiedziałem Matce, spotęgowała wizja jej leżącej na podłodze po udarze, bezradnej i samotnej. Kiedyś szokowały mnie historie o staruszkach w Stanach, znajdowanych w mieszkaniach wiele tygodni po śmierci, dopiero kiedy zapach stawał się nie do zniesienia. W Chinach słyszeliśmy takie historie w szkole; miały świadczyć o tym, jak ludzie na Zachodzie są oddaleni od rodziny i przyjaciół, jak samolubne i bezduszne są te tak zwane nowoczesne społeczeństwa. „W Chinach jest inaczej. Dzieci są naszym zabezpieczeniem na starość” – mówili ludzie z pokolenia moich rodziców. Nie mieściło mi się w głowie, że taka sama historia zdarzyła się w mojej rodzinie.

Przez wiele tygodni, zanim zadzwoniłem do szpitala, dzwoniłem do domu Matki i długo czekałem, aż odbierze, tak jakby to wszystko, co się stało, było tylko snem. Ale nie zdarzył się żaden cud. Udar był rzeczywisty i nieodwracalny. Dzwoniłem więc do brata, a on przykładał słuchawkę do ucha Matki. Puszczałem jej przez telefon muzykę buddyjską, czytałem książki i opowiadałem różne historie, mając nadzieję, że mnie słyszy.

Pewnego grudniowego dnia obudziłem się z wyrazistego snu. Śniło mi się, że Matka usiadła na łóżku, przytuliła mnie i powiedziała trzy zdania: „Spłaciłam wszystkie twoje długi”, „Już dość dla mnie zrobiłeś” i „Nie masz do mnie daleko”. Po raz drugi poleciałem do domu. Samolot wylądował w Xi’anie w wigilię Bożego Narodzenia. Mój samochód utknął w centrum; ulice zapełniały tłumy kolorowo ubranych nastolatków z balonikami w rękach. Kiedy Boże Narodzenie zdążyło stać się w Chinach wielkim świętem? Wyglądało to raczej jak Halloween w Stanach. Ale za bramą szpitala nie było już świątecznej atmosfery. W sali dla pacjentów, niedaleko kostnicy, panowała niesamowita cisza. Matka leżała w łóżku uśmiechnięta. Myślałem, że cieszy się na mój widok, więc podszedłem, żeby wziąć ją za ręce, ale wtedy zobaczyłem, że uśmiech zastygł na jej twarzy. Czasem ziewała albo na kilka sekund otwierała oczy, ale nie wiedziała, co się dzieje wokół niej.

Codziennie o świcie powietrze przeszywały głośne, przerażające odgłosy fajerwerków i zawodzenia.

– To krewni przychodzą do kostnicy odebrać prochy po kremacji – wyjaśnił mi brat. – Puszczają fajerwerki, żeby pożegnać ducha zmarłego.

Ponoć dusza opuszcza ciało dopiero tuż przed kremacją – ale choć Matka wciąż oddychała, ja byłem pewien, że jej dusza odeszła już dawno temu.

Chciałem zakończyć to, co wydawało mi się jej cierpieniem. Wielu lekarzy w Chinach dostaje ogromne prowizje od firm farmaceutycznych za to, że przepisują pacjentom różne drogie leki, które mają utrzymać ich przy życiu. Ja zaproponowałem, żeby zakończyć wszelkie leczenie. Napotkałem jednak stanowczy opór brata i młodszej siostry, którzy chyba mieli wyrzuty sumienia, że nie dbali bardziej o Matkę i dopuścili, by mieszkała sama. Nie chcieli pozwolić jej umrzeć. Kiedy nalegałem, powiedzieli, że zostałem zindoktrynowany przez zachodni sposób myślenia.

– Robisz się bezduszny jak ci Amerykanie. Oddają rodziców do domów starców. Mówią, żeby odłączyć wszystkie maszyny, kiedy staruszkowie jeszcze oddychają. Ale tu są Chiny i tak się nie da.

Na dodatek uważali, że moja „nieludzka” decyzja, by zaprzestać leczenia Matki, to wciąż skutek wpływu Babci.

Poparli mnie jednak krewni Matki i moje rodzeństwo ustąpiło. Po południu 31 grudnia lekarz odstawił wszystkie leki i Matka zmarła, otoczona przez tylu krewnych, ilu tylko udało się zebrać siostrze.

– Matce podobałoby się uroczyste pożegnanie – powiedziała siostra, zadbaliśmy więc o to, żeby czuwanie miało odpowiednią oprawę, z muzykami, którzy grali jej ulubione henańskie opery. Kosztowało to mojego brata połowę pensji, co było pewnym paradoksem, bo kiedy Matka żyła, chyba nigdy nie kupił jej biletu na operę. Jak mawiał Ojciec: „Możesz oszczędzać na żywych, ale nie skąp na zmarłych”.

Podczas czuwania przy zwłokach Ojca siedemnaście lat wcześniej irytowały mnie pogrzebowe stroje i obrządki. Ale teraz, gdy opłakiwaliśmy śmierć Matki, tradycyjne rytuały przyniosły mi ukojenie, założyłem pełny żałobny strój, spaliłem fałszywe papierowe pieniądze, obszedłem osiedle, wzywając jej duszę, i rozbiłem o ziemię ceramiczną urnę, żeby modlić się o jej reinkarnację. Podczas pogrzebu chętnie stanąłem na podium, żeby ją wspominać i wychwalać za to, jak mnie wychowała. Opowiedziałem, jak w latach siedemdziesiątych po pracy jeździła daleko na pola w poszukiwa-

niu kukurydzy, żeby uzupełnić nasz przydział żywności, albo jak podczas choroby Ojca co dzień była przy nim w szpitalu. Wielu ludzi płakało w czasie mojej przemowy; myślę, że próżność Matki została w ten sposób zaspokojona.

Jedna z przyjaciółek Matki zaproponowała, żebyśmy zawieźli jej prochy do Henanu i pochowali je tam, gdzie leżą *Gonggong* i *Popo*.

– Kobieta, która wiele razy wychodziła za mąż, powinna leżeć obok swoich rodziców – powiedziała. – Jeśli zostanie sama na tamtym świecie, wszyscy jej byli mężowie będą się o nią bili.

Na szczęście jeszcze kiedy Matka żyła, moja młodsza siostra ustaliła z nią sprawę pogrzebu. Matka powiedziała wyraźnie, że pragnie być pochowana z Ojcem.

– Myślę, że chciała pozostać częścią rodziny Huangów – stwierdziła moja siostra. W trzecią rocznicę jej śmierci – w 2008 roku – pochowaliśmy urnę z prochami Matki na zboczu wzgórza, obok Ojca i Babci. Miałem nadzieję, że teraz, kiedy trumna przestała już być kością niezgody między Babcią i Matką, obie zapomną o dawnych swarach i zapanuje między nimi pokój.

Nieuchronność

Kiedy miałem dziesięć lat, Ojciec uczynił mnie strażnikiem trumny, nadając strasznej czarnej, drewnianej skrzyni mityczne znaczenie, które ledwo byłem w stanie pojąć. Przez jego opowieści uwierzyłem, że trumna dla Babci i wszystkie starania związane z jej pogrzebem zapewnią rodzinie Huangów błogosławieństwo i ochronę. Aż do śmierci Ojca trumna spędzała nam sen z powiek, a przygotowania do pogrzebu Babci pochłaniały dużą część naszego życia. Trumna Babci była w istocie tak mocno obecna w moim życiu, że stała się chyba głównym czynnikiem kształtującym mój charakter.

W dużym mieście, gdzie surowo egzekwowano zakaz pochówków, dorastanie z trumną w domu nie dało mnie i mojemu rodzeństwu spokoju ani bezpieczeństwa, które obiecywał Ojciec. Nieustannie baliśmy się, że trumna ściągnie na naszą rodzinę kłopoty polityczne i zagrozi naszej przyszłości. W szkole, gdzie uczono nas, że trzeba zwalczać przestarzałe tradycje i zwyczaje, które hamują postęp rewolucji, trumna była przynoszącym wstyd przypomnieniem o staromodnych zwyczajach Babci. Rzadko zapraszaliśmy gości i – tak jak Ojciec – nauczyliśmy się oddzielać życie prywatne od publicznego.

Ojciec twierdził, że trumna i pogrzeb przywrócą harmonię w rodzinie Huangów, lecz zamiast tego drewniana skrzynia stała się przyczyną nieustannych napięć i godnej pożałowania rywalizacji między dorosłymi, którzy mimowolnie wciągali nas, dzieci, w swoje kłótnie. Ponieważ zawsze trzymałem stronę Babci, przez lata moje relacje z Matką oraz młodszym rodzeństwem, które wychowała, były chłodne. Ten rozłam między nami jest wyczuwalny aż do dziś, i od czasu do czasu dochodzi do głosu, kiedy rozmawiamy o Matce i Babci.

Po śmierci Ojca w 1988 roku sama myśl o trumnie budziła we mnie smutek i złość. Uważałem, że ta skrzynia była jak klątwa, która w końcu dopro-

wadziła do jego śmierci. Złościła mnie absurdalność i daremność starań Ojca, przez które ja i moje rodzeństwo zostaliśmy pozbawieni wielu przyjemności i możliwości dzieciństwa. Mój młodszy brat do dziś nie może mu wybaczyć, że zaniedbywał go, gdy był chłopcem. Gdyby Ojciec poświęcił mu więcej czasu i przypilnował przy nauce, mój brat może dostałby się do lepszego liceum, a potem na studia. Jego życie byłoby być może zupełnie inne niż teraz – jest kierownikiem dawnej fabryki Ojca.

Jako dwudziestoparolatek bałem się jeździć do domu, wciąż pełnego wspomnień o Ojcu i Babci. Odsunąłem się od Matki w obawie, że zawłaszczy mnie tak samo jak Babcia Ojca. Marzyłem o tym, żeby wyjechać gdzieś daleko, gdzie byłbym wolny i samotny. Z sześćdziesięcioma dolarami w kieszeni, bo tylko tyle juanów można było legalnie wymienić, w lutym 1990 roku znalazłem się w Stanach Zjednoczonych.

Wyjazd do Ameryki pozwolił mi stworzyć siebie na nowo, prowadzić życie tak, jak chciałem, bez rodzinnych uwikłań. Dałem sobie radę dzięki temu, że pracowałem jako kelner w chińskich restauracjach i opiekowałem się szczurami w uczelnianym laboratorium. Tak jak tysiące chińskich studentów, którzy przyjechali na studia do Stanów, po dyplomie nie wróciłem do kraju; pracowałem najpierw jako reporter, a potem jako kierownik działu PR. W odróżnieniu od mojego ojca, zatwardziałego komunisty, który pomstował na klasę posiadaczy ziemskich i zgadzał się z ideą bezklasowego społeczeństwa komunistycznego, ja stawałem się prawdziwym kapitalistą. Cała komunistyczna propaganda, która miała mnie zindoktrynować, najwyraźniej odniosła przeciwny skutek. Zamiast walczyć o „wyzwolenie mas z jarzma kapitalizmu”, pracowicie zarabiam pieniądze i cieszę się takim poziomem życia, o jakim mojemu Ojcu w życiu się nie śniło. Dzięki odziedziczonej po nim zapobiegliwości kupiłem swój pierwszy dom, a potem kolejne nieruchomości, tak samo jak przed ponad stu laty mój pradziadek.

Przez całe życie Ojciec stąpał ostrożnie, żeby uchronić siebie i rodzinę przed polityczną zawieruchą, i zawsze radził mi, żebym trzymał się z dala od polityki. Kiedy zrobiłem dyplom z dziennikarstwa politycznego, dostałem się na staż do Zgromadzenia Generalnego stanu Illinois, gdzie poznałem mechanizmy działania demokracji w Stanach Zjednoczonych i zacząłem bardzo doceniać wolność polityczną. Stopniowo pokonałem swoje opory wobec polityki. W swoich komentarzach wyrażam silne poparcie dla demokratycznych reform i praw człowieka w Chinach, zwłaszcza po tym, jak

w połowie lat dziewięćdziesiątych byłem przez krótki czas korespondentem „New York Timesa” w Pekinie i stałem się świadkiem brutalnego dławienia opozycji politycznej.

Przez pierwsze pięć lat pobytu w Stanach próbowałem odciąć się od przeszłości, ograniczając kontakty z przyjaciółmi i rodziną w Chinach. Chcąc stać się prawdziwym Amerykaninem, stroniłem od ulubionego tofu i makaronu, a nauczyłem się lubić spaghetti. Starałem się naśladować wymowę dziennikarzy z National Public Radio, żeby pozbyć się chińskiego akcentu. Omijałem Chinatown, unikałem towarzystwa innych chińskich imigrantów. Do tego stopnia udało mi się zerwać więź z własną kulturą, że nawet śniłem po angielsku. Kiedy pojechałem służbowo do Tybetu, ściągnąłem na siebie uwagę policji; mój mówiony chiński był tak staroświecki, że podczas przesłuchania nazywali mnie „cudzoziemskim pachołkiem co się zowie”.

W latach dziewięćdziesiątych zakochałem się w młodej kobiecie o żydowsko-holenderskich korzeniach. Zamieszkaliśmy razem i wierzyłem, że możemy stworzyć prawdziwą amerykańską rodzinę, bez wiszącego nade mną cienia trumny i wtrącania się Matki oraz innych krewnych. Ku mojemu zaskoczeniu Matka nigdy nie sprzeciwiała się temu związkowi, zwłaszcza kiedy usłyszała, że amerykańskie kobiety nie domagają się od rodzin narzeczonych dużych sum pieniędzy przy zaręczynach czy ślubie. Zapytała po prostu:

– Czy twoja dziewczyna lubi chińskie jedzenie? Czy mówi w naszym języku?

Kiedy na oba pytania odpowiedziałem przecząco, umilkła na chwilę, po czym powiedziała:

– Jak urodzą wam się dzieci, nie będę mogła się nimi zajmować.

Udawałem, że jestem zawiedziony, ale w istocie poczułem ulgę. Ojciec przez całe życie musiał znosić dogadywanie matki i żony. Przyrzekłem sobie, że ja nigdy na to nie pozwolę. Niestety, po dwóch latach zerwaliśmy ze sobą, akurat gdy Matka już była gotowa posłać mojej dziewczynie zabytkowe kolczyki na znak powitania w naszej rodzinie.

Przez jakiś czas udawało mi się nie iść śladem Ojca i układać sobie takie życie, które w niczym nie przypominało jego życia. Przeszłość stała się tylko odległym wspomnieniem.

Okazało się jednak, że pozbyć się przeszłości będzie mi równie trudno, jak chińskiego akcentu. Pewien profesor, z pochodzenia Rosjanin, powiedział mi, że gdy był młody, udało mu się prawie pozbyć się akcentu, ale na starość wszystko zaczęło chyłkiem wracać. W moim przypadku stłumione wspomnienia nie tyle wracają chyłkiem, ile maszerują jak na defiladzie, kolumna przy kolumnie, niczym podczas święta narodowego na placu Tiananmen, zwłaszcza od czasu śmierci Matki w 2005 roku. Zaczęły wtedy wracać do mnie wspomnienia moich rodziców, czasem z taką siłą, że musiałem przerywać to, co akurat robiłem. Czasem we śnie rozmawiam z rodzicami, jakby wciąż żyli. Gdy się budzę, ogarniają mnie smutek i wyrzuty sumienia.

Z biegiem czasu zacząłem lepiej rozumieć paradoksy ludzkiego życia. Mogłem więc inaczej spojrzeć na dawne rodzinne spory o trumnę Babci – z wyrozumiałością, jaką daje wiek średni. Dawna niechęć do obsesji Ojca stopniowo złagodniała, zacząłem lepiej go rozumieć. Trumnę, ucieleśnienie jego oddania dla Babci, postrzegam teraz jako siłę spajającą naszą rodzinę za czasów Mao, jako coś, co dawało nam wspólny cel, nadzieję i pociechę, jakże nam wtedy potrzebne. Wyprawienie Babci tradycyjnego pogrzebu było sposobem, by wyrazić jej wdzięczność za to, że poświęciła życie dla rodziny Huangów. Co ważniejsze, dzięki temu Ojciec mógł zachować więź z przeszłością, którą Partia starała się wymazać.

Pogodziłem się także z tym, jak ograniczone i próżne są moje starania, żeby za wszelką cenę być inny niż Ojciec. Robię się coraz bardziej do niego podobny. Kiedy przyjeżdżam do Xi’anu, sąsiedzi i znajomi powtarzają, jak bardzo zacząłem go przypominać. Podobno nawet chodzę i mówię tak jak on. W lustrze dostrzegam znaki dziedzictwa, przed którym nie ma ucieczki – nos, bruzdy na twarzy, spojrzenie. Również dokonując różnych życiowych wyborów, dostrzegam w nich rękę Ojca, która mnie prowadzi.

Kiedy byłem młody, nie chciałem słuchać ojcowskich kazań o wartościach konfucjańskich i wymigiwałem się od obowiązków pierworodnego syna. Mimowolnie jednak zacząłem postępować wedle tych nauk. Nieustannie cytuję słowa Ojca w artykułach i wykładach, zacząłem też cenić swoją rolę troskliwego brata i wujka. Poświęciłem mnóstwo czasu, pomagając w przygotowaniach do wesela mojego młodszego brata, i razem z resztą rodziny namawiam go na dziecko.

Tymczasem, po kolejnych przenosinach, Babcia, Ojciec i Matka spoczywają w spokoju na zboczu wzgórza, z którego widać miasto. W każde święto Qingming moje rodzeństwo spotyka się na cmentarzu, zapala kadzidełka i pali fałszywe banknoty. Potem starsza siostra dzwoni do mnie i opowiada mi o wszystkim, zaznaczając, że specjalnie prosiła Babcię o błogosławieństwo dla mnie. Kiedy Babcia i Matka jeszcze żyły, siostra zwykle nie przyjeżdżała na święta. Teraz jednak, co ciekawe, zawsze przychodzi na ceremonię sprzątania grobów i przynosi podarunki – owoce, ciastka i wycięte z papieru damskie ubrania, które pali, mówiąc uroczyście: „Mam nadzieję, że będą na ciebie pasowały i że będzie ci ciepło”. Ja także idę na grób, ilekroć jestem w Xi’anie. W 2008 roku, kiedy zebraliśmy się na cmentarzu w dwudziestą rocznicę śmierci Ojca, czułem, że wreszcie możemy zamknąć jego historię i zająć się własnym życiem.

W lipcu 2009 roku brat przysłał mi jednak przez Skype’a wiadomość, która wszystko zmieniła: „Zadzwoń zaraz, mam wiadomości o grobie Dziadka” – napisał. Syn kuzyna Dziadka, teraz hodowca fistaszków, zawiadomił mojego brata, że jakaś prywatna firma kupuje teren cmentarza od władz rodzinnej wioski Dziadka i że rozesłano pismo, aby krewni, którzy chcą odzyskać szczątki zmarłych, dokonali ekshumacji; inaczej zostaną stamtąd usunięte. Syn kuzyna Dziadka powiedział, że wieś planuje założyć nowy cmentarz, gdzie Dziadek będzie miał zapewnione miejsce wśród innych zmarłych z rodziny Huangów. Jeśli nadal chcemy przenieść Babcię do jej rodzinnej wsi, przy likwidacji starego cmentarza będzie okazja, żeby pochować Dziadka i Babcię razem na nowym miejscu.

Ta wiadomość na nowo obudziła we mnie rodzinne wspomnienia i przez wiele tygodni nie mogłem przestać o tym myśleć. Ojciec przez lata szykował mnie do roli strażnika trumny Babci, ale kiedy umarła, mnie nawet przy niej nie było. Może przenosząc jej szczątki, będę mógł jej to wynagrodzić. Zacząłem się zastanawiać, czy może z pomocą mego brata udałoby się nam dokończyć podróż Ojca, przenosząc szczątki Babci i moich rodziców, by mogli spocząć obok Dziadka, w swej rodzinnej ziemi. Jeden z krewnych uprzedził mnie, że w takim razie trzeba by przygotować trzy małe trumny albo urny i zorganizować ceremonię ponownego pochówku. Choć było to skomplikowane, byłem gotów stanąć na głowie, żeby to zrobić.

Pomysł ten wzbudził gorące dyskusje wśród mego rodzeństwa, co przypomniało mi dawne, toczące się przy kolacji sprzeczki rodziców o trumnę

Babci. Co zaskakujące, starsza siostra, wychowana przez Babcię, przyjęła dawne stanowisko Matki i stanowczo sprzeciwiała się przenosinom. Powiedziała, że lubi mieć Babcię blisko.

– Chociaż oni nie żyją już od tylu lat, wciąż czuję, że są częścią mojego życia, i co roku chodzę na ich groby.

Moja młodsza siostra, która z biegiem lat czuła się coraz bardziej związana z Ojcem, stanęła po mojej stronie. Młodszy brat powiedział tylko to, co powtarzał z goryczą przez ostatnie czterdzieści lat:

– To ty jesteś najstarszym wnukiem. Moje zdanie i tak się nie liczy, więc mam to w nosie.

Zasugerował jednak, że można by zrobić odwrotnie i sprowadzić szczątki Dziadka do Xi'anu. Ale temu z kolei sprzeciwił się hodowca fistaszków.

– To kobieta powinna podążyć za mężem, nie odwrotnie.

Kiedy ważyły się losy grobu Dziadka, często dzwoniłem do rodzeństwa, żeby omawiać potencjalne najlepsze rozwiązania. Czasem zaczynaliśmy się tak kłócić, że krzyczeliśmy do siebie przez Skype'a i zrywaliśmy połączenie, obiecując sobie, że nie odezwiemy się do siebie już nigdy w życiu. Ale potem, kiedy z Henanu przychodziła jakaś nowa wiadomość, znowu zaczynaliśmy dyskutować. Wśród kłótni, gróźb i przypochlebiania się dużo wspominaliśmy czasy naszego dzieciństwa. Siostry opowiadały mi anegdotki o Babci i rodzicach z tych lat, kiedy byłem w szkole z internatem. W ten oto dziwny sposób wróciłem do swojej rodziny. Kłótnie zbliżyły nas do siebie. Na dodatek, kiedy odtworzyłem sobie całą historię trumny Babci, przeszłość naszej rodziny stała mi się bliższa.

W styczniu 2010 postanowiłem pojechać do rodzinnej wsi Ojca w Henanie i zobaczyć na własne oczy, gdzie rzekomo znajduje się grób Dziadka.

Dotarłem do Henanu w śnieżny listopadowy poranek. Droga była śliska, po obu stronach widać było tylko nagie topole, stojące samotnie na polach, gdzie za kilka miesięcy miało rosnąć zboże. Żółta Rzeka, druga co do wielkości rzeka Chin, przypominała ciemną czekoladę z białym lukrem – brązowawa woda, bez jednej zmarszczki na powierzchni, płynąca między brzegami okrytymi zlodowaciałym śniegiem. Gdy śnieg stopnieje, rzeka wzbierze i stanie się nieokiełznana, zdolna zatopić setki wiosek, jak kiedyś, w latach czterdziestych.

Kiedy dotarliśmy do domu kuzyna Dziadka, było już zupełnie ciemno. Zeszła się cała rodzina. Kuzyn miał pociągłą, owalną twarz i melancholijne

spojrzenie, które przypominało mi Ojca. Miałem wielką ochotę wziąć go za rękę, tak jakbym dzięki temu mógł dotknąć Ojca w zaświatach. Na skutek wylewu kuzyn mówił bełkotliwie; często dławił go płacz, gdy opowiadał mi o tym, jak przez lata pisali do siebie z Ojcem w sprawie Babci i jej trumny. Wyobraziłem sobie Ojca siedzącego w tym samym pokoju, przed laty. W przestronnym wiejskim domu panował półmrok, podłogę wciąż zastępowało klepisko, pośrodku stała kuchnia węglowa, w kącie worki zboża, chyba pszenicy, i kilka starych, zakurzonych mebli. Na końcu podwórza był wychodek w postaci dziury w ziemi. Dekoracje były te same co kiedyś; większość dawnych aktorów tego dramatu już nie żyła, ale kurtyna wciąż nie opadła.

Kuzyn trzymał w trzęsących się dłoniach kawałek papieru, który mi podał.

– To wskazówki, jak znaleźć grób Dziadka – powiedział. – Przez wiele lat strzegliśmy go dla twojego Ojca, teraz żaden cmentarz nie jest bezpieczny. Tam, gdzie był nasz rodzinny cmentarz, jest teraz pole, i kto wie, co będzie dalej.

Na mapie były precyzyjne namiary. Zawsze podejrzewałem, że dwaj kuzyni Dziadka tylko naciągają Ojca i żadnego grobu nie ma. Mapa nie stanowiła dowodu, ale pocieszająca była myśl, że jednak to wszystko może być prawdą. Sącząc kolejne czarki gorącej, miejscowej herbaty chryzantemowej, przez całą noc rozmawialiśmy o minionej chwale rodu Huangów. Kuzyn Dziadka za czasów młodości musiał być równie dobrym opowiadaczem jak Ojciec; tym bardziej okrutne było to, że został dotknięty udarem. Powiedział mi, że mój prapradziadek był wielkim wojownikiem i wykształconym oficerem na dworze cesarskim. Był świetnym łucznikiem, jak Wilhelm Tell, i potrafił przestrzelić liść topoli z odległości trzydziestu metrów. W 1860 roku zasłużył się pojmaniem przywódcy „długowłosych buntowników”, ruchu Niebiańskiego Królestwa Wielkiego Pokoju, walczącego z dynastią Qing. Ten prapradziadek otrzymał setki akrów żyznej ziemi nad Żółtą Rzeką, miał ponad dwudziestu dzierżawców, a majątek rodu Huangów rozrastał się jeszcze długo po jego śmierci. Kiedy Dziadek poślubił Babcię, tę część regionu nazywano Majątkiem Huangów.

Noc była chłodna i cicha. Kiedy owinąłem się w zakurzoną kołdrę, żeby zasnąć, czułem się tak, jakby w głowie przewijał mi się czarno-biały film. Myślałem o tym, co opowiadali mi Babcia i Ojciec – o epidemii gruźlicy,

na którą zmarli prawie wszyscy mężczyźni w rodzinie Huangów, o powodzi, przez którą przez trzy dni siedzieli na drzewie, o aranżowanym małżeństwie mojego jedenastoletniego ojca i szesnastoletniej dziewczyny i o wielkich siwych koniach zagrabionych przez Japończyków. Gapiłem się w wysoki sufit, zasmucony nieszczęściami, jakie spadły na moją rodzinę, ale i przejęty, że jestem „w domu”.

Gdy zobaczyłem wioskę w świetle dnia, wydała mi się całkiem zamożna. Większość rodzin zbudowała sobie duże domy z czerwonej cegły. W piaszczystej ziemi dobrze rosły orzeszki ziemne i zioła, rolnicy nieźle zarabiali. Przez lata wioska była kilkakrotnie przenoszona z powodu powodzi, ale groby rodziny Huangów najwyraźniej pozostały tam, gdzie były: niedaleko wioski Chenjiagou, dumnej z tego, że jest kolebką tai-chi.

Grób Dziadka znajdował się naprzeciwko Chińskiego Muzeum Tai-chi.

– Wielu miejscowych słyszało o tym, jak twój ojciec starał się ocalić grób Dziadka – przechwalał się hodowca fistaszków. – Za czasów Mao wielu naszych krewnych walczyło o to, żeby zachować kamień nagrobny, kiedy cmentarz zaorano pod uprawy. Wszyscy czekaliśmy, aż twoja babcia wróci, by połączyć się z mężem, ale twój ojciec w końcu nigdy jej nie przywiózł.

Chyba był zawiedziony, że Ojciec nie dotrzymał obietnicy; najwyraźniej to, że umarł, nie było wystarczającym wytłumaczeniem dla niedopełnienia obowiązków wobec rodziny.

Hodowca fistaszków rozłożył mapę i wykorzystując słup elektryczny jako punkt odniesienia, poszedł czterdzieści kroków w prawo i dwadzieścia pięć do przodu.

– To chyba tutaj! – zawołał.

Przez całe życie nasłuchałem się o tym grobie, a teraz nie wiedziałem, co mam myśleć. Miałem nadzieję, że duch Ojca spogląda na mnie. Podszedłem przez śnieg do mojego krewnego i rozejrzałem się.

– Czy ten grób nie miał być na grzbiecie smoka nad Żółtą Rzeką? Tu chyba nie ma żadnej wody?

Hodowca fistaszków roześmiał się.

– Tak, kiedyś przez wioskę płynęła odnoga rzeki i zgodnie z legendą mieszkał tam smok, ale przez lata Żółta Rzeka wiele razy zmieniała koryto i teraz jest na południe stąd.

To miało sens, uznałem też, że nawet korzystny jest stąd widok.

Wykopaliśmy dziurę w śniegu, zapaliliśmy fałszywe banknoty, które rolnik kupił we wsi. Ukląkłem i trzy razy skłoniłem się nisko nieżyjącemu od dawna Dziadkowi, którego obecność czułem przez całe życie. Dało mi to ukojenie.

Po powrocie do Chicago czekałem niespokojnie na wiadomości z Henanu, zastanawiając się jednocześnie, co ostatecznie powinniśmy zrobić ze szczątkami Babci. Pół roku później, podczas służbowego wyjazdu do Henanu, mój młodszy brat zatrzymał się przy grobie Dziadka, żeby oddać mu hołd. Ale to, co zobaczył, wyglądało zupełnie inaczej niż na zdjęciach, które mu wysłałem – idylliczny cmentarzyk i otaczające go pola odgradzał teraz od reszty terenu drut kolczasty. Ekipa budowlana wylewała fundamenty nowego budynku w tradycyjnym stylu. Miał to być, jak powiedzieli mu miejscowi, ośrodek tai-chi dla turystów z Chin i z zagranicy, którzy przybywają do wioski w poszukiwaniu autentycznych źródeł tej sztuki.

Jak powiedział hodowca fistaszków, do którego brat zadzwonił, żeby się dowiedzieć, co się dzieje, prywatny przedsiębiorca budowlany przekonał mieszkańców, że fundamenty nie będą tak głębokie, by zakłóciły spokój Dziadka i innych zmarłych krewnych.

– No to pomyśleliśmy, że lepiej będzie zostawić tam szczątki, niż je przenosić, bo przenoszenie zmarłych z miejsca na miejsce sprowadza nieszczęście.

Syn kuzyna Dziadka nie wspomniał jednak o tym, że przyjął od dewelopera pewną sumkę za to, że nasza rodzina zrezygnuje z prawa do ekshumacji i przeniesienia szczątków.

Zdenerwowało mnie, że nie byłem w stanie uchronić grobu Dziadka, ale pocieszał mnie fakt, że Dziadek, który sam uprawiał tai-chi, stanie się częścią ośrodka kultywującego tę starożytną chińską sztukę walki, którą – wedle woli Ojca – i ja miałem trenować. Ale co z połączeniem małżonków? Jedna z naszych starszych krewnych, która zawsze miała radę na każdą okazję, zaproponowała, co można zrobić zamiast przenoszenia szczątków Babci. Poradziła, żebym wziął garść ziemi z grobu Dziadka i kupił drewnianą lalkę z wypisanym na niej jego imieniem.

– Pochowaj tę ziemię i lalkę obok Babci, odpraw ceremonię przywoływania duchów, a twoi dziadkowie zostaną połączeni – poradziła. Kiedy umilkłem, wahając się, powiedziała:

– Jeśli będziesz wierzył, to zadziała.

Zgodnie z chińskim kalendarzem księżycowym 1 listopada to święto duchów – żywi przynoszą umarłym „ubrania”, żeby przygotować ich na nadchodzącą zimę. Przyleciałem do domu na to święto.

Wzięliśmy urnę z garścią ziemi i drewnianą lalką z imieniem Dziadka i umieściliśmy je obok szczątków Babci. Szaman z sąsiedniej wioski, zaproszony przez mojego młodszego brata, przewodniczył ceremonii. Wzywając duchy moich dziadków, które po stu latach rozłąki miały się nareszcie spotkać, zapalił kadzidełka i podpalił stosiki fałszywych banknotów i papierowych ubrań kupionych przez moją siostrę. Kiedy pióropusz dymu wzbił się w niebo, moje rodzeństwo i ja uklękliśmy przy grobie i modliliśmy się razem z szamanem, który wzywał moich dziadków, by zapewnili rodzinie Huangów pokój i pomyślność. Choć atmosfera była smutna, dla mnie był to niesłychanie romantyczny moment i nie mogłem się powstrzymać, żeby nie zacytować Szekspira: „On jest połową szczęśliwego męża / I przez nią tylko ma się uzupełnić / I ona pięknej jest doskonałości / Połową, której drugie pół w nim leży”[9].

Posłowie

„Naszemu miastu Xi’an zabrakło tylko jednego głosu, żeby stać się stolicą Chin” – mawiał mój nieżyjący ojciec. Miał na myśli okres po przejęciu władzy przez komunistów w 1949 roku, kiedy rada polityczna złożona z delegatów z różnych warstw społecznych decydowała, które miasto będzie stolicą komunistycznych Chin. „Gdyby tak się stało, pewnie często widywalibyśmy Przewodniczącego Mao. Władze postawiłyby tu ładne budynki i zjeżdżaliby się do nas ludzie z całego kraju” – mówił Ojciec, cmokając z żalem.

Jako chłopiec, w latach siedemdziesiątych, często słyszałem podobne słowa od ludzi, którzy uważali, że Xi’anu nie wybrano na stolicę, ponieważ nie ma w nim Zakazanego Miasta. „Tylko jednym głosem” – wzdychali. Gdy spróbowałem się czegoś dowiedzieć na ten temat, przekonałem się, że nie ma żadnych dowodów, iż tak właśnie było. Ale ponieważ Xi’an był stolicą kraju przez dwanaście dynastii, trudno się dziwić podejściu mieszkańców.

To prawda, że w Xi’anie nie ma wspaniałego Zakazanego Miasta, siedziby cesarzy oraz ich licznych konkubin i eunuchów, ale mamy za to mnóstwo mauzoleów i grobowców, strzeżonych przez tysiące terakotowych żołnierzy. Spośród dwustu trzydziestu dwóch cesarzy (w tym jedna cesarzowa) siedemdziesięciu dziewięciu spoczywa w Xi’anie lub w jego okolicach. Cesarze zaczynali poszukiwania godnego miejsca pochówku zaraz po objęciu władzy i niemal natychmiast rozpoczynano budowę grobowców, które w środku wyglądały jak pałace, aby władca mógł po śmierci cieszyć się taką samą chwałą i luksusami jak za życia. Cesarzowa Wu Zetian z dynastii Tang budowała swój grobowiec przez dwadzieścia trzy lata i jak głosi legenda, wstąpiła na tron, ponieważ grobowiec jej męża znajdował się pomiędzy dwoma wzgórzami podobnymi do kobiecych piersi, czyli przy potężnym źródle kobiecej energii.

W marcu 1975 roku, podczas kopania studni, rolnicy znaleźli w pobliżu Xi’anu coś, co wyglądało na kawałki wielkiego posągu. Powiedzieli o tym władzom i po dalszych poszukiwaniach natrafiono na zakopaną armię terakotowych żołnierzy oraz grobowiec Qina Shi Huanga, pierwszego cesarza zjednoczonych Chin. Tamtego roku Ojciec, wielki miłośnik historii starożytnych Chin, zabrał mnie na kilka wycieczek ze swojego zakładu pracy, żebym zobaczył świeże znalezisko, które obecnie stanowi część światowe-

go dziedzictwa kultury. Powiedział, że cesarz rozpoczął budowę tego grobowca w wieku trzynastu lat. Trudziło się przy nim przez trzydzieści osiem lat ponad siedemset tysięcy robotników. Zdaniem historyków grobowiec Shi Huanga, który – po zbadaniu – na powrót zamknięto, był dokładną repliką pałacu cesarza. Zawiera skarby niewyobrażalnej wartości, a wielu głównych budowniczych i rzemieślników pochowano w nim żywcem, by uchronić tajne korytarze przed rabusiami grobów. Po tych wycieczkach przez wiele tygodni miałem koszmary.

Przewodniczący Mao był pełen podziwu dla niedoścignionych ambicji cesarza i wyczynu, jakim było zjednoczenie Chin; z całego serca popierał też to, że cesarz brutalnie tłumił wszelki sprzeciw, paląc książki i grzebiąc żywcem konfucjańskich uczonych. Archeologom pozwolono więc przeprowadzić wykopaliska i zabezpieczyć grobowiec w Xi’anie. Na dodatek władzom Xi’anu, znanym z konserwatyzmu typowego dla ludzi z północnego zachodu, udało się ocalić przed zniszczeniem mury miejskie oraz dzwonnicę z czasów dynastii Ming w centrum miasta. Ojciec powiedział, że wieżę Ming o wygiętych dachach zbudowano, by pokonać śpiącego pod Xi’anem smoka, który od czasu do czasu budził się, wywołując trzęsienia ziemi. Inne starożytne zabytki nie miały tyle szczęścia. Czerwona Gwardia, starając się gorliwie oczyścić starożytne miasto z dawnych zwyczajów i tradycji, by zrobić miejsce dla nowego komunistycznego społeczeństwa, wysadziła w powietrze wiele zabytkowych budowli, niszcząc i paląc wszystko, co wydawało się symbolem dawnego wyzysku i ucisku. A w mieście z taką historią jak Xi’an było co niszczyć.

Wraz ze śmiercią Mao i reformami gospodarczymi, które potem nastąpiły, Xi’an, z jego starożytną historią, stał się turystyczną kurą znoszącą złote jaja, a jego terakotowa armia przed grobowcem pierwszego cesarza – atrakcją na skalę światową. Miasto przeżyło odrodzenie – teraz wszyscy chcą „odnowić przeszłość”, co grozi zniszczeniem ostatnich śladów historii miasta. Kiedy podczas ostatniej bytności przechadzałem się „odnowionymi” uliczkami Xi’anu, spodziewałem się, że zaraz zobaczę Myszkę Miki w stroju mandaryna. Domy z wewnętrznymi dziedzińcami zniknęły. W sylwetce miasta odznaczały się nowoczesne betonowe budynki, przy poszerzonych ulicach stały kiczowate sklepy niby to w starym stylu, a w zapadającym zmroku z jaskrawych billboardów błyskały uniwersalne ikony ekskluzywnego konsumpcjonizmu, takie jak Chanel i Rolex. Gdzie się podziały ol-

brzymie portrety Przewodniczącego Mao i czerwone flagi ze złotym sierpem i młotem, wszechobecne za czasów mojej młodości? Zastąpiły je pułkownik Sanders i jego KFC oraz czerwono-złote łuki McDonalda. Ale dzieci, zupełnie nieświadome krążących wokół nich niezliczonych tysięcy bezdomnych duchów przodków, wydawały się zupełnie zadowolone.

Dzielnica Hui, muzułmańskiej ludności Xi'anu, zachowała po części swój dawny urok. Wąskie uliczki, ocienione przez domy z niskimi okapami, przywołują czułe wspomnienia dawnego miasta. W tradycji siła. Na wystawach sklepów widać setki smakołyków w oszałamiających kolorach. Wśród gwarnego tłumu turystów kakofonia kuchennych odgłosów i nawoływania sprzedawców są wręcz kojące dla ucha. Społeczności Hui udało się wspólnymi siłami obronić swą religię i dziedzictwo kulturowe. Władze zostawiają ich w spokoju w obawie, że wywołaliby demonstracje na ogromną skalę, i może dzięki temu dzielnica przetrwała nietknięta modernizacją.

Osiedle, gdzie moi rodzice wychowywali mnie i trójkę mojego rodzeństwa, nie miało tyle szczęścia.

– Nie poznałbyś tego miejsca – powiedział mi brat, kiedy wychodziliśmy z międzynarodowego lotniska w Xi'anie w listopadzie 2009 roku. Wcześniej przysłał mi maila, w którym donosił, że prywatny deweloper, na zamówienie władz, ma zamiar zburzyć nasz dawny dom, teraz należący do mnie. Wiązało się z nim tyle wspomnień, że poczułem, iż muszę tam wrócić, zanim zniknie.

Podobnie jak tysiące innych przedsiębiorstw państwowych dawny zakład Ojca zbankrutował, a na jego miejscu budowano właśnie kolejne centrum handlowe – miejmy nadzieję, że nie na skalę pekińskiego, największego na świecie. Magazyny, warsztaty i budynki administracyjne fabryki obróciły się w gruzy, chociaż przetrwało kilka upartych betonowych filarów. Przypominało mi to starą kronikę filmową o niemieckich miastach zbombardowanych przez Brytyjczyków pod koniec II wojny światowej. Teren już zarastały chwasty.

Trafiliśmy akurat na coś, co – jak powiedział mi brat – stanowiło ostatnio częsty widok: przed bramą osiedla zebrał się tłum, dawni sąsiedzi nie chcieli wpuścić robotników od rozbiórki. Miejscowe władze zamierzały tu wybudować replikę pałacu dynastii Han, coś, co miało związek z turystyką i powrotem do tradycji. Nic nie wiedziałem o związkach tego miejsca z cesarską przeszłością. Jedyną rzeczą godną uwagi w naszym osiedlu była bli-

skość miejsca egzekucji, gdzie kiedyś strzelano w tył głowy bandytom i kontrrewolucjonistom. Najwyraźniej tacy „bandyci” znaleźli teraz zatrudnienie we władzach, przy zwalczaniu upartych mieszkańców. Władze obiecały lokatorom, że w zamian zbuduje się nowoczesne, przestronne mieszkania w zachodniej części miasta. Z głośników na ciężarówce słychać było oświadczenia, że już wielokrotnie ich ostrzegano. Ale oni czytali o innych wymuszonych przeprowadzkach i obietnicach bez pokrycia, przez które ludzie tracili domy. Starsze panie z osiedla ustawiły się jak żywa barykada, by nie dopuścić nikogo, kto chciałby się wedrzeć siłą.

Mój brat powiedział, że wcześniej tego ranka przedsiębiorca budowlany przysłał kilkudziesięciu uzbrojonych w długie drewniane pałki ludzi, którzy zdążyli przerwać „ludzki mur”, rozwalić bramę, kilka okien i kilka czaszek, zanim udało się ich przegonić. Wśród obrońców widziałem wiele znajomych twarzy: dawnych kolegów ze szkoły, byłego dyrektora warsztatów i przyjaciółki Matki, z którymi kiedyś tańczyła co rano w parku. Naciągnąłem na oczy czapkę z daszkiem, mając nadzieję, że nikt mnie nie pozna, ale dostrzegła mnie jedna z kobiet, dawna koleżanka Ojca z pracy, która, z oczami pełnymi łez, zaczęła wylewać swoje żale:

– Władze są skorumpowane do szpiku kości. Przywódcy są chciwi i bezwzględni. Sprzedają czyjąś własność prywatnym przedsiębiorcom. Chcą, żebyśmy byli bezdomni, tak by ani żywi, ani umarli nie znaleźli spokoju.

Czy to wyburzanie skłoniłoby do działania moich rodziców, którzy kurczowo trzymali się przeszłości, czerpiąc z niej pociechę? Ojciec był na to chyba zbyt ortodoksyjny, ale Matka na pewno dołączyłaby do kobiet, które trzymając się za ręce, stawiły czoła pałkom.

– Zachowałem kilka rzeczy z domu – powiedział brat. Wszystko inne sprzedał. – Stare graty nikomu się nie przydadzą. Trzeba iść naprzód.

Teraz w Chinach wszyscy chcą „iść naprzód”. Zwracanie się ku przeszłości jest „reakcyjne”.

U brata w domu zdałem sobie sprawę, że pozbył się większości mebli rodziców – nasza cenna zabytkowa komoda, którą Ojciec kupił jako „żniwo rewolucji kulturalnej”, została sprzedana firmie odnawiającej antyki, bo moja szwagierka wolała nową szafę w europejskim stylu. Hamując gniew, przejrzałem to, co zachował. Wśród pamiątek była paczka starannie owinięta w czerwoną tkaninę. Zawierała paski niebieskiego materiału, które Matka po śmierci Babci odcięła z jej koszuli, żeby włożyć je nam do pościeli, tak

by spłynęło na nas choć trochę babcinej długowieczności. Był też stary zegarek Ojca z lat siedemdziesiątych, wyprodukowany w Szanghaju, jedna z cenniejszych rzeczy w domu: kosztowała dwie jego pensje, demonstrował go podczas pogadanki w mojej szkole o tym, jak to kiedyś było ciężko i źle, żeby pokazać, jak dostatnio nam się żyje za czasów komunizmu. Był tam nawet jeden z moich starych dzienników, ten z czerwoną okładką, który Ojciec dostał w firmie 18 czerwca 1980 roku, kiedy ja byłem w liceum. Na pierwszej stronie widnieją starannie wypisane znaki: „Dla towarzysza Huang Zhiyou, wzorowego członka Partii". Ojciec podarował mi ten dziennik, a ja, jako dobry komunista, zapełniłem jego strony inspirującymi cytatami: „Życie człowieka jest skończone, ale komunizm jest wieczny", „Kiedy ktoś poświęci się komunizmowi, tak by stopił się z jego życiem, zyska ono wyższy wymiar wspólnej, zbiorowej sprawy".

Teraz już nikt nie mówi o poświęcaniu się dla sprawy, nawet moja siostra, wieloletnia członkini Partii. Przypomniała mi, że właśnie mamy pierwszy dzień miesiąca księżycowego, pomyślny czas, by odwiedzić Famesi, świątynię buddyjską, gdzie przechowywana jest relikwia w postaci kości palca Siakjamuniego.

– Dziś jest większa szansa, że twoje modlitwy zostaną wysłuchane – powiedziała.

Podczas rewolucji kulturalnej opat świątyni dokonał samospalenia, rozpaczliwie próbując ocalić świątynię przed czerwonogwardzistami. Jego bohaterski czyn przeraził młodych buntowników. Teraz świątynia stanowi jedną z głównych atrakcji turystycznych; pewien tajwański architekt na zamówienie władz zbudował obok ultranowoczesną salę dla potencjalnych wyznawców, od których pobiera się niebotyczną opłatę za wejście. Jest tam długa alejka; naśladując siostrę, zapaliłem kadzidełka kupione wcześniej od ulicznego sprzedawcy, który dopadł mnie przy wejściu, i skłoniłem się przed rzędem świeżo pomalowanych na złoto posągów Buddy. Każdy z nich opiekuje się inną ludzką potrzebą – płodnością (Niech urodzi mi się syn), edukacją dzieci, karierą i interesami (Daj mi jeszcze więcej pieniędzy) oraz zdrowiem. Zamożni ludzie, zbyt zajęci, by się modlić osobiście, mogą kupić „wieczną świeczkę", którą stawia się obok wielkiego Buddy w ogromnej sali, by uzyskać jego nieustające błogosławieństwo. Pierwotna świątynia, z elegancką, delikatną wieżą, wciąż stoi samotnie przy bocznej alejce, strzeżona przez ducha opata, który spłonął.

Wracając ze świątyni, mijaliśmy tereny, gdzie kiedyś były cmentarz i pola uprawne. Moja siostra z przejęciem pokazywała mi zmiany w krajobrazie – odbudowany pałac dynastii Tang, przed którym stali odziani w starożytne zbroje strażnicy o kamiennych twarzach, nowy park ze sztucznym stawem i pawilonami w starożytnym stylu oraz pałacową restaurację, serwującą „autentyczne” dania z cesarskiego stołu. Zastanawiałem się głośno, ile akrów żyznej ziemi zajęły władze i ile cmentarzy zniszczono albo przeniesiono.

– Dużo – powiedziała moja siostra.

W dawnych czasach ludzie za wszelką cenę chronili cmentarze przodków, ponieważ stanowiły nić łączącą ich z przeszłością i poprzednimi pokoleniami. Jak mawiał Ojciec, najgorsza klątwa, jaką można było rzucić, to zdanie: „Rozkopię grób twoich przodków. Nie będziesz miał gdzie się podziać po śmierci”.

Teraz wszystko jest płynne i niestałe. We współczesnych, szybko zmieniających się Chinach i żywi, i umarli muszą ustępować miejsca rozbudowie. Wioski i miasta, które uważamy za swoje rodzinne miejscowości, zmieniają się nie do poznania, a cmentarze przodków są rozjeżdżane przez buldożery. Ludzie nie są już związani z miejscem urodzenia, a w poszukiwaniu lepszej pracy wielu wyjeżdża do rozrastających się miast i daleko w świat.

Babcia pragnęła jedynie zakończyć swe doczesne życie i wrócić na zawsze do domu przodków. Mnie jednak to, że mogłem pojechać dalej, niż kiedykolwiek byłbym zdolny sobie wyobrazić, przyniosło inne poczucie spełnienia. Za każdym razem, kiedy wracam z dalekich podróży i widzę z okna samolotu znajomy zarys Chicago, szepczę do siebie:

– Jestem w domu.

Podziękowania

Ta książka to próba rehabilitacji za moje głupie opory podczas pogrzebu Ojca w listopadzie 1988 roku. Jest ona także próbą ocalenia nieznanej historii rodzinnej, która – jak sądzę – w uniwersalny sposób mówi o sprzecznościach, jakie napotykamy, dorastając. Co ważniejsze, podczas gromadzenia materiałów, a potem samego pisania, zacząłem lepiej rozumieć swoje relacje z rodzicami, Wang Guiying i Huang Zhiyou, których wychowanie nadal kształtuje mój charakter.

Nie zdołałbym napisać *Strażnika trumny*, gdyby nie pomoc mojej rodziny, zwłaszcza moich sióstr Huang Wenxia i Huang Wenjing, a także mojego brata Huang Wenjie, szwagra Wu Zhiyi, kuzynów Geng Jianpinga oraz Hu Hongliana oraz dzieci mojego rodzeństwa: Ren Xiaoyu, We Fei, Geng Mingsha oraz Geng Mingfei, które bardzo chętnie dzieliły się ze mną wspomnieniami o moich rodzicach. Jeśli chodzi o rodaków z Xi'anu, chciałbym też podziękować memu bliskiemu przyjacielowi Liangowi Li.

W 1988 roku poznałem doktora Roberta Crowleya, który wykładał wówczas w Szanghaju. Nasze krótkie spotkanie stało się początkiem przyjaźni na całe życie. Doktor Crowley pomógł mi, kiedy w 1989 roku rząd stłumił studencki ruch prodemokratyczny, i ułatwił mi dostanie się na studia na uczelni noszącej wówczas miano Uniwersytetu Stanowego Sangamon w Springfield w Illinois. Przez wiele lat był mi niezmożonym mentorem i sojusznikiem, czytał i redagował niemal każdy mój artykuł i książkę.

To wielkie szczęście mieć takich agentów jak Peter Bernstein i jego żona doktor Amy Bernstein. Wzięli mnie pod swoje skrzydła i wspomagali na wszelkie sposoby cierpliwością i dodawaniem otuchy. Chciałbym także wyrazić swoją wdzięczność Philipowi Gourevitchowi, który nadal jest orędownikiem mojej twórczości, oraz Esther Allen – to ona pomogła mi rozpocząć karierę tłumacza literackiego i pisarza.

Ogromnie doceniam pomoc Chrisa Wooda oraz Tima Cribba, któremu zawdzięczam redakcję i pierwodruk fragmentu tej książki, zatytułowanego *Grandma's Longevity Wood* [„Babcine drzewo długowieczności"], w czasopiśmie „Asia Literary Review". Dziękuję mu także za cenne sugestie oraz opiekę redakcyjną nad pierwszą wersją. Chciałbym także podziękować Christopherowi Coxowi oraz Caitlin Roper, która opublikowała fragment mojej książki w „The Paris Review". Wiele sugestii Johna Siciliana także pomogło nadać tekstowi ostateczny kształt.

Chciałbym podziękować Patrickowi Tylerowi, byłemu szefowi redakcji „The New York Times” w Pekinie, za pełne przygód miesiące, jakie spędziliśmy razem w Chinach. To doświadczenie zmieniło mój zakres zainteresowań jako pisarza.

Z Chai Guoxingiem mieszkaliśmy w jednym pokoju podczas studiów na Uniwersytecie Fudan. Od tamtej pory jesteśmy nierozłączni. Trafiliśmy na tę samą uczelnię w Springfield, a potem przez wiele lat pracowaliśmy w Chicago w jednej firmie. Przez pierwsze lata w Stanach Zjednoczonych on i jego żona, czyli „kuzynka” Jane Wang, ogromnie mi pomagali; ten najtrudniejszy, ale i szczęśliwy okres przeżyliśmy razem.

W Springfield miałem szczęście korzystać z przyjaźni i pomocy moich wykładowców i mentorów Mary i Brenta Bohlenów, nieżyjącego już Billa Millera, Mike’a Klemensa, Richarda i Judy Shereikisów, Charlene Lambert, zwanej Babcią, oraz brata Bruce’a Kinnetta. Nigdy nie zapomnę hojności - Billa Browna, jaką okazywał mi przez ostatnie dwadzieścia lat. Niech ci się dobrze mieszka w Indonezji, Bill.

Włączyłem do książki wiele gorących dyskusji na temat Taking Children Seriously oraz Nietzschego, jakie odbywaliśmy z Marią i Warrenem Taiami. Podziękowania niech zechcą przyjąć przyjaciele, którzy stali się częścią mojej rodziny: Monica Eng, Colin McMahon, Linda Yu (czekam na twoją książkę), Tao Zhang (mój przyjaciel i rodak z Xi’anu), Michael Bradley z archidiecezji w Chicago (dziękuję za opiekę redakcyjną), Tish Valva z Wielkiej Brytanii, Jim i Laurie Nayderowie, Lih i Frank Wangowie, Xiaoping Chen, Susan Harris, Juju Lien, Cindy Savio, Kate Durhan i urocza Miss A, utalentowana rodzina Hou, zwłaszcza Mama Dong (dzięki za makaron!), Andrea Dunaif, czyli moja ukochana W, David Alexander, Eiko Terao, Mike i Lynne Coyne’owie, Ho Pin, Yunfei Zhang i oczywiście Caren i Dale Thomasowie. Chciałbym również podziękować Scottowi i Caroline Simonom, a także mojej pięknej córce chrzestnej Linie Simon i jej siostrze Elise. Mam wielki dług wdzięczności wobec Gerharda Dierkesa z Niemiec za nieustającą pomoc przy moich książkach i przekładach.

Oczywiście jestem wdzięczny mojej wydawczyni Megan Lynch za publikację tej książki, cenne wskazówki redakcyjne oraz za to, że dała mi twórczą swobodę.

Na koniec chciałbym podziękować kolegom z pracy, którzy także mnie wspierali, a są to: Thaddeus Woosley (nadzwyczajny publicysta), Hans Van

Heukelum (dziękuję za czerwoną książeczkę), Andrew Delaney, Jessica Wojanis, Cara McCall, William Seyfarth, czyli Jimmy Annex, Kelly Drinkwine, Tory Neff oraz George Zsolnay.

[1] W Chinach od lat pięćdziesiątych minionego wieku obowiązuje *hukou*, system zameldowania na pobyt stały, wymagający rejestracji gospodarstwa domowego i danych wszystkich jego członków [tam, gdzie nie zaznaczono inaczej, przypisy pochodzą od tłumaczki].

[2] System zameldowania na pobyt stały (zob. poprzedni przypis) jako element gospodarki planowej wiązał się również z podziałem pracowników na miejskich i wiejskich oraz z zakazem swobodnego przemieszczania się po kraju, co miało ograniczyć migrację ze wsi do miast.

[3] *Qipao* (inaczej: *cheongsam*) – tradycyjna, dość obcisła jedwabna suknia ze stójką i niesymetrycznym zapięciem, za czasów rewolucji kulturalnej kojarzona z burżuazyjnym stylem życia.

[4] Według nakazującej trzyletnią żałobę po śmierci rodziców tradycji konfucjańskiej pierwsze trzy lata życia człowieka są okresem jego całkowitej zależności od rodziców. Okres ten po ich śmierci należy im zwrócić, przestrzegając rygorystycznej żałoby [przyp. red.].

[5] Kultura chińska opiera się na systemie znajomości, koneksji i wzajemnych zależności (*guanxi*), dzięki którym pomyślne załatwienie wielu spraw nie tylko jest łatwiejsze, ale często w ogóle możliwe [przyp. red.].

[6] Cytaty z *Hamleta* Williama Szekspira w przekładzie Stanisława Barańczaka, Poznań 1990.

[7] „Żelazna miska ryżu” – określenie odnoszące się do gwarantowanego zatrudnienia i bezpieczeństwa socjalnego, któremu zagroziło przekształcanie państwowych przedsiębiorstw w spółki w ramach reform zapoczątkowanych przez Deng Xiaopinga pod koniec lat siedemdziesiątych.

[8] Biała opaska to symbol żałoby, a także oznaka protestu głodowego (zob. dalej w tym rozdziale) [przyp. red.].

[9] William Szekspir, *Król Jan*, w: *Dzieła Williama Szekspira*, t. III, przeł. Józef Korzeniowski, Lwów 1895, s. 27.

WYDAWNICTWO CZARNE SP. Z O.O.
www.czarne.com.pl

Sekretariat: ul. Kołłątaja 14, III p., 38-300 Gorlice
tel. +48 18 353 58 93, fax +48 18 352 04 75
e-mail: mateusz@czarne.com.pl,
tomasz@czarne.com.pl, dominik@czarne.com.pl,
honorata@czarne.com.pl, ewa@czarne.com.pl

Redakcja: Wołowiec 11, 38-307 Sękowa
tel. +48 18 351 00 70
e-mail: redakcja@czarne.com.pl

Sekretarz redakcji: malgorzata@czarne.com.pl

Dział promocji: ul. Andersa 21/56, 00-159 Warszawa
tel./fax +48 22 621 10 48
e-mail: agnieszka@czarne.com.pl, anna@czarne.com.pl,
dorota@czarne.com.pl, zofia@czarne.com.pl

Dział marketingu: katarzyna@czarne.com.pl

Dział sprzedaży: irek.gradkowski@czarne.com.pl
tel. 504 564 092, 605 955 550
agnieszka.wilczak@czarne.com.pl

Skład: D2D.PL
ul. Morsztynowska 4/7, 31-029 Kraków, tel. +48 12 432 08 52
e-mail: info@d2d.pl

Audiobooki i ebooki: Izabela Rególska, iza@czarne.com.pl

Wołowiec 2013
Wydanie I